

W CIENIU WOJNY

Wojciech Cejrowski o przewadze
Orbána nad polskimi politykami



TYGODNIK LISICKIEGO

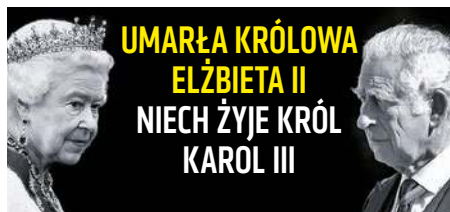
DO

NR 37/493 12-18 WRZEŚNIA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

Turbulencje na łuku kurskim
- Semka zagląda za kulisy
Zjednoczonej Prawicy



UMARŁA KRÓLOWA
ELŻBIETA II
NIECH ŻYJE KRÓL
KAROL III

Za wszelką cenę? Co można
oddać za pokonanie Rosji

Dlaczego Watykan popiera globalistów

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 54 000 egzemplarzy

eprasa.pl 732a2ad455





NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Ruszyła „Akademia NBP”

Narodowy Bank Polski uruchomił nowy projekt „Akademia NBP” obejmujący cykl wykładów z zakresu bankowości centralnej.

Pierwszy kurs pt. „Finanse i polityka pieniężna” został przygotowany wspólnie z Krajową Szkołą Administracji Publicznej im. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego.

Rekrutacja została uruchomiona 8 września 2022 r. Zajęcia rozpoczną się 21 października 2022 r. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie:

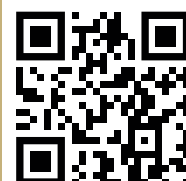
akademia.nbp.pl



Wykładowcami są:

- **prof. Adam Glapiński (SGH)**
Prezes Narodowego Banku Polskiego;
- **prof. Marta Kightley (SGH)**
Wiceprezes NBP, Pierwszy Zastępca Prezesa NBP;
- **prof. Beata Javorcik**
Główny ekonomista Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju;
- **prof. Robert Holzmann**
Prezes Narodowego Banku Austrii;
- **prof. Sergiy Nikolaychuk**
Wiceprezes Narodowego Banku Ukrainy;
- **prof. David Marsh (OMFIF)**
Przewodniczący Oficjalnego Forum Instytucji Monetarnych i Finansowych;
- **prof. Ireneusz Dąbrowski (SGH)**
Członek Rady Polityki Pieniężnej;
- **prof. Jacek Kotłowski (SGH)**
Zastępca dyrektora Departamentu Analiz i Badań Ekonomicznych NBP;
- **prof. Juliusz Jabłecki (UW)**
Dyrektor Departamentu Zarządzania Ryzykiem Finansowym NBP;
- **prof. Piotr Zapadka (UKSW, KSAP)**
Członek Warszawskiej Izby Adwokackiej.

**ZESKANUJ
I WEŹ UDZIAŁ
W KURSIE**





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Głuchy szef i jego sprawdzona armia

Od czasu, gdy Donald Tusk ogłosił ni z gruszki, ni z pietruszki, że na listy kandydatów na posłów Platformy Obywatelskiej będą wpuszczani tylko ci, którzy zadeklarują poparcie dla aborcji na życzenie do 12. tygodnia, zachodzę w głowę, po co on to zrobił. Teorie są różne. Pierwsza mówi, że po prostu chciał zwrócić na siebie uwagę i przebić w radykalizmie Rafała Trzaskowskiego. 31 sierpnia lider PO w rozmowie z Rafałem Trzaskowskim najpierw stwierdził, że decyzja o aborcji powinna należeć wyłącznie do kobiety, a „nie księdza, prokuratora czy działacza partyjnego”. Następnie zapowiedział, że Platforma zgłosi w tej sprawie ustawę. I dodał: „Będę to bezwzględnie egzekwował w czasie konstruowania list do parlamentu. Gwarantując kobietom podejmowanie tej decyzji, nie będę się chciał potem wstydzić”. Nie da się ukryć, że deklaracja ta się przebiła. Jednak trudno powiedzieć, co poza zwróceniem na siebie uwagi Tusk osiągnął.

Zwolennicy drugiej teorii twierdzą, że Tusk chciał w ten sposób przejąć część elektoratu lewicy, a może wchłonąć cały. Na pozór to logiczne – głosząc radykalny aborcjonizm, Tusk mówi do wyborców lewicy: głosujcie na mnie. To Platforma jest najsilniejszą partią opozycyjną, teraz ideologicznie nic nas właściwie nie różni. Jednak wytłumaczenie to ma poważną wadę. Czy faktycznie dla ogółu wyborców SLD to właśnie dopuszczalność zabijania nienarodzonych dzieci jest w tej chwili najważniejszym postulatem? To na pewno ważna rzecz dla różnej maści oszalałych feministek,

jednak nie dla całego elektoratu. Poza tym zdobycie poparcia części wyborców lewicy może oznaczać utratę wyborców centrowych, którym odpowiadał niejasny stosunek partii w tej kwestii.

Jest też trzecia teoria. Zgodnie z nią „szef potrzebuje sprawdzonej armii w Sejmie” – to głos działaczy Platformy z Warszawy przekazany przez „GW”. Krótko mówiąc, Tusk ogłosił, co ogłosił, by skutecznie wytresować swoich. Sprawdzona armia ma być posłuszna. Skądinąd łamanie kręgosłupów, zakładając, że w Platformie jeszcze ktoś tę osobliwą część ciała ma, poszło nad wyraz szybko. Z wyjątkiem jednego Bogusława Sonika inni tzw. konserwatyści PO położyli uszy po sobie i zrobili to, co zawsze robią politycy: zaczęli merdać ogonkami, twierdząc, że właściwie zawsze zgadzali się z pomysłem szefa. Lider PO uzyskał zatem pewność, że ma „sprawdzoną armię” sługusów. Ale czy nie wiedział tego wcześniej?

Zastanawiam się zatem, czy Tusk naprawdę wie, co robi. Polska znajduje się w przededniu być może wielkiego kryzysu energetycznego od lat. Wskutek wojny na Ukrainie w wielu polskich domach tej zimy może zabraknąć ogrzewania. Tymczasem największa partia opozycyjna nie ma w tej sprawie nic do zaproponowania. Podobnie jak nie potrafi odpowiedzieć na żadne z innych ważnych pytań: Jak walczyć z inflacją? Jak ograniczyć rozdawnictwo? Przeciwnie, można odnieść wrażenie, że wszystkie te najważniejsze dla Polaków kwestie Tuska i jego „sprawdzonej armii” w ogóle nie interesują. To, co powinno być przedmiotem sporu – racjonalność i roztropność

polskiej polityki wobec wojny na Ukrainie, występowanie w roli największego zwolennika najdalej idących sankcji – praktycznie nie powoduje sporów. Jedni i drudzy uważają, że Polska powinna bezwarunkowo wspierać Ukrainę, jedni i drudzy nie zastanawiają się nad kosztami takiej polityki dla Polaków. Dlatego inny z liderów PO, prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, mógł kilka dni temu spokojnie opowiadać, co czeka mieszkańców miasta, którym rządzi. Zapowiedział on jakby nigdy nic obniżenie temperatury w mieszkaniach poznaniaków do „mniej więcej 18 st. C”. Jaśkowiak doradził mieszkańcom, by w tej sytuacji „ubrali się cieplej”. Rozumiem, że zwolennikom PO w tych trudnych zimowych dniach przyświecać będzie idea powszechnego prawa do aborcji na życzenie.

Smutny to przykład, pokazujący degrengoladę systemu demokratycznego. Jedyne, co ma do zaproponowania opozycja, to zemsta na obecnie rządzących i przyjęcie programu zachodnich, lewicowych radykałów. Pomijam, że to program niegodziwy, a zarazem nieskuteczny. Nie wierzę, żeby z takimi hasłami na sztandarach PO mogła wygrać. Być może zatem wytłumaczenie działań Tuska jest inne: on najzwyczajniej w świecie całkowicie stracił słuch. Długie przebywanie w Brukseli zrobiło swoje. Tusk Polaków już nie rozumie. Dlatego też mimo coraz większych kłopotów i wzrostu nieufności do rządu poparcie dla opozycji albo nie rośnie wcale, albo bardzo, bardzo powoli. Słuchając Tuska, trudno się dziwić. Kolejna ideologiczna wojna o aborcję to ostatnia rzecz, której teraz potrzebują Polacy. ©

TEMAT TYGODNIA

18 PAWEŁ CHMIELEWSKI GLOBALNA KONKURENCJA DLA CHRYSTUSA

Miejsce Ewangelii zajmują coraz częściej „zrównoważony rozwój” i inne świeckie programy przebudowy społeczeństw

24 TOMASZ ROWIŃSKI NIKNĄCY AUTORYTET PAPIEŻA



OPINIE

60 RYSZARD GROMADZKI PO CO NAM POLSKA?

Rozmowa z prof. Zdzisławem Krasnodębskim

64 WOJCIECH GOŁONKA ZA WSZELKĄ CENĘ?

HISTORIA

68 JACEK KOMUDA ZAGŁADA ARMII I RZECZYPOSPOLITEJ

Osiem lat po legendarnej bitwie z Tatarami pod Hodowem w 1694 r. armia Korony i Litwy znalazła się w stanie kompletnego upadku

ŚWIAT



74 TERESA STYLIŃSKA KRÓLOWA ODESZŁA

Gdy Elżbieta II wstępowała na tron, Wielka Brytania była mocarstwem. Przez kolejne lata jednak nieubłaganie się ono kurczyło

78 PIOTR WŁOCZYK UPOLOWANY HUNTER

80 WITOLD REPETOWICZ ROCZEK EMIRATU TALIBÓW

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI POLSKIE DAVOS JUŻ W CIENIU KRYZYSU

Wojna, kryzys, inflacja, bezpieczeństwo oraz transformacja energetyczna – te słowa były najczęściej odmieniane przez przypadki podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu

86 ŁUKASZ WARZECHA ZAGAZOWANI

NAUKA

90 ANDRZEJ SOLECKI „ZŁOTE ALGI” W ODRZE

Prymnesium parvum jest jednym z wielu mikroorganizmów wytwarzających toksyny i mogących powodować szkodliwe zakwity glonów

KRAJ

26 PIOTR SEMKA TURBULENCJE NA ŁUKU KURSKIM

W PiS będą musieli zrobić miejsce dla byłego prezesa TVP. A to gracz, który nie zadowoli się byle czym

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ NARRACJA REPARACJA

32 ŁUKASZ ZBORALSKI JAK PRAWNIK Z PRZESTĘPCĄ

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK POWRÓT DO ŚRÓDZIEMIA

„Pierścienie władzy” to świetny serial fantasy, ale na razie niekoniecznie wybitna adaptacja dzieła Tolkiena

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA



DODATEK SPECJALNY

43 PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA OCHRONA GODNOŚCI NARODOWEJ I WOLNOŚĆ SŁOWA

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (72), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

Najlepsze

OC auta

z Programem Pomocy

w LINK4

w rankingu
Gazety Bankowej



LINK4

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Na podstawie rankingu ubezpieczeń samochodu 2022 Gazety Bankowej „Ranking OC poszerzonego o assistance”, przygotowanego na podstawie badań multiagencji Unilink. Ubezpieczenie Program Pomocy w LINK4 dostępne tylko w pakiecie z OC lub OC/AC. Szczegółowe informacje sprawdź w OWU dostępnym na www.link4.pl.

eprasa.pl 732a2ad455

TYGODNIK LISIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
 Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkos, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torajski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
 Małgorzata Wolczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
 Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Kamila Gala, **Zofia Magdziak**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sieńkowski**,
 Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoredykcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzask**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wemerowska**,

Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa

Źródła: **Vatican Media/Reuters/Forum, Getty Images**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
 Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy


DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta, "RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
 listy i e-maile. Przypominamy, by
 korespondencję elektroniczną
 kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Unia nieuleczalnie chora?

Szanowna Redakcjo,
 absolutnie nie chcę nadużywać gościn-
 ności Redakcji (i tak taskawę dla moich
 listów), więc piszę parę słów nie w intencji
 ich publikacji, lecz niejako z potrzeby
 podzielenia się refleksją i emocjami.
 Liczne teksty, w tym np. znakomity
 Rafała A. Ziemkiewicza „Wojna Berlina”
 czy Tomasza Cukiernika „Dlaczego nie
 brać dotacji?”, prowadzą do konkluzji
 o naglącej potrzebie stworzenia ruchu
 (partii) – jawnie, otwarcie i odważnie sta-
 wiającej postulat wyjścia Polski z UE. Nie
 widzę praktycznie żadnych pozytywnych
 owoców naszej obecności w tym niemo-
 ralnym, dogmatycznie oszalałym, skrajnie
 niedemokratycznym gronie, spychającym
 nas na margines polityczny i gospodarczy
 przyszłego (?) überpaństwa rządzonego
 przez Niemcy. Coraz wyraźniej widać,
 że UE ma z Europą tyle tylko wspólnego, że
 jest jej zaprzeczeniem. Alternatywą byłby
 (i jest!) ścisły sojusz z USA i np. propono-
 wany niedawno (na razie mgliście) sojusz
 brytyjsko-bałtycko-środkowoeuropejski.
 Konfiguracje mogą być rozmaite i by-
 najmniej nie muszą być stałe, natomiast
 nadrzędnym imperatywem powinien być
 zawsze interes Polski. Militarne (bo o to
 głównie chodzi) członkostwo w NATO jest
 zupełnie wystarczające.

Dramat polega na tym, że nie ma
 (w każdym razie nie widać) w Polsce

sił politycznych skłonnych i zdolnych
 do realizacji takiego przedsięwzięcia.
 O PO-wskiej targowicy szkoda wspominać,
 Konfederacja to kanapowa zbieranina
 kompromitująca postulaty liberalnej
 ekonomii domieszką rusofilstwa, poza tym
 – przez wewnętrzne skłócenie – niezdolna
 do mobilizacji szerszego elektoratu. Więc
 może PiS? Wolne żarty! PiS prowadzi
 obłudną grę niby to sporów z UE, których
 celem jest wyłącznie podgrzewanie emocji
 i konsolidacja elektoratu dla celów we-
 wnętrzej gry. Na poziomie praktycznym
 same porażki, obawiam się, że intencjonal-
 ne. Ekonomiczna wizja „wielkiego resetu”
 świetnie bowiem współgra z rzeczywistą
 agendą tandemu Kaczyński-Morawiecki.
 Nawet największe mózgi i niekłamane
 autorytety prawicy (jak np. prof. Legutko
 i p. Saryusz-Wolski) „spalają się” w zupeł-
 nie bezproduktywnych wysiłkach uzdro-
 wienia „od wewnątrz” tego nieuleczalnie
 zwyrodniałego organizmu.

O poparcie społeczeństwa dla propo-
 nowanego ruchu nie obawiałbym się
 przesadnie, bo chociaż aktualnie niewiel-
 kie (niewiadome), to – gdy skutki tych
 wszelkich „kamieni milowych” wszystkich
 porządnie trzepną po kieszeni, może wy-
 strzelić w górę i pójść jak „ogień po buszu”.
 Jeżeli jednak nie będzie na czas właściwej
 reprezentacji, to wszystko się rozpalnie
 w bezrozumnych bijatykach (patrz: żółte
 kamizelki), skanalizowanych przez poli-
 tycznych cyników. Istotny jest zasadniczy
 postulat, jasny program niepoddany szan-
 tażowi europejskiej poprawności, ważna
 jest też sama nazwa ruchu – prosta, nośna,
 zrozumiała. Proponuję: POLEXIT TAK
 – czy coś równie prostego.

Z wyrazami szacunku
Maciej Rybicki



NA PIERWSZY OGIEŃ



PIOTR SEMKA

Rosjanom nie idzie

Coraz więcej ekspertów i analityków zauważa zmianę tonu wśród specjalistycznych wojskowych blogów rosyjskich opisujących wojnę z Ukrainą. Po raz pierwszy od początku wojny pojawiają się poważne głosy zaniepokojenia. Piotr Skwieceński, doskonały analityk tego, co „pobrzmiewa w rosyjskiej duszy”, zwrócił uwagę na wypowiedź Siergieja Karaganowa, czołowego politologa – to bardzo ważne nazwisko w talii postaci, z których analizami liczą się liderzy putinowskiej elity. „Jeśli ukraińska bitwa nie zakończy się zwycięstwem i zostanie poderwane zaufanie do najwyższej władzy – stworzenia obecnego układu politycznego i całego kraju [to o Putinie – przyp. P.S.] – wzrośnie prawdopodobieństwo nowego lutego 1917 r., najbardziej tragicznego epizodu politycznej historii Rosji od czasów smuty z początku XVII w.” – stwierdził Karaganow.

Kolejnym sygnałem, że rosyjska propaganda wojenna zaczyna gonić w piętę, jest coraz częstsze podawanie sensacji o rzekomym pojawianiu się na linii frontu ukraińsko-rosyjskiego zwartych jednostek amerykańskich komandosów i grup brytyjskich sił specjalnych. Czyżby Rosjanie postanowili wytłumaczyć swoje niepowodzenia na froncie pojawieniem się „przybyszów z Zachodu”? Ten propagandowy zabieg można zrozumieć tylko wówczas, jeśli pamięta się bardzo głęboko zakorzenioną w rosyjskiej świadomości pogardę dla ukraińskich „Chachłów”, w opinii wielu Moskali – narodu stojącego na znacznie niższym poziomie cywilizacyjnym niż Rosjanie. Według tej logiki, jeśli „niepobiedimaja, russkaja armia” ponosi porażki, to tylko dlatego, że do bezpośredniej akcji włączył się „perfidny Zachód”.

Coraz wyraźniej widać, że ukraińska taktyka unikania generalnej ofensywy i skupienie się na odcinaniu poszczególnym częściom rosyjskich wojsk zaopatrzenia przynoszą coraz lepsze efekty.

W rejonie Chersonia rakiety HIMARS zniszczyły mosty na Dnieprze i odcięły Rosjanom większość dróg dostaw broni, paliwa i żywności. A jednocześnie coraz

silniejsze panowanie Ukraińców w powietrzu paraliżuje możliwość dostaw przy pomocy helikopterów transportowych. Na domiar złego dla Rosjan szybkie przerzucenie części wojsk rosyjskich z północy w kierunku leżącego na południu Chersonia odstończyło linię frontu położoną przy Charkowie.

Według niezależnych zachodnich źródeł wywiadowczych Ukraińcy na północnej linii frontu zajęli spore terytorium. Ale być może najważniejszy jest rosnący poziom demoralizacji w szeregach rosyjskich. Coraz bardziej działanie wojsk rosyjskich zaczyna być paraliżowane przez bunt poszczególnych jednostek.

W swoim dzienniku wojny blogger Maciej Pietraszczyk opisuje, jak działa mechanizm wewnętrznej słabości w armii rosyjskiej, cytując jeden z niezależnych rosyjskich kanałów – „Zapiski weterana”. Oskarżył on rosyjskich dowódców o ukrywanie prawdziwego stanu jednostek. Oddziały mające na papierze 100 proc. stanu jednostek mają 50 proc., a nawet w niektórych wypadkach 20 proc. stanu faktycznego. Taki zabójczy dla możliwości dowodzenia w każdej armii stan rzeczy wynikać ma z relacji pomiędzy wojskową górą a poszczególnymi dowódcami. W sytuacji, gdy wyższe szczeble oczekują sukcesów, a nie zgłaszania problemów, gdy niżsi dowódcy stają wobec groźby kar za wykazywanie niezdolności oddziału do walki, najbezpieczniej jest koloryzować rzeczywistość. Jeśli za zgłaszanie dezercji grożą kary, to jej się nie zgłasza. W efekcie dochodzi do klasycznie rosyjskiego zjawiska „martwych dusz”, które w świadomości dowództwa liczone są jako potencjalne siły do użycia na polu walki.

Nie sposób jeszcze stwierdzić, czy ukraińskie ataki w okolicach Chersonia i Charkowa przeważą losy wojny, ale jedno jest już pewne: Rosjanie na obecnym etapie konfliktu stali się stroną, która musi się bronić. Putin dostaje zadyszki. A zapowiadanych dostaw broni z Chin nie ma. Jedynym sojusznikiem Rosji w tej wojnie staje się Korea Północna. Widmo wojny japońskiej z 1905 r. jest coraz bliżej. ©e



FOT. MESA/ZELENSKY OFFICIAL

KONTROFENSYWA UKRAIŃSKIEJ ARMII

W wielu ukraińskich miastach po kilku miesiącach okrutnej rosyjskiej okupacji znów zawisły ukraińskie flagi.

– Od 1 września ukraińskie siły wyzwoliły ponad tysiąc kilometrów kwadratowych terytorium Ukrainy okupowanego przez wojsko rosyjskie – ogłosił w ubiegłym tygodniu prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, podkreślając, że w ramach trwających operacji obronnych ukraińskie wojska wyzwoliły już od rosyjskiej okupacji dziesiątki miejscowości. Wyzwolenie od Rosjan to jednak dopiero początek przywracania normalności na terenach zniszczonych przez okupantów. Szacuje się, że odbudowa ukraińskiej infrastruktury ze zniszczeń wojennych pochłonie ok. 100 mld dol. (jap) ©e


RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zet jak „zdrada”

PiS krok po kroku przejmując kontrolę nad mediami opozycji. Tak przynajmniej wygląda to w radykalnie antypisowskiej „bańce” internetowej, stanowiącej ostatnią twierdzą niezłomnych. Ringier Axel Springer pozbył się Lisa, Discovery bezterminowo zdjęło z anteny TVN Piotra Kraśkę. Teraz do listy przejmowanych przez PiS mediów dołączyło Radio TOK FM, zrywając współpracę z Piotrem Najsztribem. Sam zainteresowany nie wątpi, że nie stało się to, jak twierdzi radio, z powodu marnej słuchalności jego wynurzeń, ale z przyczyn politycznych. Radio TOK FM włączyło się w PiS-owską nagonkę na „niepokornego” Najsztriba w związku z jego wezwaniami do „dania w pysk” premierowi Morawieckiemu i prezesowi Kurskiemu, którą

to nagonkę, wyjaśnia Najsztrib, rozpętała władza, by przykryć użycie przez Roberta Tekielego zwrotu „odstrzelić Tuska”.

Jeśli ktoś wyrazi wątpliwość, czy TOK FM, którego głównym udziałowcem jest spółka Agora i które ma na swej antenie wiele jadowicie lewicowych audycji (na czele z moim ulubionym feministycznym „Biuletynem Rewolucyjnym”), to godzi się przypomnieć, że zarząd Agory dawno już został przez Adama Michnika zdemonstrowany jako ludzie tego samego rodzaju co sprawcy antysemickiej nagonki w 1968 r. I wprawdzie redakcja „Gazety Wyborczej” w końcu zawarła z własnym wydawcą jakąś cichą ugodę, bo spór zniknął z przestrzeni publicznej, ale co się okazało, to się okazało. Okazało się też, że PiS przejął

również kontrolę nad Radiem Zet. Okazało się to w ten sposób, że do rozmowy u Bogdana Rymańskiego zaproszony został prof. Roszkowski. Na szczęście czujny Tomasz Lis, który, odkąd stracił trybunę w „Newsweeku”, walczy na Twitterze, wysyłając ok. 30–40 wpisów dziennie, zdemonstrował zdradę, przy okazji zauważając podobieństwo nazwy radia do litery symbolizującej agresję Putina. Przypadek? Nie sądzę.

Co ciekawe, niemal w tym samym momencie przejęcie „Zetki” przez PiS dostrzegła i potępiła na Twitterze Hanna Lis. Wspólna walka z reżimem zbliżyła pokłóconych byłych małżonków? Wróć do siebie? Dobry temat dla Pudelka.

No i dla lekarzy, oczywiście. ©©



MAREK JUREK

OD POZĄTKU

Dryf w głównym nurcie

Wciele politycznym Rzeczypospolitej wszystkie organy się łączą. Skoro lider opozycji ogłosił aborcyjną deklarację, to rząd w ONZ nie musiał występować przeciw rezolucji negującej prawo do życia. System PO-PiS działa na zasadzie naczyń połączonych. PO od lat stanowi wystarczającą katolicką legitymację PiS. Im bardziej PO angażuje się przeciw cywilizacji życia, tym mniej PiS musi angażować się za.

Z faktu, że PO i PiS rzeczywiście dzielą w wielu sprawach „poglądy”, nie wynika, że w każdej z tych spraw musi ich dzielić polityka. Czasami będzie ich dzielić jedynie uzasadnienie tych samych decyzji. Na przykład PO będzie

popierać poszerzanie władzy Unii ze względu na swą „europejską wiarę”, a PiS – ze względu na „twardą narodową konieczność”.

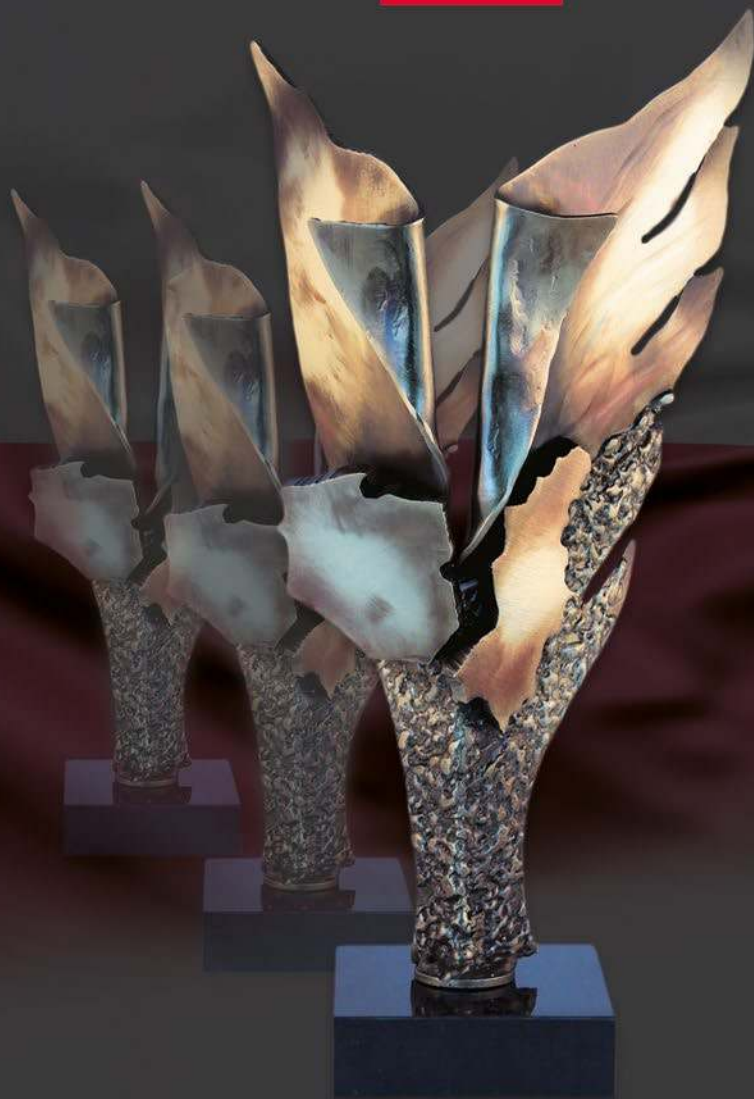
Polityka, jak pisał Cat-Mackiewicz, polega na odróżnianiu rzeczy ważnych od nieważnych. Jej istota zawiera się w priorytetach, nie w słowach. Najwyraźniej międzynarodowej ofensywy aborcyjno-genderowej rząd nie traktuje jako sprawy ważnej. Gdyby było inaczej, takie akty ukraińskiej polityki jak ratyfikacja genderowej konwencji stambulskiej lub przystąpienie partii Sługi Narodu do międzynarodówki liberalnej nasz rząd traktowałby jako ciężką porażkę, jako kryzys polsko-ukraińskiej wspólnoty wartości. Nic jednak nie wskazuje na to, by

nasze władze od obu tych aktów próbowały w jakikolwiek sposób ukraińskich partnerów odwieść.

Ktoś powie: wymogi polityki, partia Zełenskiego gdzieś musi należeć, skoro Poroszenko jest już z Tuskiem w EPP. No dobrze, ale na to prezydent Duda mógł powiedzieć: „Wołodymyr, rozumiem twoją sytuację, ale ty zrozum, że mnie stawiasz w trudnej. Jeśli musisz, to wstępuję do liberałów, ale oświadcz, że w czasie wojny nie będziesz ratyfikował konwencji, którą od lat oprostestowują najbardziej niepodległościowi liderzy chrześcijańscy w twoim kraju”. Istotnie, nasz prezydent mógł tak powiedzieć, gdyby to dla niego było... ważne. ©©

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK LUDZKICH
**DO
RZECZY**

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Jak wam się podoba?

Zapowiadająca się w Italii klęska wyborcza lewicy może radować moralistów, bo wreszcie, po 11 latach, sprzysiężenie pyszałków, hipokrytów i internetowych trolli dostanie po nosie. Ale nie ma się czym podniecać. Wszak przywołany w tytule mistrz ze Stratfordu nauczał: „Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają”.

Niestety, z punktu widzenia krajów bezpośrednio zagrożonych przez Moskwę ta perspektywa szczególnie cieszyć nie może. Szykująca się do skonsumowania zwycięstwa Liga ustami swego wodza Matteo Salvini już kwestionuje zasadność sankcji nałożonych na Rosję, bo szkodził Italii. Wtórują mu pravicowe

media, przedsiębiorcy i ponad połowa Włochów. Przypomnijmy, że Salvini kochał Putina miłością pierwszą, odwiedzał Moskwę, a nawet udał się do Pjongjangu i stwierdził zachwycony, że o wiele tam czyściej niż w Mediolanie.

Drugim udziałowcem prawicowej koalicji jest niemal 86-letni Silvio Berlusconi, osobisty przyjaciel moskiewskiego satrapy. Występuje często w telewizji i mediach społecznościowych, popisując się żenującą megalomanią, przy której błędna najbardziej spektakularne występy Lecha Wałęsy.

Ważniejsze jest co innego. Pewnie mało kto pamięta, że medialny krezus w odległym 2014 r. wsparł aneksję Krymu. Tłumaczył, że Putin miał rację, bo to część Rosji. Nieco później usprawiedliwiał

rosyjskich separatystów w Donbasie. Co więcej, niedawno temu radził prezydentowi Zełenskiemu, by dla dobra własnego i ludzkości przystał na warunki Putina, czyli skapitulował i oddał Rosji pół kraju. Kilka dni temu starzec przeszedł samego siebie. Wypalił w wywiadzie, że Putin w gruncie rzeczy jest OK, a do tragicznego napadu na Ukrainę zmusili go jacyś komuniści i cały rosyjski naród.

Jedyna nadzieja w tym, że obu błaznów w kwestii ukraińskiej będzie w stanie powstrzymać szykująca się do objęcia władzy Giorgia Meloni. W sondażach jej partia Bracia Włosi ma większe poparcie niż Salvini i Berlusconi razem wzięci. Ale cieszyć się nie ma z czego. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

TAKA MAMA
TO SKARB

Stanisław Rozenek, 16-letni syn celebrytki Małgorzaty Rozenek-Majdan, mimo młodego wieku ma bardzo sprecyzowane plany na przyszłość. Otóż chce zostać znanym projektantem. Marzy mu się światowa kariera. „Chciałbym za pięć lat zaczynać już firmę modową. Chcę pokazać polską modę całemu światu i nie chcę zatrzymać się



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

na Polskę” – zapowiada w rozmowie z portalem Plejada. Dodaje też, że ma wsparcie obojga znanych rodziców plus znanego ojczyma. – „Właściwie to z tatą zaczynałem lubić projektowanie. Tak to się zaczęło, że z tatą rozmawialiśmy o tym i z tatą projektowałem. Radek też mnie wspiera. [...] Radek jest bardzo ważną osobą w moim życiu. Bardzo się cieszę, że mam dobre relacje z Radkiem, bo jest również inspiracją, mentorem w pewnym sensie. Dużo się nauczyłem od niego i dużo miłego czasu spędziliśmy razem” – opowiada. Najważniejsza w planowaniu kariery jest jednak mama Małgorzata. „Mama bardzo mnie wspiera. Mama otwiera mi też dużo możliwości, tata podobnie” – przyznaje Stanisław. Doceniamy szczerść i prostą konstatację, że najbardziej się liczą wpływ mamy, a cała reszta to dodatek. Jak choćby talent.

LUBIANA INACZEJ

Skoro już jesteśmy przy rodzinie Majdanów i Rozenków, to perfekcyjna Małgorzata z okazji tego, że została prowadzącą telewizyjną śniadaniową w TVN, zagościła w programie swojego największego wroga w show-biznesie.

Chodzi oczywiście o Kubę Wojewódzkiego, który do tej pory nie zostawiał na Małgorzacie i sposobie robienia przez nią kariery suchej nitki. Teraz jednak w imię dobrej stacji, w której oboje pracują, musieli na chwilę zakopać topór wojenny i udawać, że się jakoś tam lubią. Wojewódzki zapytał Małgorzatę m.in. o to, czy zarabia więcej od swojego męża, byłego bramkarza Radosława Majdana.

– Tak! – odparła celebrytka, ale zaraz dodała, że jej mężowi to nie przeszkadza. – Radosław jest osobą, która jest bardzo stabilna emocjonalnie. Jest facetem, który okazuje bardzo dużo wsparcia, jest facetem, który potrafi zbudować swoją kobietę. To jest ogromna jego zaleta, że kobiety przy nim rozkwitają – mówiła Małgorzata, dodając, że Radzio „w ogóle się z nią nie ściga”, bo spełnia się w swojej pracy, ma nowe wyzwania i swój świat piłki nożnej. Celebrytka potwierdziła też, że jej stawki za zawodowe projekty zaczynają się od 300 tys. zł! – Kwota się zgadza, ale nie jestem zepsuta. Oboje przyznaliśmy, że jesteśmy dobrze wynagradzani za naszą pracę. Bo dowozimy wyniki – mówiła, zwracając się do Wojewódzkiego. – Nikt nam nie płaci za to, że nas lubi – dodała. Na szczęście dla niej, bo gdyby jej pensja zależała od sympatii, którą wzbudza, to nawet najniższej krajowej by pewnie nie zarobiła.

MĄDRE KSIĄŻKI

Celebrytka i planerka ślubna Izabela Janachowska bardzo przeżywa to, jaka przyszłość czeka jej jedyne dziecko. Chce, by wyrósł na mądrego człowieka, a ma obawy, że publiczne przedszkola i szkoły tego nie zagwarantują. Mówi to oczywiście w kontekście dyskusji o podręczniku do HiT, którego zapewne nie czytała, ale o którym swoje zdanie, jak każdy szanujący się celebryta, ma.

– Jak każda mama chcę chronić swoje dziecko, jak to jest tylko możliwe. Chcę je wychowywać w takim światowym duchu ogromnej otwartości, tolerancji. I dlatego też, jeszcze zanim ten podręcznik się ukazał, podjęliśmy taką decyzję, że Chris pójdzie do przedszkola, które będzie szkołą brytyjskim tokiem nauczania – ujawniła. Nie wyklucza też, że w przyszłości jej syn pójdzie też do prywatnej szkoły, choć pewności jeszcze nie ma. – Zależy mi,

żeby szkoła była na dobrym poziomie. Żeby miała dobre podejście do ucznia, żeby go rozwijała. Zaczynamy od szkoły anglojęzycznej, jak będzie dalej, zobaczymy – snuje swoje plany. – Ja absolutnie nie chciałabym, żeby się uczył z żadnych głupich podręczników. Chciałabym, żeby czytał mądre książki i wyrósł na mądrego człowieka, który będzie światły, za którego nigdy nie będę musiała się wstydzić. I będzie zachowywał się w sposób po prostu ludzki w stosunku do wszystkich innych ludzi – dodała na koniec. Czyli syn pani Izabeli musi iść do prywatnego przedszkola, a potem szkoły, żeby móc tam czytać mądre książki. Kto bogatemu zabroni?

KONIEC CORAZ
BLIŻEJ

W internecie gruchnęła wieść, że para celebrytów – muzyk Baron i modelko-celebrytka Sandra Kubicka, którzy do tej pory zasypywali Internet swoimi wspólnymi zdjęciami – z dnia na dzień przestali się obserwować na Instagramie. A wiadomo, co to może oznaczać! Jakby tego było mało, Sandra całkiem sama udała się na ślub znajomych na grecką wyspę Santorini. I w ogóle dawno nie wrzucała żadnych zdjęć z Alkiem. Podejrzliwi fani zaczęli więc zadawać pytania, czy aby przypadkiem para się nie rozstała. Wkurzona Sandra początkowo ignorowała te zaczepki, ale w końcu nie wytrzymała. – Boże, ludzie, a czy ja wszędzie muszę być z Alkiem? Każde z nas ma obowiązki. Ja jestem świadkową na ślubie moich przyjaciół, a on nagrywa „The Voice”. Wrzuciłam ostatnio podcast, w którym rozmawiałam z panią psycholog o tym, jak żyję z mężczyzną, a nie na mężczyznę, i myślałam, że doleciało, ale ewidentnie nie do wszystkich. Czy my musimy być wszędzie razem non stop? – pytała, nie kryjąc irytacji.

– Wiem, że w Polsce jest to ciężkie do pojęcia dla wielu, gdzie matki wychowują swoje córki od małego i uczą, że mają siedzieć w domu i nie odzywać się, i obierać staremu ziemiaki. Jest 2022 r. Otwórzcie głowy na inne perspektywy – apelowała. Być może on już otworzył, tylko ona jeszcze o tym nie wie. Można chyba iść po popcorn. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, było nam w nieświadomiony sposób smutno przez te wszystkie ostatnie lata, kiedy nie widywaliśmy Kazi Szczuki, więc teraz tym bardziej nam wesoło, kiedy obejrzelśmy fragment tego słynnego wywiadu w RMF, w którym Kazia zaorala PiS-owca.

Wyciągnięcie karty „tupolew” w odpowiedzi na jakąkolwiek inną, niezwiązaną z nim kwestię to zabieg erystyczny godny samego Schopenhauera. Jest to zabieg, który powinien być tłoczony do głów studentom pierwszego roku dziennikarstwa.

Jakież to jest suspens, niby reparacje, niby gadka o czymś innym, rozmówca zaczyna się wymądrzać, aż tu nagle, srrrru – tupolew. Rozmówca skonfundowany, nie wie, gdzie oczy podziać, patrzy z niedowierzaniem, usta niedomknięte, redaktor triumfuje. Serio, to jest coś, tego oczekujemy od mediów.

Zwróćcie też uwagę, iż Kazia miała odwagę przyznać się do błędu, a była właściwie cały czas pod ostrym ostrzałem pytań, bo PiS-owiec najwyraźniej pomylił sobie role. Kulminacją tego była beczelna uwaga, iż w języku polskim nie ma słowa „biliard”. A przecież język ciągle ewoluuje (nawet teraz!), feminitywów też pewnie się boi, jak to więc dobrze, że trafił na tak doświadczoną osobę dziennikarską!

Aw ogóle jesteście wam winni nasze zdanie w kwestii reparacji. Otóż z zaskoczeniem przyjęliśmy wypowiedzi Kaczafiego, Matiego i innych

przedstawicieli (nie)rządu. Przeciesz jeśli już mielibyśmy ubiegać się o odszkodowanie, to od prawdziwych sprawców wojny i nieszczęść.

Czemu więc czepiamy się Niemców, a nie nazistów? Dlatego iż Niemcy



zamieszkują obecnie były Nazistoland i przez to są łatwym celem tego rodzaju ataków?

Jak wszyscy bowiem wiemy, naziści po wojnie odlecieli na księżyc swoją Luftwaffe, więc szaleństwem byłoby teraz doszukiwanie się winnych, awanturowanie się o pieniądze itd.

Zresztą czy zawsze musi chodzić o pieniądze? Jeśli już nawet z Niemcami mamy to załatwiać, to czy nie można byłoby rozwiązać sprawy jak kulturalne osoby? Czyli np. zorganizować cykl wykładów o winie i odpowiedzialności za wybuch wojny, dofinansować z niemieckiego stypendium jakichś niezależnych historyków i autorytetów, iżby edukowali ciemny lud tego kraju o tym, co robiły ich matki i co robili ich ojcowie w czasie wojny.

Obawiamy się jednak, iż to nie ma szans się spełnić, iż rezultaty takich akcji edukacyjnych byłyby zapewne bardzo nie w smak rządowi. No to będą się dalej kłócić o te pieniądze, żeby dostać od Niemców i przewalić na socjal. I tak na końcu biedny niemiecki Helmut spod Monachium zamiast mieć na weizena i wursta, będzie musiał dać polskiemu bąbelkowi na „500+”. A wszystko niby w imię historycznej prawdy.

Iż trwa sezon na grzyby, Nowy z Tarnowa zarządził nam spotkanie integracyjne w Puszczy Niepołomickiej, połączone ze zbieraniem grzybów i... cóż, z innymi aktywnościami, którym tradycyjnie w czasie zbiorów oddają się grzybiarze.

Nowy co prawda żadnego grzyba nie znalazł, ale bardzo szybko musieliśmy go odnieść śpiewającego „Barkę” do autobusu.

Dzięki temu mieliśmy czas na refleksję, iż w sumie to nie mamy wytycznych, czy grzyby możemy jeść, będąc na diecie wegańskiej, czy też nie. Szybki risercz w Google dał nam odpowiedź, iż grzyby nie identyfikują się ani jako rośliny, ani jako zwierzęta, tylko stanowią osobne królestwo.

I taką postawę to my szanujemy i rozumiemy. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Z góry upatrzona pozycja

No i co, Jacku? Taki byłeś niezniszczalny, a w końcu cię posunęli.

Nic nie rozumiesz. To jest zaplanowany ruch. Czaban tylko wykonywał plan Naczelnika. Wej-

dę wkrótce na z góry upatrzoną pozycję.

Każdy tak mówi. Co, może wicepremierem zostaniesz?

Wicepremier to jest, mój drogi, wariant absolutnie najmniejszy. Mało prawdopodobne.

To niby co? Premierem?

To też poniżej możliwości, ale być może. Ale nie teraz, jak wybory wygramy.

Może mi powiesz jeszcze, że na prezydenta będziesz kandydował?
Powiem.

Tak, jasne.

Możesz nie wierzyć, ale to w sumie też jest wariant awaryjny.

A jaki jest wariant główny? Sekretarz generalny ONZ?

Lepiej.

Papież?

Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

© ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wy nie macie papieża, ale macie piękne mecze różnego typu”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, podczas spotkania z Kubańczykami w USA, radząc im, jak organizować społeczny opór

Karpacz, Karpacz i po Karpaczu. Ciekawa rzecz – poszło w tym roku hasło z ministerstwa aktywów państwowych, żeby spółki Skarbu Państwa raczej omijały Forum Ekonomiczne. Domyślały się, że może to mieć coś wspólnego z wypowiedziami Berdychowskiego o potrzebie interesów z Rosją. A tu nagle okazało się, że na imprezę przyjechał były Szeregowy Wicepremier Jarosław Kaczyński, co spółkowiczów, którzy nie przyjechali, wprawiało w popłoch, a nielicznych, którzy przyjechali – w ekstazę.

Apropos ekstazy. Panel z udziałem Jarosława Kaczyńskiego SWP miał zacząć się o godz. 17.15. Wiecie, od której już ludzie przychodzili zajmować krzesła? Mniej więcej od 14. No i twardo siedzieli. Siedzieli, siedzieli, aż wysiedzieli.

Witamy nowego premiera Wielkiej Brytanii, a nawet nową premierę. Jako mole książkowe musimy odnotować, że Liz Truss ma w dorobku całkiem ciekawą książkę, którą popęłniała była z czworgiem innych konserwatywnych młodych wilczków. „Britannia Unchained” to manifest skrzydła torysów czczącego von Hayeka i nienawidzącego podatków. Zobaczymy, co po deklaracjach Lizzie sprzed dekady zostanie w realu.

Ciekawa rzecz: „Britannia Unchained” to jedna z lektur, które na podłodze swojego samochodu woził Boris Johnson. Razem z komiksem o Tintinie (album „Błękitny lotos”) oraz książką Meg Cabot „Victoria and the Rogue”. Po stosowne zdjęcia odsyłamy do „The Sun” z roku 2019. Ciekawi jesteśmy, jakie książki wozi w aucie premier Mateusz i czy wśród ich autorów też znajduje się potencjalny przyszły premier.

Witamy nowego prezesa TVP. Jesteśmy w tej uprzywilejowanej sytuacji, że znaleźliśmy go i czytaliśmy, zanim jeszcze robił cokolwiek w jakiegokolwiek telewizji. Mateusz Matyszkowicz zostawił nawet jednemu z Panów G. w spadku program w telewizji Republika – „Literatura na trzeźwo”, choć wie, że konsumujemy literaturę także w innych stanach.

Pamiętacie Szymka Hołownię? Taki zabawny gostek z tefauenu, któremu wydaje się, że jest politykiem. Otóż wreszcie zmądrzał i postanowił uczyć się od starszych i bardziej doświadczonych. W efekcie ogłosił, że on i jego ludzie będą jeździć po Polsce, żeby słuchać ludzi. Miłe, że składa hołd Beacie Szydło. To ona wymyśliła, żeby było to hasło i kampanii prezydenckiej, i parlamentarnej PiS w 2015 r. Szymkowi doradzamy raczej powrót do pisania książek. Choć komentarzy do Arystotelesa pióra Matyszkowicza i tak nie przebijają.

Wubiegłym tygodniu na cmentarzu w Fürstenbergu odbył się pogrzeb więźniarek z Ravensbrück. Na pogrzebie pojawiła była więźniarka, 100-letnia Wanda Półtawska, którą sam Karol Wojtyła nazywał siostrzyczką. Mało jednak brakowało, by jej na tych uroczystościach zabrakło. Kilka tygodni przed uroczystościami sędziwej weterance poruszającej się na wózku obiecał zorganizować transport rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak. Miał nawet załatwić śmigłowiec. Kiedy jednak okazało się, że na uroczystości nie przybędzie pierwsza dama (ruszyła z Andrzejem Sebastianem do Afryki), Pawlak przestał się odzywać. Sytuację ocalił Wojciech Kolarski z pałacu Andrzeja Sebastiana

i ostatecznie Dama Orła Białego mogła wziąć udział w ostatnim pożegnaniu obozowych koleżanek. Mikołaja Pawlaka wciągamy do naszego albumu „Z dziejów żenady w Polsce”.

Przy okazji pogrzebu jednemu z Panów G. udało się przeprowadzić rozmowę z Wandą Półtawską. Był to pierwszy wywiad przeprowadzony przez owego dziennikarza na klęczkach. Zresztą podczas tej rozmowy Pan G. usłyszał, że mężczyźni przed kobietami powinni klęczeć. Jednak najbardziej bierzemy sobie do serca inne słowa pani doktor: „Trzeba być człowiekiem, a nie gorylem”.

Skoro już jesteśmy przy elementach animalnych. Otóż od czasu słynnej już wymiany zdań Justyny Dobrosz-Oracz z Przemysławem Czarnkiem, zakończonej pytaniem: „Czy pani jest głupia?”, minęło już kilka dni, a my dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że bohaterka tej scenki od wielu lat ma ksywkę „głównóg”. Zachodzimy w głowę, skąd to określenie. Z ostrożności procesowej przyjmujemy, że to komplement.

Pzechodzimy do świata roślin i minerałów. Trochę zaskoczyła nas wypowiedź peezelowca Marka Sawickiego, że węgiel nie należy wydobywać, gdyż natura ukryła go pod ziemią. Mamy problem, bo marchewki, buraki i ziemniaki też natura ukryła pod ziemią, a mimo to peezelowcy je wydobywają. Nie jesteśmy w związku z tym pewni, w jakim kierunku idą dobre rady wujka Marka. Oby nie w indyjskim, bo tam zamiast węglem palą wysuszonym tym, co słoń zrobi.

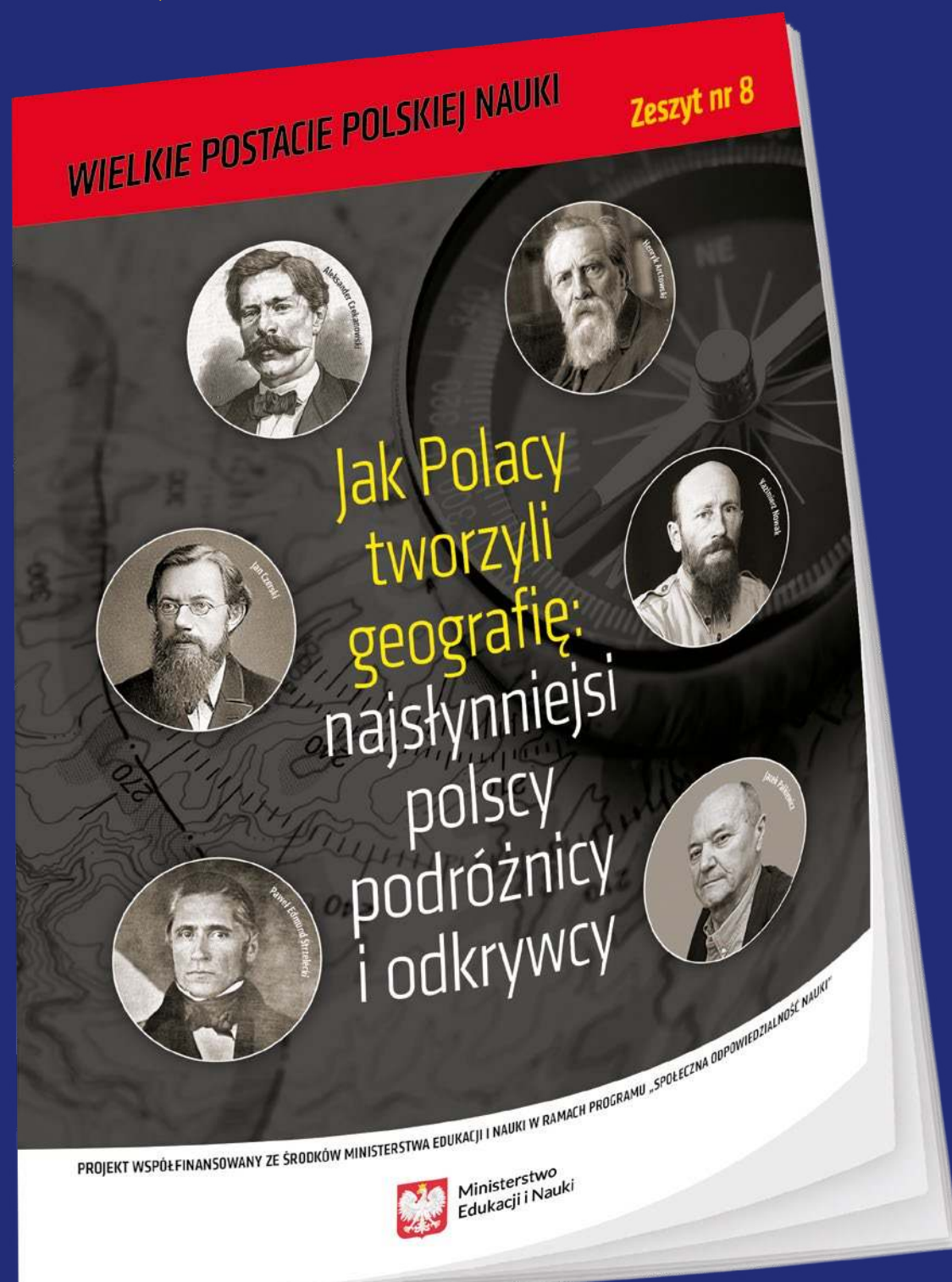
Uwaga, będziemy mieli nowego ambasadora u Turczy. Do Ankary z Bukaresztu wybiera się Maciej Lang. Ten człowiek to prawdziwy Włóczykij. Niewiele jest osób w MSZ, które kierowały tyloma placówkami co on. Jest jednak ewenementem pod jeszcze jednym względem. Na żadnej z placówek nie udało mu się odbębnić całej ambasadorskiej kadencji. I nie dlatego, że jest jakimś nieudacznikiem. Wręcz przeciwnie. Zwykle w połowie kadencji okazuje się, że trzeba go rzucić na kolejny, jeszcze ważniejszy odcinek niż dotychczas. Już teraz zastanawiamy się zatem: Co po Turcji? ©

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Już za tydzień



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 732a2ad455

Gdzie jest drewno z polskich lasów?



Ostatnio zarzuca się leśnikom masową wyprzedaż drewna do Chin. O prawdę pytamy u źródła. Z Józefem Kubicą, p.o. dyrektorem generalnym Lasów Państwowych, rozmawiamy o drewnie – ekologicznym i w pełni odnawialnym surowcu – i mitach, jakie mnożą się na jego temat. Flagowym jest masowy eksport do Chin

Panie dyrektorze, jaka jest prawda? Lasy Państwowe eksportują drewno do Chin czy nie?

JÓZEF KUBICA: Lasy Państwowe nie zajmują się eksportem drewna, co powtarzamy przy każdej możliwej okazji. Sprzedajemy drewno wszystkim legalnie działającym w Polsce podmiotom gospodarczym oraz ok. 20 chętnym firmom z terenu UE. Opracowaliśmy specjalne narzędzia informatyczne, którymi od kilkunastu lat posługujemy się w procesie sprzedaży drewna. Zapewniamy nam transparentność wszystkich procedur i bezstronność przy wyborze kontrahentów. Zasady te premiuje przedsiębiorców, którzy pracują na rzecz rozwoju polskiej gospodarki.

Ale śledzicie, co kontrahenci robią z drewnem kupionym od Lasów Państwowych?

Absolutnie nie. To, co robią z drewnem jego nabywcy, pozostaje ich indywidualną decyzją. Czy kupujący je wyeksportuje czy przerobi na miejscu i w jakim stopniu to zrobi, to jego autonomiczne prawo, w które nie można ingerować. Posłużę się tu przykładem, żeby lepiej zobrazować tę zależność, analogiczną



do tej, która zachodzi między sklepem a kupującym. Gdy odchodzi pan od kasy, nikt nie ma prawa ingerować w to, co się stanie z zawartością pana koszyka. Jeśli będzie pan chciał wyekspediować produkty za granicę, ta kwestia zostanie przedmiotem zainteresowania służb celno-skarbowych, a nie sklepu. Wolność wyboru i możliwość podejmowania niezależnych decyzji leży u podstaw każdego demokratycznego państwa.

To skąd oskarżenia, że Lasy Państwowe eksportują drewno do Chin?

Wygląda na to, że wystarczy tylko odpowiednio często powtarzać nieprawdziwe informacje, publikować je na wielu portalach i załączać fake'owe zdjęcia, które zapadają w pamięć. A jeśli do tego uda się dołączyć wypowiedzi różnego rodzaju aktywistów czy działaczy ekologicznych, którzy świadomie lub nieświadomie potwierdzają takie „rewelacje”, przepis na uwiarygodnienie fake newsa gotowy. To działa do tego stopnia, że łapią się na takie sfabrykowane informacje nawet poważne media. Taką zaplanowaną nieprawdą, świadomie kolportowaną w Internecie przez – powiedzmy – pewne środowiska nieprzychylnie leśnikom, jest właśnie fake news o rzekomym masowym eksporcie polskiego drewna do Chin.

Na jakim podstawie wiadomo, że Port Gdańsk odnotował skokowy wzrost przeładunku drewna? Przecież to surowiec z polskich lasów?

Niedawno na stronie internetowej Portu Gdańsk pojawiła się informacja, że od stycznia do końca lipca tego roku



przeładowano w tym porcie ponad 36 mln ton towarów – o 20 proc. więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Największy skok wystąpił w drewnie – o 3150 proc. W Internecie od razu pojawiła się informacja, że to dowód na to, iż Lasy Państwowe masowo wycinają drzewa i wysyłają je do Chin. Takie tezy postawiły nawet poważne media, podając dane z portu, ale nikt nie zweryfikował, skąd te wzrosty. Zrobili to dopiero... leśnicy, którzy sprawdzili, skąd pochodzi przeładowywane drewno.

I co udało się ustalić?

Okazuje się, że podawana na stronie portu dynamika +3151 proc. przeładunku drewna dotyczy 368 tys. ton drewna pochodzącego z Litwy, Estonii i Skandynawii. W porcie w Gdańsku to drewno jest pakowane w kontenery i wywożone do Chin, a niewielka ilość pozostałego drewna wyjeżdża samochodami do odbiorców w Polsce. Dodatkowo robione są tam przeładunki lądowe: drewno z Czech przyjeżdża do portu na wagonach, jest składowane i ładowane do kontenerów, które również płyną do Chin. Cieszy, że polski port jest atrakcyjny dla zagranicznych klientów handlujących drewnem. Ale ani z polskimi drzewami, ani z Lasami Polskimi nie ma to nic wspólnego.

To gdzie w takim razie trafia drewno z polskich lasów?

Modelowo – dostęp do drewna z polskich lasów powinni mieć w pierwszej kolejności obywatele naszego kraju – zarówno indywidualni nabywcy, jak i przedsiębiorcy. Drewno także powinno być przerabiane na miejscu. W naszym przypadku za deklaracją idą konkretne działania. Lasy Państwowe wprowadziły regulacje, które premiuje lokalny przerób drewna. Mam tu na myśli znowelizowane zasady sprzedaży drewna dla przemysłu, zgodnie z którymi dodatkowo punktowani są nabywcy, którzy ten surowiec przerabiają i robią to w granicach Unii. Teraz każda firma, która chce kupować drewno w Lasach Państwowych, musi złożyć oświadczenie na ten temat. Ci, którzy otrzymają dodatkowe punkty za lokalny przerób, kupią w niższej cenie.

Jakie jeszcze możliwości dają nowe zasady sprzedaży drewna?

Wprowadzone rozwiązanie to także sposób na handlarzy, którzy skupują polskie drewno przeznaczone dla krajowych producentów i sprzedają je z dużym zyskiem za granicę. Windują w ten sposób ceny drewna i zagrażają miejscom pracy w polskim przemyśle drzewnym. Nowe przepisy sprzedaży drewna mają ukrócić ten proceder.

A Lasy Państwowe i cały sektor leśno-drzewny to istotny pracodawca?

Zdecydowanie tak. Las od zawsze daje ludziom pracę. A sektor gospodarki związany z leśnictwem – głównie przemysł tartaczny, meblarski i papierniczy – to nawet 400 tys. miejsc pracy. To duży gracz, trzeba zatem działać tak, by nieprzerobione drewno nie wyjeżdżało z kraju, bo w ten sposób zmniejszamy liczbę etatów. Ale trzeba pamiętać, że to nie Lasy Państwowe ślą polskie drewno na eksport. Nie zabiegamy o zagranicznych klientów, nie wysyłamy drewna poza kraj, nie mamy też wpływu na przepisy celne.

O czym więc decydują leśnicy? Mogą dowolnie zwiększać liczbę ścinanych drzew w zależności od potrzeb rynkowych?

To kolejny mit i przykład, jak łatwo wprowadzić ludzi w błąd. Leśnicy dbają o polskie lasy od ponad stu lat. Prowadzą zrównoważoną i wielofunkcyjną gospodarkę leśną, czyli działają tak, aby polska gospodarka miała drewno, obywatele coraz więcej zdrowych miejsc do odpoczynku, a przyroda zapewniony bezpieczny rozwój. Podstawowy dokument, w którym te zasady są określone, to plan urządzenia lasu. Powstaje raz na 10 lat, zawiera szczegółowy opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej. Opracowanie tego dokumentu jest złożonym procesem, w który zaangażowanych jest wielu specjalistów i naukowców, i trwa ok. trzech lat. Na każdym etapie jego powstawania jest zapewniony udział społeczeństwa. Ostatecznie zatwierdza go minister środowiska.

Co dzieje się później? Jak wygląda realizacja tego planu?

Po wejściu w życie planu w danym nadleśnictwie pozyskiwanie drewna odbywa się tam ściśle według określonych w nim limitów i w jasno określonych miejscach. Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny. Dlatego nie występuje w Polsce zjawisko „masowych wycinek”, jak często się to rozpowszechnia w Internecie. To planowe pozyskanie, określone 10 lat wcześniej i zatwierdzone przez ówczesne kierownictwo ministerstwa na podstawie opracowań ekspertów i danych naukowych.

Globalna konkurencja dla Chrystusa



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki przez wszystkie wieki w absolutnym centrum swojego przepowiadania stawiał Ewangelię. Dzisiaj jej miejsce zajmują coraz częściej „zrównoważony rozwój” i inne świeckie programy przebudowy społeczeństw. Stolica Apostolska ma nadzieję, że pomoże to wypracować nowy globalny porządek – nadzorowany przez jakąś formę światowego rządu



Papieże ostatnich dziesięcioleci już kilkakrotnie wyrażali wprost poparcie dla stworzenia globalnej władzy

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Światowe Dni Młodzieży są co do zasady wielkim spotkaniem młodzieży katolickiej z biskupem Rzymu. W Lizbonie w 2023 r. mówić będzie się jednak nie tylko o „programie”, jaki ma Jezus Chrystus dla każdego człowieka. Drugim z wielkich tematów będzie... „Agenda na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030”. „Agenda...” jest programem Organizacji Narodów Zjednoczonych przyjętym w 2015 r. przez wszystkie państwa członkowskie. Stanowi w prostej linii kontynuację „Milenijnych Celów Rozwoju”, które skupiona w ONZ „społeczność międzynarodowa” zobowiązała się zrealizować już wcześniej. Zgodnie z „Agendą...” do roku 2030 państwa członkowskie mają osiągnąć 17 celów, takich jak położenie kresu biedzie i głodowi, ochrona środowiska naturalnego czy walka o sprawiedliwość płciową.

Stolica Apostolska nie jest członkiem ONZ i nie podpisała „Agendy...”. Na ŚDM w Lizbonie jednak to ten dokument – jak napisali kościelni organizatorzy w ogłoszonym 22 kwietnia „liście zobowiązującym” – ma być „głównym celem”

Stolica Apostolska od początku pontyfikatu Franciszka włącza się chętnie w najrozmaitsze inicjatywy o globalistycznym charakterze

zgrupowanych katolików. Wskazano konkretnie na cele „Agendy...” dotyczące zdrowia, edukacji, ekonomii, ekologii oraz równości płci. Pod tym ostatnim punktem, jak głosi „Agenda...”, kryje się m.in. postulat „zapewnienia powszechnego dostępu do ochrony zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego oraz korzystanie z praw reprodukcyjnych”. Z dokumentów pomocniczych, do których odsyła ONZ celem wyjaśnienia treści tych haseł, wynika, że obejmują one m.in. aborcję, antykoncepcję i gender mainstreaming. To oczywiście żadna tajemnica. ONZ od dawna lansuje koncepcję uznania aborcji czy „zmiany płci” za podstawowe prawa człowieka. W 2020 r. stosowne agendy ONZ wyraziły ostrą krytykę wobec Polski w związku z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego dotyczącym zakazu aborcji eugenicznej. Bazując na

sporządzonym wcześniej proaborcyjnym biuletynie, ONZ sugerowała, że Polska „torturuje” kobiety, nie pozwalając na realizację rzekomego prawa. Później tego rodzaju aktywność ONZ wobec naszego kraju była jeszcze wiele razy ponawiana. Również w 2020 r. Organizacja ogłosiła obszerny biuletyn poświęcony konieczności implementacji na całym świecie genderyzmu.

SOJUSZ Z GLOBALISTAMI

Można byłoby pomyśleć, że powiązanie celów katolickich ŚDM z „Agendą 2030” to wypadek przy pracy, bo Watykan nie będzie przecież promować wśród młodzieży aborcji ani LGBT. Być może nie będzie, choć trudno tu o kategoryczne sądy: papieskie wsparcie dla proaborcyjnych demokratów w USA czy wysiłki Franciszka na rzecz pozyskania przychylności tęczyowych środowisk każą wątpić w istnienie nieprzekraczalnych granic w omawianych kwestiach.

ŚDM w Lizbonie odsyłają nas jednak do zupełnie innego pytania: Dlaczego jedno z centralnych ewangelizacyjnych przedsięwzięć Kościoła katolickiego nie tylko zamierza skupiać się na Chrystusie i Maryi, lecz także jako „główny cel” stawia sobie włączenie się w rewolucyjną „Agendę 2030”? Innymi słowy: Dlaczego Stolica Apostolska podejmuje bliską współpracę z globalistycznymi organizacjami głoszącymi jawnie antychrześcijańskie poglądy?

Odpowiedź zdaje się kryć w użytym przed chwilą przymiotniku „globalistyczny”. Stolica Apostolska od wielu lat, a od początku pontyfikatu Franciszka w szczególności, włącza się chętnie w najrozmaitsze inicjatywy o globalistycznym charakterze, nie bacząc wcale na ich zgoła niechrześcijańskie konotacje i cele – tak jakby sam fakt ich globalnego zasięgu wszystko tłumaczył i uzasadniał. Watykan nierzadko sam rozpoczyna tego rodzaju przedsięwzięcia. W 2020 r. papież powołał do życia „Globalny Pakt Edukacyjny”, który promuje podejmowanie działań na rzecz wykształcenia przyszłych pokoleń w duchu powszechnego braterstwa i walki z dyskryminacją; z założenia odchodzi się tu od różnic konfesyjnych, które muszą ustąpić wspólnocie trudzącej się na rzecz budowy sprawiedliwości i pokoju.

W tym samym roku wystartował projekt „Ekonomia Franciszka”. Ma przysłużyć się zaistnieniu nowych standardów

gospodarczych na świecie, które nie będą nikogo wykluczać. Teoretyczną podbudowę pod te inicjatywy Franciszek zawarł w swoich bynajmniej nie do katolików skierowanych encyklikach – promującej głęboki ekologizm „Laudato si” oraz „Fratelli tutti”, która zdaniem wielu głosi braterstwo rozumiane na modłę deistycznego oświecenia. Watykan aktywnie szuka też współpracy z ludźmi, którzy mogą stanowić pomost pomiędzy Kościołem a światem wielkiej finansjery i globalizmu. Przykładowo jesienią 2021 r. do Papieskiej Akademii Nauk Społecznych włączony został Jeffrey Sachs, znany nie tylko jako ekonomista, lecz także jako propagator ograniczania światowej populacji z użyciem aborcji i antykoncepcji.

Sama „Agenda 2030” nie jest zresztą dla Watykanu dokumentem w ścisłym tego słowa znaczeniu zewnętrznym. Rzym uczestniczył zarówno w negocjacjach poprzedzających przyjęcie „Agendy...”, jak i w rozmowach na temat jej wdrażania. Wykorzystywano to również do dobrych celów. Przykładowo w 2016 r. abp Bernardito Auza, ówczesny stały obserwator Stolicy Apostolskiej przy ONZ, zwracał uwagę na konieczność zapewnienia prawa do życia na każdym etapie i krytykował ideologiczne rozumienie angielskiego słowa „gender”, naciskając na jego odczytanie jako po prostu „płeć”. Jak widać po jej ostatniej aktywności oraz po odsyłaczach zamieszczonych w tekście „Agendy...”, ONZ nie dała się przekonać.

KOŚCIÓŁ JAKO „FBO”

Nie ma większych trudności z odpowiedzią na pytanie, dlaczego globaliści zainteresowani są ścisłą współpracą z Watykanem. Z ich perspektywy Kościół katolicki jest jedną z najbardziej wpływowych „FBO” (faith based organisations), czyli organizacji opartych na wierze. Poprzez „FBO” środowiska te mogą wywierać na ludzkość unikatowy z ich perspektywy wpływ. Kościół nadaje się do tego idealnie, bo choć katolicyzm wyznaje jedynie część światowej populacji, to dzięki skupieniu pełni władzy w rękach papieża współpraca, o ile pozyskana tylko zostanie jego przychylność, może być wyjątkowo sprawna. Świat islamu, prawosławia, protestantyzmu czy buddyzmu nie daje takich możliwości. Co więcej, poprzez dotarcie do papieża i Kurii Rzymskiej globaliści



Jednym z głównych tematów ŚDM w Lizbonie będzie „Agenda na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030”

FOT. LISBOA2023.ORG/MATERIAŁY PRASOWE

mogą starać się nie tylko oddziaływać na zapytania milionów ludzi na całym świecie. Mogą też próbować wykorzystać katolickie zasoby osobowe, finansowe i infrastrukturalne. Doskonałym przykładem takiego instrumentalnego wykorzystania Kościoła jako wpływowej „FBO” była (jest?) pandemia COVID-19. Stolica Apostolska zaangażowała cały swój autorytet w promowanie akcji wielokrotnych szczepień. Sam papież manifestacyjnie przyjmował wakcyny i usilnie zalecał to samo wiernym, stosując nieledwie szantaż moralny. Bez cienia wątpliwości promotorzy „zdrowia globalnego” dzięki posiadaniu w papieżu i Kurii Rzymskiej sojusznika osiągnęli większy sukces, niż gdyby podmioty te zachowały neutralność – nie mówiąc już o sytuacji ich aktywnego sprzeciwu. Gdyby Franciszek powiedział jasno, że szczepienia nie mogą być obowiązkowe i zmuszanie do nich jest nadużyciem, to biskupom i księżom byłoby o wiele trudniej podstawić pod kościoły szczepionkobusy i mówić wiernym, że brak wakcynacji jest grzechem przeciwko piątemu przykazaniu. Oczywiście nie sposób rozstrzygnąć, na ile watykańskie wsparcie dla akcji wyszczepiania populacji światowej było działaniem suwerennym, a na ile podyktowanym przez nowych „przyjaciół” Stolicy Apostolskiej. Zwraca jednak uwagę to, że w maju 2021 r. na konfe-

rencji sanitarnej w Watykanie zupełnie wprost strategii wykorzystania „FBO” do promocji szczepień mówił dr Anthony Fauci, główny organizator polityki antycovidowej USA. Amerykanin wskazywał wówczas, że dzięki temu, iż księża katolicyści posiadają szczególnie rodzaj autorytetu, mogą promować szczepienia, oddziałując na wiernych w sposób zupełnie niedostępny dla lekarzy czy ekspertów; dlatego zabiegał o wsparcie. W pełni skutecznie: „FBO Kościół katolicki” została niemal stuprocentowo pozyskana dla tej inicjatywy. Co będzie, jeżeli ONZ et consortes wydadzą kiedyś wojnę np. gotówce jako narzędziu mającemu wspierać handel ludźmi i przestępczość w ogóle? Czy i wówczas księża na całym świecie zostaną zaangażowani do promowania płatności bezgotówkowych?

„POBOŻNE ŻYCZENIA” WATYKANU

Trudniej znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie cele przyświecają samej Stolicy Apostolskiej. Można byłoby sądzić, że Watykan próbuje po prostu wykorzystywać wszystkie dostępne mu narzędzia, by promować katolicką naukę, zwłaszcza naukę społeczną. Pozornie jest to logiczne: udział przedstawicieli Stolicy Apostolskiej w różnorodnych inicjatywach globalnych daje rzeczywistą okazję do prezentowania katolickiego spojrze-



nia, a niekiedy być może nawet pozwala realnie zmienić tekst przyjmowanych dokumentów czy ukierunkować jakieś działania na inne tory. Papież Franciszek tak wiele uwagi poświęca wyrażaniu troski o ubogich, że byłoby zaskakujące, gdyby nie próbował skłonić międzynarodowych organizacji do większej wrażliwości na problemy związane z biedą.

Biorąc pod uwagę postępującą pauperyzację mas ludności i coraz większe rozprzestrzenienie ideologii godzących w godność człowieka, można powątpiewać w skuteczność działań Watykanu, jeżeli istotnie takie byłyby ich założenia. Inna kwestia to bliska papieskiemu sercu ekologia: wprowadzie rosyjska agresja na Ukrainę zatrzymała błyskawiczne wdrażanie zielonych polityk, ale to być może tylko przejściowa trudność i po ewentualnym ustaniu konfliktu świat dalej będzie stawać się z błogosławieństwem Rzymu coraz bardziej wrogi węglowi – tak jak sama bazylika św. Piotra, która do roku 2025 chce osiągnąć „zerowisyjność”.

Bliska współpraca Stolicy Apostolskiej z siłami, które stoją na radykalnie przeciwnych pozycjach niż Kościół, może budzić jednak również poważne wątpliwości. Rozwój wypadków w wielu krajach na świecie pokazuje, że Watykan nie tyle doprowadza do „katolicyzacji” światowej polityki i ekonomii, ile raczej sam się zeświecza – a przy okazji

legitymizuje antychrześcijańskie agendy (i „Agendę...”).

Skąd więc ta „nieostrożność” Stolicy Apostolskiej? Nie chcę wskazywać tu na możliwą niejawną infiltrację Kurii Rzymskiej przez różnego rodzaju wpływowe grupy o globalnym zasięgu. Nie jest wprawdzie wykluczone, że część wysoko postawionych hierarchów w Watykanie zarówno w przeszłości, jak i dzisiaj ma związki z takimi organizacjami, jak choćby masoneria. Argumentowanie na tej płaszczyźnie byłoby jednak płonne, bo pozbawione jest transparentnych podstaw. Stąd wypada odwołać się raczej do czynników namacalnych. Jednym z nich jest tymczasem ideologia – i nie chodzi mi bynajmniej o ekologizm.

NA DRODZE DO BUDOWY RZĄDU ŚWIATOWEGO

Sądzę, że jednym z istotnych czynników pchających Stolicę Apostolską do bliskiej współpracy ze środowiskami globalistycznymi jest przekonanie części watykańskich elit o nieodzowności powołania jakieś formy rządu światowego. Papież ostatnich dziesięcioleci już kilkakrotnie wyrażał wprost swoje poparcie dla stworzenia globalnej władzy. Część biskupów Rzymu zrezygnowała z promowania po prostu „współpracy” międzynarodowej, która zasadzałaby się wyłącznie na zasadzie dobrowolności.

Zamiast tego proponowali stworzenie ciał, które dysponowałyby możliwością karania nieposłusznych – co stanowi przecież sam fundament każdej suwerennej władzy.

Franciszek wyraził taką ideę we wspomnianej wcześniej encyklice skierowanej do wszystkich mieszkańców ziemi, „Fratelli tutti”. Według Ojca Świętego w naszych czasach „niezbędne staje się dojrzewanie silniejszych i sprawnie zorganizowanych instytucji międzynarodowych, których władze byłyby desygnowane sprawiedliwie, na podstawie porozumień między rządami krajowymi, i wyposażone w możliwość sankcjonowania” (punkt 172). Kluczowy jest tu postulat wyposażenia takich struktur międzynarodowych „w możliwość sankcjonowania” – to oznacza przecież w praktyce realne pozbawianie państw jakiejś części ich suwerenności. Papież Bergoglio nie jest jednak autorem tego pomysłu. Franciszek mógł się odwołać do myśli swojego poprzednika, Benedykta XVI. Papież z Niemiec apelował o ustanowienie władzy międzynarodowej w encyklice „Caritas in veritate”. Pisał w punkcie 67: „Pilnie potrzebna jest prawdziwa światowa władza polityczna [...], aby zarządzać ekonomią światową; uzdrowić gospodarki dotknięte kryzysem; zapobiec pogłębianiu się kryzysu i związanego z nim zachwiania równowagi; przeprowadzić właściwe, pełne rozbrojenie oraz zagwarantować bezpieczeństwo żywieniowe i pokój; zapewnić ochronę środowiska i uregulować ruchy migracyjne”. Benedykt XVI mocno podkreślał, że tego rodzaju „wyższy porządek międzynarodowy” musi mieć zdolność do egzekwowania swoich decyzji. Globalna władza – wskazywał – „powinna mieć takie uprawnienia, by strony musiały szanować jej decyzje, a także stosować środki wspólnie uzgodnione na różnych forach międzynarodowych. Brak tego wszystkiego rodziłby ryzyko, że prawo międzynarodowe, pomimo wielu postępów na różnych polach, byłoby uzależnione od równowagi sił najsilniejszych”. Pozostanie jego tajemnicą, jak wymusił przestrzeganie tych zasad, gdyby doszło do postulowanego przezeń „pełnego rozbrojenia”.

IDEAŁ PAPIEŻA RONCALLEGO

Papież z Niemiec odwołał się w „Caritas in veritate” do św. Jana XXIII, pomijając św. Jana Pawła II i św. Pawła

VI. Ci dwaj papieże wprowadzili na różne sposoby angażowali się w działania na rzecz globalizmu, ale niełatwo doszukać się u nich tak jasnego jak u pozostałych poparcia dla stworzenia rządu światowego. Papieżowi Wojtyłce jako Polakowi trudno byłoby szczerze nakłaniać państwa do rezygnacji z suwerenności narodowej. Jego poprzednik z kolei nawet w głośnym przemówieniu do ONZ z 4 października 1965 r., które można byłoby słusznie nazwać panegirkiem na cześć tej organizacji, nie posunął się tak daleko jak Franciszek i Benedykt. Podobnie jak Jan Paweł II podkreślał konieczność dysponowania przez narody realną suwerennością. Co innego św. Jan XXIII. Papież Roncalli w encyklice „Pacem in terris” zaprezentował koncept powołania rządu światowego jako de facto nakaz moralny. Pisał w punkcie 137: „A ponieważ obecnie ze wspólnym dobrem wszystkich narodów wiąże się zagadnienie dotyczące wszystkich narodów i ponieważ zagadnienia te może rozwiązać jedynie jakaś władza publiczna, posiadająca i moc, i organizację, i środki o równie wielkim zasięgu oraz obejmująca zakresem swego działania cały świat – wynika z tego, że nawet z nakazu samego porządku moralnego trzeba ustanowić jakąś powszechną władzę publiczną”.

Koncepcja powołania rządu światowego ma, oczywiście, swoją głęboką logikę. Tak jak w państwie pokój wewnętrzny gwarantowany jest przez istnienie jednego ośrodka władzy dysponującego przemocą, tak samo w społeczności międzynarodowej nie zapanuje bez jego zaistnienia trwały pokój. Nauka katolicka zdaje sobie z tego sprawę od wieków i stąd Kościół zawsze głosił konieczność skupienia władzy w jednym ręku. Problem w tym, że tradycyjnie winna to być ręka Jezusa Chrystusa. Papież Pius XI w encyklice „Quas Primas” z 1925 r. trzeźwo wskazywał na jedyną możliwą perspektywę osiągnięcia światowego pokoju: konieczne jest – uczył – prywatne i publiczne uznanie nad sobą władzy królewskiej Chrystusa; „panujący i prawowici przełożeni” muszą mieć przekonanie, że „wykonują władzę nie tyle z prawa swego, ale z rozkazu i w zastępstwie Boskiego Króla”. Dopiero tego efektem byłby światowy „pokój i wewnętrzny porządek”. Kościół katolicki w toku dyskusji towarzyszących Soborowi Watykańskiemu II od-

szedł jednak od prawdy o społecznym panowaniu Chrystusa i zaczął argumentować na rzecz powszechnego porządku ustanowionego na innym fundamencie niż Zbawiciel. Ma to swoje dalekosiężne konsekwencje także dla miejsca religii chrześcijańskiej w tak postrzeganym nowym globalnym porządku.

PRZEKROCZYĆ RELIGIĘ

Czytelnik wybaczy sięgnięcie po tak wyświechtany dziś frazes, ale trudno nie zauważyć, że nic tak bardzo nie „dyskryminuje” jak prawda. W pojęcie prawdy jest immanentnie wpisany konflikt; prawda oznacza bowiem niezgodę na fałsz. Stąd płynie logiczny wniosek, że religia, a zwłaszcza religia katolicka, jako fenomen oparty na roszczeniu do prawdy, jest zarzewiem sporów. W pro-

Religia oparta na dążeniu do prawdy musi zostać wyeliminowana: usunięta lub zastąpiona religią opartą na indyferentyzmie

jekcie światowego porządku opartego na powszechnym braterstwie spory są jednak wykluczone. W efekcie religia oparta na dążeniu do prawdy musi zostać wyeliminowana: usunięta lub zastąpiona religią opartą na indyferentyzmie. Dopuszczalna religia musi uznawać, że każda inna ścieżka religijna jest jej samej równoprawna.

Encyklika „Pacem in terris” została ogłoszona w 1963 r. W przyszłym roku skończy zatem 60 lat. Zgodnie z pierwotnymi założeniami w roku 2023 gotowy ma być już wyjątkowy projekt religijny papieża Franciszka realizowany we współpracy z muzułmanami, żydami oraz ateistami. Chodzi o budowany od 2019 r. Dom Rodziny Abrahamowej w Abu Zabi, stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Inicjatywa zasadza się na wzniesieniu synagogi, kościoła i meczetu, wszystkich bardzo podobnych – różnice są jakby tylko natury estetycznej. Dom mógłby stać się znakomitą przestrzenią celebracji globalistycznego kultu powszechnego braterstwa.

Łatwo jednak zauważyć, że pomimo swojej postępowości Dom Rodziny Abrahamowej wyklucza tych, którzy nie wierzą w Jednego Boga. Razem z trzema

świątyniami powstaje wszelako centrum dialogowe. Być może zostanie ono z czasem przekształcone w miejsce kultu Istoty Najwyższej. Pogodzić mogliby się z tym zarówno ateści, jak i wyznawcy poganizmu, który tak ceni sobie papież Franciszek, chętnie uczestnicząc w ceremoniach kultycznych ku czci Pachamamy i duchów przodków.

Realizacji wizji powołania globalnego rządu, który zaprowadzi powszechny ład i dobrobyt, nie można wyobrazić sobie bez narzucenia społeczności międzynarodowej tego samego poglądu w dziedzinie transcendencji. W końcu każda władza opiera się na jakiejś aksjologii. Źródłem stanowionych globalnie praw nie będzie mógł być Bóg. Bo i jaki? Potrzebna jest powszechna etyka oderwana od jakiejkolwiek tradycji religijnej. To oznacza konsekwentnie, że jej ostatecznym źródłem musi być ludzka wola – i wspierająca ją naga, brutalna siła prawdziwego suwerena nowego porządku. Inaczej nie będzie wśród zbratanych ludzi zgody w takich kwestiach jak aborcja, małżeństwo, prawo rodziców do wychowywania dzieci.

Nie wiem, czy Stolica Apostolska dostrzega to niebezpieczeństwo. Być może tak, ale z powodu uwikłania w niejasny język Soboru Watykańskiego II nie jest w stanie wyciągnąć właściwych wniosków. We wspomnianym wystąpieniu z 2016 r. abp Auza przestrzegał ONZ przed aksjologią zakorzenioną tylko w człowieku. Nie zdobył się jednak na przedstawienie katolickiej alternatywy: odwołał się tylko do „siły wyższej”.

Życzylbym sobie dlatego, by papieże ze znacznie większą niż dziś ostrożnością angażowali się w budowanie powszechnego pokoju razem z ONZ i innymi organizacjami międzynarodowymi. Wydaje się absolutnie konieczne sięgnąć do prawd, które głosił jeszcze Pius XI. Być może przedstawiciele światowej finansjery wolą słuchać hierarchów Kościoła odwołujących się do Najwyższej Istoty, ale prawda domaga się jednak czego innego – głoszenia Chrystusa, również na płaszczyźnie globalnej. Dopóki trwa jednak obecny kryzys, dopóty trzeba pogodzić się z tym, że młodzież, która zbierze się w 2023 r. w Lizbonie wraz z papieżem, krzewić będzie duchowość ekologiczną i w centrum swoich działań stawiać „Agendę 2030” – obok Ewangelii, jeżeli już nie zamiast niej. Mam nadzieję, że Kościół rychło otrząśnie się z otępienia i powróci do właściwych źródeł.

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Pełna ochrona
auta już od **75 zł**
miesięcznie
w abonamencie

Kompleksowe ubezpieczenie **PZU Auto**

OC+AC+NNW z assistance w wariancie Super

Sprawdź szczegóły w oddziale lub u agenta, w aplikacji mojePZU
albo pod numerem 600 600 601 (opłata zgodna z taryfą operatora)



Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Składka za pakiet OC + AC w wariancie serwisowym (z sumą ubezpieczenia 29 159 zł) + NNW (z sumą ubezpieczenia 10 000 zł) + assistance PZU Pomoc w Drodze w wariancie Super w wysokości 75 złotych miesięcznie w abonamencie została wyliczona dla klienta w wieku 49 lat, z 10-letnią historią polisową bez szkód, z miejscowości Krasnystaw (kod pocztowy 22-300), właściciela pojazdu Fiat Punto 1.2 benzyna 69 KM, rok produkcji 2017, o przebiegu 50 tys. km, garażowanego, z zastosowaniem zniżki za nowe ubezpieczenie AC (zniżka obowiązuje do odwołania). Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w ustawie o ubezpieczeniach obowiązkowych, UFG i PBUK oraz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczeń komunikacyjnych PZU Auto, a informacje o abonamencie znajdziesz w zasadach płatności abonamentowych – dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów. Twoja indywidualna cena może różnić się od podanej w reklamie.



Tomasz Rowiński

Grono kardynalskie bardziej niż za któregośkolwiek z ostatnich pontyfikatów wyemancypowało się od głosu samego papieża. Równocześnie autorytet Franciszka wydaje się coraz słabiej oddziaływać na dyskusję. Czy to czas na dymisję?

Temat ewentualnej abdykacji papieża Franciszka jest obecny w mediach niemal od początku pontyfikatu, ale ostatnie kilkanaście miesięcy to właściwie nieustanna karuzela spekulacji na ten temat. Gdyby jednak ktoś mnie dziś zapytał, czy moim zdaniem Franciszek ustąpi, odpowiedziałbym, że nie wiem. Co więcej, nie widzę innej rozsądnej odpowiedzi na ten temat. Sama dyskusja o możliwości ustąpienia papieża nie jest jednak całkowicie jałowa, mówi nam ona całkiem sporo o sytuacji w Kościele.

MEDIALNY ENTUZJAZM

Warto się zastanowić, skąd bierze się tak duża popularność tego tematu. Wyjaśnienie tej kwestii jest sprawą złożoną i z całą pewnością nie da się jej sprowadzić do jednego czynnika. Zaczniemy od spraw w pewnej mierze banalnych – papież Franciszek wciąż jest tematem interesującym dla wszystkich mediów, zarówno katolickich, jak i świeckich. Podobnie – wierzący czy niewierzący – zostaliśmy nauczeni, że mamy się po tym pontyfikacie spodziewać rzeczy niezwykłych: niezwykłych słów, gestów i decyzji. Jest w tym wiele medialnej kreacji, ale ona wciąż działa. Przez pierwsze lata pontyfikatu mechanizm ten funkcjonował w otocze entuzjazmu wobec Franciszka, który rzeczywiście dla wielu wydawał się lokomotywą kościelnej odnowy.

Z czasem ten entuzjazm malał, by ok. roku 2018 zupełnie zaniknąć. Co się wydarzyło w roku 2018? Arcybiskup Vigano, były nuncjusz apostolski w Stanach Zjednoczonych, opublikował list dotyczący byłego już kardynała McCarricka, najbardziej znanego i najwyżej w Kościele postawionego drapieżnika seksual-

nego. List, który rzucił cień także na Franciszka. Okazało się, że choć McCarrick był odsuwany od aktywnej służby w Kościele już za czasów Benedykta XVI, to za Franciszka do tej służby powrócił. List Vigano nie był jedyną przyczyną, dla której Franciszkowy entuzjazm opadł, ale stanowił dla wielu kroplę, która przełamała wzbierającą czarę goryczy. Wtedy też z większą siłą zaczął się pojawiać w różnych publikacjach wątek możliwości ustąpienia Franciszka. Niewątpliwie temat ten sprzedaje się niemal równie dobrze co wcześniejszy entuzjazm.

Inny banalny powód dyskusji o ustąpieniu papieża, który należy wspomnieć, to wiek Franciszka. Papież Bergoglio w tym roku skończy 86 lat, czyli dokładnie tyle, ile miał papież Ratzinger, gdy zrezygnował z urzędu. Na ten fakt nakładają się informacje o kłopotach zdrowotnych biskupa Rzymu, co bardzo szybko powoduje nową falę spekulacji. Pamiętajmy, że Jan Paweł II zmarł w wieku 85 lat, a już od drugiej połowy lat 90. XX w. świeckie media – szczególnie europejskie – wręcz namawiały papieża, by zrezygnował. Bez wątpienia był on w gorszej formie zdrowotnej niż jego następcy. Paweł VI zmarł w wieku 81 lat, ale od roku 1968, czyli publikacji encykliki „Humanae vitae”

i kontrowersji, które wywołała, pozostawał stosunkowo mało aktywny prawie przez dekadę.

Długowieczność papieża jest dla współczesnego Kościoła pewnego rodzaju problemem. Rozwój medycyny sprawia, że biologiczne życie człowieka niejednokrotnie trwa dłużej, niż utrzymują się jego zdolności duchowe – intelektualne i wolitywne. Rządy wiekowych i słabnących papieży nieuchronnie aktywizują frakcje działające na zapleczu tego urzędu. Można zatem uznać dyskusje o rezygnacji Franciszka także za formę zastępczej debaty o kształcie papieństwa w czasach, gdy człowiek – będący pod pełną i nieustanną opieką lekarską – może wydłużać swoje życie w nieznanym dotąd w dziejach zakresie.

ZMĘCZENIE PONTYFIKATEM

Za czynnik generujący dyskusje o możliwości abdykacji Franciszka warto też uznać upowszechniające się zjawisko zmęczenia pontyfikatem. Do wspomnianego roku 2018 – ta data jest oczywiście orientacyjna – mieliśmy w Kościele do czynienia z dość wyraźnym podziałem na entuzjastów i malkontentów pontyfikatu Franciszka. Jednak po roku 2018 również w gronie duchownych, teologów czy pu-



Niknący autorytet



papieża

FOT. ANTONIO MASELLO/GETTY IMAGES

ostatecznie niewiele wynika poza jeszcze większym zamieszaniem. Poczucie marnotrawienia sił katolików – a także coraz większej bezcelowości działań papieża – skłania wielu autorów do myślenia o tym, czy przypadkiem nie przyszedł czas na zmianę. Do tego dołącza kolejny czynnik wzmacniający naszą skłonność, by kontynuować spekulacje o końcu pontyfikatu Franciszka, czyli przykład, który dał Benedykt XVI. Abdykacja z roku 2013 wciąż pozostaje żywym wspomnieniem i punktem odniesienia w kościelnych dyskusjach.

Niezależnie od tego, jak decyzję Benedykta będziemy oceniać, była ona próbą poradzenia sobie z sytuacją instytucjonalnego bezwładu, którą papież Benedykt XVI zdiagnozował w Kościele u schyłku swojej posługi. To pytanie wciąż jest obecne w dyskusjach – mniej lub bardziej bezpośrednio – i jest ono dla Kościoła ważne.

Czy Benedykt XVI zaproponował papieżowi nową drogę funkcjonowania w naszej hipernowoczesnej epoce czy też jego decyzja miała charakter jedynie osobisty? Pytania te wzmacniają świeckie przekonania naszej epoki, podpowiadające, że władza powinna mieć charakter kadencyjny. Wprawdzie nie wydaje się, by kadencyjność władzy papieskiej wchodziła dziś w grę, ale przecież kościelną normalnością stały się biskupie emerytury. Biskupi diecezjalni kończą dziś posługę zwykle w wieku 75 lat, czasem, jeśli tak zdecyduje papież, dwa lata później. Bardzo rzadko zdarza się, by biskupi pozostawali na swoich stolicach dłużej niż do 79. roku życia. Tymczasem dwóch ostatnich papieży w wieku seniorskim dopiero rozpoczynało swój pontyfikat.

W kręgach kościelnych można jeszcze czasem usłyszeć opinię, że nie powinno się dyskutować o następcy żyjącego papieża. Problem polega jednak na tym, że sam Franciszek niemal od początku pontyfikatu wysyłał dość jasne sygnały sugerujące swoją gotowość do odejścia z urzędu. Jak mówił – także niedawno, w drugim tygodniu lipca – w wywiadzie dla meksykańskiej Televisia Univision, po decyzji Benedykta XVI „drzwi są otwarte”. Tyle tylko że w innym wywiadzie dla Reutersa, tym razem z pierwszego tygodnia lipca, papież zaprzeczył, by miał plany dotyczące rezygnacji. Kto śledzi papieskie wywiady, ten wie, że tego rodzaju wypowiedzi ukierunkowanych w różne strony było od roku 2015 znacz-

nie więcej. Czy da się z nich wyciągnąć jakiś spójny wniosek? Owszem, papież rzeczywiście zdaje się brać pod uwagę możliwość rezygnacji, ale nie jest to dla niego perspektywa z dostrzegalnego dziś horyzontu zdarzeń. Takie dość proste rozróżnienie zdaje się ginać w szumie komentarzy, a jest stosunkowo łatwe do wychwycenia, gdy porównuje się kolejne wypowiedzi Franciszka.

Trzeba wspomnieć o jeszcze dwóch – być może najważniejszych – powodach dynamizujących spekulacje na temat papieskiej rezygnacji. Pierwszy z nich to utrwalanie się wewnętrznego sporu w Kościele – pomiędzy szeroko rozumianymi katolikami tradycji a relatywistami. Drugi powód – wynikający z poprzedniego – to osłabienie autorytetu papieża, który zdaje się nie panować nad zaistniałą sytuacją. Każda ze stron sporu odwołuje się w debacie do swoich autorytetów, którymi stali się poszczególni kardynałowie. Można powiedzieć, że grono kardynalskie bardziej niż za któregośkolwiek z ostatnich pontyfikatów wyemancypowało się od głosu samego papieża. Równocześnie autorytet Franciszka wydaje się coraz słabiej oddziaływać na dyskusję; wyraźnie zauważalne stały się też głosy sugerujące konieczność jakiegoś rodzaju reformy tego urzędu. Nie jest to dziwne – trudno powiedzieć, w jaki sposób Franciszek realizuje charyzmat św. Piotra przekazany mu przez Chrystusa w poleceniu, aby „umacniał braci w wierze”.

Proces słabnięcia papieża i umacnianie się pozycji niektórych kardynałów nieuchronnie układa się w proces przygotowawczy dla nadchodzącego starcia o przyszłość Kościoła, którym zapewne będzie zbliżające się konklawe. Być może dziś znaczenie tego wydarzenia dla przyszłości Kościoła jest przeceniane, jednak równocześnie stanowi ono punkt odniesienia w obserwowanym kościelnym konflikcie. Papież – jak często bywa z tym urzędem w Kościele – z jednej strony wciąż jest przeszkodą powstrzymującą istniejące frakcje przed wojną, która mogłaby się zakończyć jawną schizmą. Z drugiej jednak strony, będąc coraz słabszy – przynajmniej w perspektywie władzy – prowokuje coraz większe napięcia. Jednym z objawów tych napięć stało się słabo kamuflowane życzenie wielu autorów, by pontyfikat ten wreszcie się zakończył.

blicystów wspierających relatywistyczny paradygmat zmian w Kościele zaczęło się pojawiać przekonanie, że z argentyńskim papieżem nic więcej nie zostanie już osiągnięte. Zaczęły pojawiać się książki i artykuły progresywnych autorów – albo prognozujące przyszłość Kościoła po pontyfikacie Franciszka (prof. Andrea Riccardi), albo zapowiadające zmierzch rządów obecnego papieża (o. Reese).

Zmęczenie pontyfikatem wynika z różnych przyczyn. Z jednej strony Kościół ma za sobą prawie 10 lat ręcznego – niekoniecznie zresztą skutecznego – sterowania wieloma sprawami przez papieża i pomijania własnych ważnych instytucji w procesach decyzyjnych. Z drugiej strony katolicyzm ostatnich lat wciąż funkcjonuje w stanie doktrynalnej niestabilności, co pogłębia niepokój coraz szerszego grona katolików, a także irytuje tych, którzy czekają, aż wreszcie nastąpią nowe porządki – Nowy Kościół.

PERMANENTNA SYNODALNOŚĆ

Trzeba też wspomnieć o zmęczeniu, które w Kościele powoduje permanentna synodalność. Miała być ona ożywczym impulsem w życiu katolickim, tymczasem okazała się metodą wymuszania na katolikach zaangażowania, z którego



Piotr Semka

W PiS będą musieli zrobić miejsce dla byłego prezesa TVP. A to gracz, który nie zadowoli się byle czym. Tymczasem nadciąga zima, która dla rządzącej partii może okazać się bardzo trudna w kontekście przyszłych wyborów

W Prawie i Sprawiedliwości od wielu lat zawsze czeka się z uwagą na ten moment: powrót prezesa z wakacji. W tym roku urlop lidera partii otoczony był wyjątkową dyskrecją, a po powrocie na Nowogrodzką prezes narzuca nowe narracje i hasła. Jarosław Kaczyński rozpoczął akcją na rzecz reparacji wojennych ze strony Niemiec. PiS, dobrze czujący się w atmosferze konfrontacji ideologicznej, wykorzystał też jednoznaczną deklarację Donalda Tuska na rzecz aborcji na żądanie. Wreszcie – spór o podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego bardzo dobrze zmobilizował partyjne doły pod hasłem walki o swobodę używania różnorodnych podręczników w polskich szkołach. PiS przygotowuje się do jesienno-zimowej kampanii politycznej z hasłem: „Będzie trzecia kadencja!”.

Jednak wewnątrz partii najgorętszym tematem ostatnich dni jest dymisja Jacka Kurskiego z funkcji prezesa TVP i jego „nowe zadania”.

GORĄCE KRZESŁO PRZY WORONICZA

Jacek Kurski w długich dziejach obozu politycznego skupionego wokół obozu Jarosława Kaczyńskiego był zawsze traktowany jako trudny do okiełznania żywioł.

Kaczyński współpracuje z Kurskim od blisko 35 lat. Obaj mają dosyć podobny styl analizowania polityki i podobny temperament polityczny. Jednak bywały okresy „wygnania” z dworu Wielkiego Jarosława, gdy Kurski przebywał w Lidze Polskich Rodzin czy w Solidarnej Polsce (gdy ta opuściła obóz PiS). Pytaniem, które wszyscy dzisiaj sobie zadają w rządzącej partii, jest kwestia przyczyn odwołania prezesa TVP. Obie strony – zarówno lider PiS, jak i sami zainteresowani – zachowują daleko posuniętą powściągliwość.



Kurski na Twitterze wyraźnie zaznaczył, że dymisja odbyła się w porozumieniu z nim i że jest w pełni gotowy do przyjęcia kolejnych zadań. Kaczyński z kolei ani słowem nie wypowiada się na temat tej najbardziej głośnej decyzji kadrowej ostatnich dni. W tę lukę informacyjną z chęcią wchodzi politycy PiS niechętni Kurskiemu, którzy, dopytywani przez reporterów mediów sprzyjających opozycji, z chęcią snują anonimowe sekulacje o tym, że Kurski naraził się prezesowi zbyt promowaniem ludzi Zbigniewa Ziobry i ciągłymi konfliktami z ekipą premiera Mateusza Morawieckiego. Według tych teorii Kaczyński nie chciał konfliktów na linii rząd – Woronicza w kluczowym roku przed wyborami, a jednocześnie ma widzieć już Kurskiego w roli szefa kampanii PiS.

ma znacznie dłuższy „staż kombatancki” w obozie Jarosława Kaczyńskiego niż Mateusz Morawiecki czy nawet Mariusz Błaszczak. Wszystko to skłania wielu obserwatorów sytuacji w PiS do opinii, że Jarosław Kaczyński albo ma bardzo trafny i dobrze pasujący do osobowości Kurskiego pomysł na jego wykorzystanie w jakiejś misji specjalnej, albo Kurski będzie musiał walczyć o przestrzeń dla siebie i swoich ambicji. To nie jest zawodnik, który się zadowoliłby czym.

Tak czy inaczej wszyscy inni członkowie gracze PiS będą musieli nieco się poprzesuwać, aby zrobić miejsce dla kogoś, kto już nieraz wykazał swoje „parcie na bramkę”. W dodatku ataki na byłego prezesa TVP – takie jak ten Macieja Stuhra, który ogłosił, że cieszy go odejście kogoś, kto jest „sa-

Turbulencje na łuku kurskim

Według wielu opinii Kurski sam chciał odejść z Woronicza, aby wystartować do Sejmu – nie wiadomo jednak, czy akurat planował opuszczenie TVP już teraz, ponad rok przed domniemaną datą wyborów.

Kwestia przyszłości Kurskiego miała rozstrzygnąć się na posiedzeniu władz partii w piątek 9 września (już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”). Należy jednak zwrócić uwagę, że przypisywana Kaczyńskiemu decyzja mimowolnie tworzy zupełnie nową sytuację w rządzącej partii. Jacek Kurski jest politykiem na tyle dynamicznym, by aspirować do absolutnej czołówki partii. Jeśli więc jest prawdą, że otoczenie premiera patrzyło bez emocji na dymisję Kurskiego, to sam premier stykać się będzie z Kurskim w momentach podejmowania najważniejszych decyzji w partii.

Kurski, wywodzący się z Gdańska był już prezes TVP, jest w dobrym wieku do aspirowania do ważnych ról w partii. Na tle coraz bardziej podstarzałej grupy tzw. zakonu PC jawi się jako przedstawiciel młodszego pokolenia. A jednocześnie

mym złem” – tylko przyniosą Kurskiemu popularność w „ludzie PiS-owskim”.

ZMIANA ORDYNACJI?

Kolejne pytanie, które nasuwa się w związku z aktualną polityką PiS, to kwestia ewentualnych zmian w ordynacji wyborczej. Już od wielu miesięcy wśród polityków tej partii dyskutuje się, czy zmiany w ordynacji na rzecz zwiększenia liczby okręgów jednomandatowych nie pomogą PiS w zdobyciu trzeciej kadencji. Opozycja już stawia tezę, że zmiany takie spowodowałyby, że dotychczasowy próg 5 proc. faktycznie wzrósłby do 20 proc. głosów. Oczywiście takie deklaracje są w dużej mierze reakcją obronną opozycji. Specjaliści od ordynacji wskazują, że w przypadku zmian na rzecz większej liczby okręgów, wybieranych na zasadzie jednomandatowej w dużych okręgach miejskich, faktyczny próg wzrośnie do 10–12 proc. Jednak w małych wiejskich okręgach wyborczych – tam, gdzie PiS jest najmocniejszy – próg wzrośnie do poziomu 25–39 proc.

■ Kluczową kwestią jest to, czy PiS będzie w stanie zgromadzić odpowiednią większość do przeforsowania takich zmian. Na pewno może je poprzeć Paweł Kukiz, który nie tylko zawsze forsował okręgi jednomandatowe, lecz także skazany jest na koordynowanie swoich działań z Jarosławem Kaczyńskim, gdyż bez wejścia na listy PiS nie ma szansy na kolejną kadencję w Sejmie.

O wiele większe znaczenie w ocenie szans na zmiany w ordynacji ma Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Nie jest tajemnicą, że ziobryści na ewentualne zmiany patrzą dosyć niechętnie. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że frakcja ministra sprawiedliwości nie ma większego wyboru. Wyniki sondażowe nie wykazały, by Ziobro miał szansę na samodzielne przekroczenie progu 5 proc. Natomiast wpuszczenie ziobrystów na listy PiS Jarosław Kaczyński może obwarować żądaniem zaakceptowania zmian w ordynacji.

Kaczyński najwyraźniej wciąż uważa, że nie ma lepszego czarodzieja od zarządzania finansami państwa od Morawieckiego

Większym problemem od ewentualnej obstrukcji ziobrystów może być weto prezydenta Andrzeja Dudy. Głowa państwa niejednokrotnie wypowiadała się krytycznie o zmianach ordynacji na rok przed wyborami. Ale i tu – jeśli wierzyć opiniom, które pojawiają się wśród polityków PiS – ma być pole na ewentualny kompromis z wielkim pałacem. W myśl tej teorii, jeśli nowa ordynacja będzie zawierać listy krajowe, z których bardzo łatwo jest wejść do Sejmu, to Andrzej Duda w zamian za umieszczenie na niej sporej grupy swoich ludzi jest ponoć gotowy poprzeć nowelizację ordynacji.

DLA PREMIERA NIE MA ALTERNATYWY

Jeśli zwolennicy Zbigniewa Ziobry zakładali, że fiasko nadziei premiera Mateusza Morawieckiego na ugłaskanie Komisji Europejskiej może osłabić pozycję szefa rządu, to na razie nie ma żadnych dowodów, że takie rozumowanie było poprawne. Nominacja szefa MON Mariusza Błaszczaka na stano-

wisko wicepremiera nie wykreowała szefa resortu obrony jako alternatywy dla Morawieckiego. Jarosław Kaczyński najwyraźniej wciąż uważa, że nie ma lepszego czarodzieja od zarządzania finansami państwa.

Wojna podjazdowa ziobrystów przeciwko premierowi z Wrocławia nie przełożyła się na jakiegokolwiek konkretne zmiany. Nie ma żadnych podstaw do sądów, że Jarosław Kaczyński jest gotowy do dokonania jakichkolwiek zmian na stanowisku premiera. To Morawiecki zmierzy się z bardzo kluczowymi dla ekipy PiS ewentualnymi cięciami w dostawie surowców energetycznych do Polski w czasie najbliższej zimy. Morawiecki zresztą zdaje sobie sprawę, jaka jest stawka walki o energetyczne bezpieczeństwo kraju.

Wszystko to jednak nie odpowiada na pytanie, czy nie dojdzie do jakiejś trudnej do skontrolowania zmiany nastrojów społecznych. W Polsce nie mamy co prawda do czynienia z taką zapaścią i zimnymi mieszkaniem, ale w Czechach odbyła się niedawno 70-tysięczna demonstracja, która wyraziła lęk przed zimą i wolę powrotu do tanich rosyjskich ropy i gazu. Powie ktoś, że takie demonstracje możliwe są tylko w Czechach, w których tradycja filorosyjska jest niezwykle silna. Oczywiście Polska to kraj o wiele mniej podatny na rozmaite rosyjskie operacje wpływu niż Czechy, ale w razie rozhuśtania się emocji społecznych wokół kwestii energii PiS może łatwo wpaść w polityczną zadyszkę. Nietrudno zgadnąć, że taka zadyszka byłaby bardzo korzystna dla partii opozycji.

KAMPANIA Z ABORCJĄ W TLE

Jarosław Kaczyński na pewno z dużą uwagą obserwuje ruchy tektoniczne w obrębie obozu opozycji. Wystąpienie Donalda Tuska na Campusie w Olsztynie pozwoliło liderowi PO pokazać się w roli zdecydowanego polityka. Wygrał rywalizację na radykalizm prolewicowy z Rafałem Trzaskowskim. Tusk wie, że radykalizowanie swojego poglądu w kwestii aborcji na życzenie wbić będzie klin między Trzaskowskim a Szymonem Hołownią i obozem PSL.

Na linii Tusk – Hołownia nadal panuje chłód. Lider Polski 2050 niedawno zafundował Tuskowi polityczny prztyczek w nos. „Wolę mieć partię, której przewodniczący mówi: »Ludzie, głosujcie zgodnie ze swoim sumieniem«, a nie na

partię, w której muszą głosować zgodnie z sumieniem przewodniczącego” – powiedział Hołownia. Lider Polski 2050 wyraźnie rywalizuje z Tuskiem i jest dla ambitnego gdańszczanina bardzo niełatwym przeciwnikiem. W tym wszystkim wychodzi jeszcze na jaw słabość wyrażenie przecenianej Koalicji Polskiej, która miała powstać wokół PSL. Teoretycznie Władysław Kosiniak-Kamysz powinien wykorzystać proaborcyjny zwrot Tuska do przyciągnięcia do siebie „platformerskiej konserwy”. Nic nie wskazuje jednak, by miał w sobie siłę, aby tego dokonać. Lider ludowców ciągle przypomina polityka, który czeka na wygraną Tuska, aby układać się z nim na temat roli mniejszościowego partnera w koalicji. A już na pewno ludowcy czy nawet – szerzej – Koalicja Polska nie czują w sobie siły, by dalej budować jakiś centrowy polityczny parasol.

Dobrym przykładem tej bierności PSL jest reakcja ludowca Marka Sawickiego na pytanie, czy partia przyjmie ewentualnych konserwatywnych uciekinierów z PO. Sawicki był wyraźnie przeciw, choć ludowcy w teorii powinni być chętni do przyjmowania ludzi, którym sumienie nie pozwala zostać w Platformie. Partia Kosiniaka-Kamysza nie ma większych ambicji. Nawet jeżeli powstaną dwa bloki Platformy i Lewicy oraz Hołowni i PSL, to w tym drugim bloku warunki gry ustalać będzie raczej Szymon Hołownia niż Władysław Kosiniak-Kamysz. Wszystko to jest korzystnym scenariuszem dla PiS. Gołym okiem widać, że konserwatyzm poza obozem PiS jest czysto deklaracyjny, pozbawiony wewnętrznego żaru. PiS, wchodząc w spory światopoglądowe z Donaldem Tuskiem, wypada o wiele bardziej wiarygodnie niż tacy politycy jak Kazimierz Ujazdowski czy Michał Kamiński.

Na razie jednak PiS wydaje się skupiać na dobrym przygotowaniu do zimy. Wychłodzone mieszkania i braki w dostawach prądu mogą być dla partii Jarosława Kaczyńskiego o wiele bardziej dotkliwe niż wszystkie awantury wokół śnięcia ryb w Odrze. Politycy PiS pocieszają się, że gdy tylko uda się przetrwać zimę bez większych strat, to potem będzie można już odliczać miesiące do wyborów. A jeśli dodatkowo szefem kampanii rządzącej partii zostanie Jacek Kurski, to pozostaje wiara w jego wyczuwanie politycznych nastrojów i medialny talent.

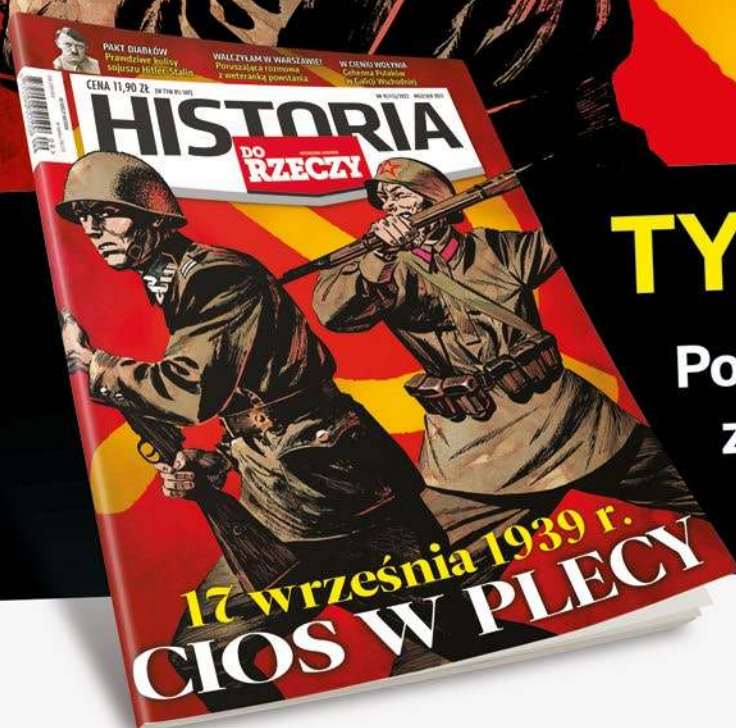
© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

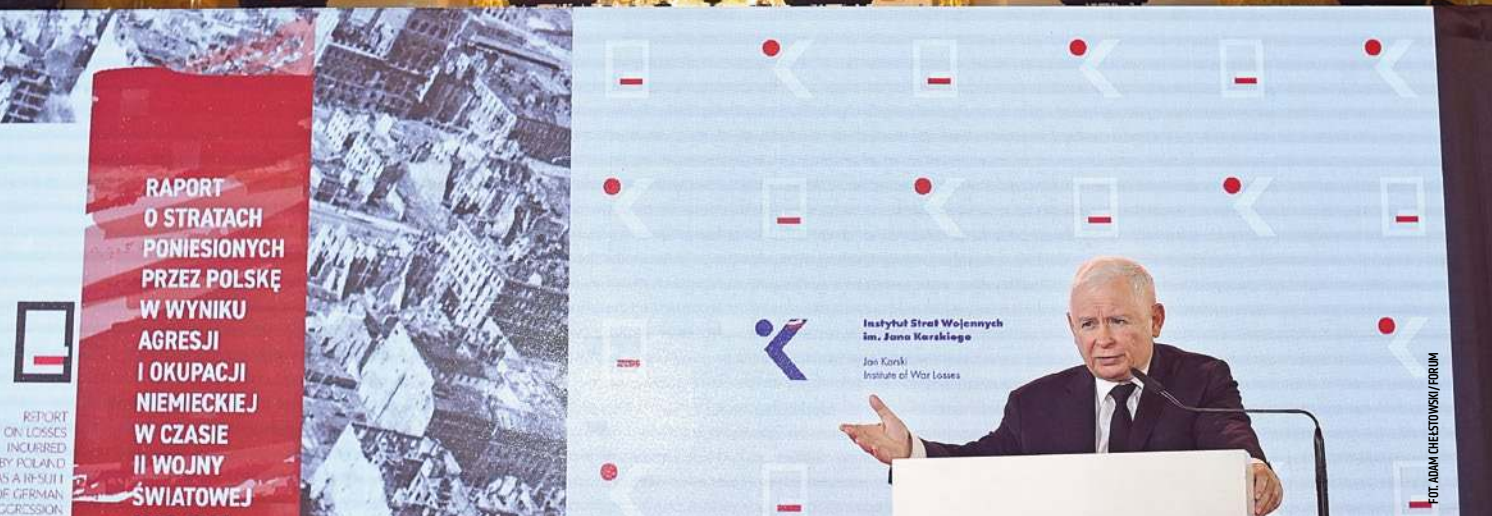
Poruszająca rozmowa
z weteranką Powstania
Warszawskiego



- Ian Ona Johnson – Diabelski pakt Hitler-Stalin
- Maciej Rosalak – Wojna Polski z Sowietami
- Tomasz Stańczyk – Zbrodnie 17 września
- Arkadiusz Karbowski – UPA kontra Węgrzy
- Piotr Zychowicz – Ludobójstwo Polaków w Galicji
- Sławomir Koper – Emila Plater bez retuszu
- Leszek Lubicki – Zamach stanu Piastów
- Rafał A. Ziemkiewicz – Paradoks Rockefellera

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Narracja reparaacja



Odszkodowań od Niemiec za wojenne zniszczenia na pewno długo jeszcze nie otrzymamy, a być może nie uda się ich uzyskać nigdy. Zresztą komentując głośny raport, sam prezes Kaczyński, co w ogólnym wzmożeniu umknęło uwadze, przedstawił ich wyegzekwowanie jako „zadanie dla przyszłych rządów”. Dyskusja o prawnych aspektach sprawy, czy zrzeczenie się roszczeń przez Bieruta było skuteczne czy może skuteczne stało się dopiero wskutek decyzji pierwszych rządów III RP, jest więc potrzebna, ale nie pilna. Bardziej konstruktywna byłaby dyskusja o tym, jak zapowiadane wystąpienie o reparaacje (w chwili pisania tego tekstu nota dyplomatyczna jest wciąż w zapowiedziach) przełoży się na naszą pozycję i politykę międzynarodową – ale takiej dyskusji praktycznie nie ma, jest tylko przerzucanie się wiecowymi sloganami.

WYBRAĆ POLE DO BITWY

Tym polem, na którym reparaacje odegrać mogą – i wszystko wskazuje, że odegrają – istotną rolę, jest polityka wewnętrzna. I tutaj już widać, że PiS z niezwykłą łatwością zrealizował swe cele szybciej i łatwiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. A walka idzie o rzecz w demokratycznej polityce najważniejszą:



Rafał A. Ziemkiewicz

Podniesienie kwestii reparacji okazuje się politycznym majstersztykiem. Wszystko działa tu na korzyść PiS. Platforma leży na ringu i jest liczona

o wyznaczenie linii politycznego podziału, wybór pola, na którym toczyć się będzie wyborcza bitwa. Cała sztuka politycznego marketingu polega na tym właśnie, aby stworzyć taką polaryzację, w której da się pozyskać maksimum wyborców, nawet jeśli nie zgadzają się oni z partią w innych, dla tej polaryzacji drugorzędnych kwestiach.

Spójrzmy pod tym kątem na dzieje wojny pomiędzy PO a PiS. W roku 2005 PiS zdołał zbudować korzystną dla siebie polaryzację „Polska Solidarna vs. Polska liberalna” (spot z lodówką, z której znikają produkty). Dwa lata później popełnił jednak błąd, usiłując wygrać na polaryzacji „rozliczanie układów – trwanie układów” (spot „Mordo ty moja” i kpiny z jedzenia bezy łyżeczką), gdy tymczasem PO zaproponowała wybór między „dostatkiem i spokojem” a „duszną atmosferą” rozliczeń i podejrzeń. Straszanie PiS-em miało sens, bo długo był on postrzegany jako partia od „oczyszczania” i tropienia

„układu”. Dopiero po ośmiu latach udało się PiS przełamać ten paradygmat nową narracją: „oni zawłaszczali owoce, my je wam oddamy”. To była kolejna bardzo silna polaryzacja, z czego PO nie zdała sobie sprawy, pozostając w starej retoryce – a to znowu sprawiło, że do wygrania drugiej kadencji wystarczyło PiS straszyć, że jeśli PO wróci do władzy, to zabierze „500+” i (proszę zwrócić uwagę na tę ciekawą zamianę ról) zatruje atmosferę rozliczeniami i zemstą.

Narracja kolejnych „plusów” i „tarcz” leży już jednak w gruzach. Nastroje społeczne zdominował lęk. Lęk przede wszystkim przed utratą osiągniętego w ostatnich latach dostatku, przed drożyzną, inflacją, skutkami wojny etc. PiS oczywiście stara się przedstawić jako partia lepiej sobie radząca z tymi wyzwaniem, ale dyskusja na ten temat niewygodna jest dla obu stron – i dla PiS, ponieważ w oczach wyborców stanowi, że winna jest zawsze władza, a nie opozycja, i dla PO, bo spór o inflację i kry-

zys energetyczny obnaża jej programową jałowość i brak jakichkolwiek pomysłów poza „odsunąć PiS od władzy”.

Na co dzień obie partie mają oczywiście swoje tematy, mobilizujące ich żelazne elektoraty – dla PiS są to narracje patriotyczne, dla PO „demokracja” i „praworządność”. Można sobie teoretycznie wyobrazić kampanię, bo tak już w różnych krajach bywało, w której protagoniści na tym poprzestaną, nastawiają się na mobilizację przekonanych wyborców, a nie szukanie nowych, i będą mówić niejako obok siebie, każdy wyłącznie do swoich.

SPÓR O EUROPE

O ile jednak PiS Polskim Ładem wystrzelał się z dużych narracji, o tyle opozycja ma dość narzucający się w jej sytuacji ruch: zbudować polaryzację „za Europą – przeciwko Europie”. I oczywiście robi to, z poparciem unijnych potęg i organów. Wprawdzie ani przewodnicząca von der Leyen, ani inni eurokraci nie sformulowali otwarcie, że warunkiem oddania Polsce funduszy jest zmiana władzy, ale kiedy zupełnie otwarcie mówią tak politycy krajowi, brzmi to wiarygodnie.

PiS, który sam swe sukcesy zawdzięcza sile, którą daje partii wiarygodna obietnica, że znajdzie pieniądze do rozdania wyborcom, bardzo się takiej polaryzacji obawia. Tym bardziej że boi się słupków, wykazujących bodaj największy w całej Europie unioentuzjizm polskiego społeczeństwa. Co prawda, w ostatnich miesiącach, wskutek blokowania KPO i prorosyjskiej postawy przywódców Niemiec i Francji, odsetek Polaków deklarujących się jako przeciwnicy członkostwa w UE wzrósł aż dwukrotnie, ale nadal stanowią oni tylko 15 proc. badanych, przeciwko 80 proc. deklarujących się jako zwolennicy. „Europa” po prostu wciąż budzi w Polakach dobre skojarzenia i do wyborów niewiele może się tu zmienić, a ponadto „proeuropejskość”, cokolwiek by to znaczyło, jest atrybutem potocznie przyznawanym opozycji, a nie władzy, i próby ugłaskania UE „kamieniami milowymi” i innymi ustępstwami nic tu nie zmieniły, a nawet pogorszyły sytuację rządzących. A próby wyperswadowania milionom niuansów, że „też jesteśmy za Europą, ale nie taką”, delikatnie mówiąc, nie rokuje.

Reasumując, polaryzacja „za Europą – przeciw Europie” wydaje się w tej chwili przesądzoną, podstawową osią sporu w przyszłorocznych wyborach. Jest zrozumiałe, że PiS, żeby wygrać trzecią

kadencję, musi ją jakoś przeformułować. I PiS – w przeciwieństwie do PO, która spoczywa na laurach (choć żadnych laurów właściwie nie ma), licząc, że PiS sam z siebie zbrzydnie wyborcom i oddadzą oni władzę PO i jej sojusznikom bez wysiłku z ich strony – intensywnie nad tym pracuje.

Narzucałoby się, żeby polaryzację „Europa – Polska” odrzec z opozycyjnej interpretacji „pieniądze za nic – bieda”. Ale to skrajnie trudne po tym, jak premier Morawiecki obwiesił Polskę billboardami ogłaszającymi triumfalnie przybycie miliardów z KPO. Władza skupia więc siły na innym przeformułowaniu sporu: z „Polska czy Europa” na „Polska czy Niemcy”. Jeśli w myślenie milionów wyborców uda się wprowadzić w miejsce dobrze się kojarzącej „Europy” kojarzące się jak najgorzej Niemcy, przekonać, że opozycja nie jest „proeuropejska”, tylko po prostu niemiecka – to PiS wygra po raz trzeci.

OPOZYCJA ZNÓW ZASKOCZONA

Wydaje mi się to wszystko oczywiste dla każdego, kto bodaj liznął sztuki marketingu politycznego na kilkutygodniowym szkoleniu. Tymczasem, choć kanonada eksponowania wszystkiego, co kompromituje Niemcy i co podkreśla związki między Niemcami a PO, której groteskowym symbolem stało się codzienne przypominanie słów „für Deutschland” Tuska w „Wiadomościach”, trwa już od wielu miesięcy, choć od wielu miesięcy zapowiadane było ogłoszenie raportu Mularczyka na 1 września, a więc oczywiste było, że tego dnia wszyscy politycy PO występujący w mediach zostaną zapytani o stosunek do reparacji – opozycja po raz kolejny wykazała się niewiarygodną wręcz indolencją i dała się zupełnie zaskoczyć.

Kompletnie nieprzygotowani liderzy liberalnej lewicy zaczęli instynktownie bronić Niemiec, podważać nie prawną możliwość uzyskania należnych nam pieniędzy, ale nasze prawo do nich – słowem, robić to właśnie, czego PiS potrzebuje: z przytupem potwierdzać, że są niemiecką delegaturą na Polskę, a nie partią polskich interesów. Dopiero po kilku dniach przyszły niekonsekwentne i chaotyczne próby odkręcenia tych pierwszych wypowiedzi, które musiały zabrzmieć nieszczerze i krętasko.

Podniesienie kwestii reparacji okazuje się w ten sposób politycznym majstersztykiem. Wszystko działa tu na

korzyść PiS. Polacy nie mają za grosz szacunku do prawnych kruczków, więc podtrzymywanie przez Niemcy teorii o „zrzeczeniu się” potęguje tylko poczucie oczywistej podłości, jaką jest fakt, że kraj najbardziej przez Niemcy zniszczony jako jedyny nie dostał od nich, przez jakieś kazuistyczne matactwa, ani grosza.

W dodatku postawienie w centrum uwagi tej polskiej krzywdy zbiega się z kompromitacją Niemiec w wielu innych sprawach. Unijny hegemon nigdy od czasów wojny nie miał tak złej prasy: wszyscy są wściekli na Niemców, za Nord Streamy, za obłęd likwidowania alternatywnych do rosyjskich źródeł energii i rurociągów, który uzależnił Europę od Kremla, za prorosyjskość i kunktatorstwo wobec Ukrainy etc. W takich sytuacjach, jak w przysłowiu o pochyłym drzewie, litania krzywd szybko się wydłuża, wielu zaczyna nawet przypisywać Niemcom swoje własne winy, nieuchronnie pada też oskarżenie o „szarogęszenie” się w Unii. Jakby sytuacja Berlina nie była przez to wystarczająco trudna, kanclerz Scholz z istic teutońską zręcznością właśnie w takim momencie zapowiada, że Niemcy „przejmą odpowiedzialność za Europę” i pozbawia nas „możliwości egoistycznego blokowania europejskich decyzji”.

Formalnie rzecz biorąc, w UE prześladowają nas Czeszka, Hiszpanka, Bułgar, dwóch Holendrów i Belg... Ale dla Polaka to nie są poważni zawodnicy: ktoś za nimi musi stać. I najłatwiej uwierzyć, że to Niemcy. Niemcy, którzy beczelnie lekceważą swoje winy wobec nas, którzy wyslizgali nas z dostawą czołgów i zostawili osamotnionych, gdy za własne pieniądze ratujemy Ukrainę i opiekujemy się uchodźcami, którzy bezzwzględnie dążą do podporządkowania sobie całej Unii... I jeszcze mają czelność oskarżać, że „Polska odgrzewa antyniemieckie stereotypy”, jakby to nie oni sami przede wszystkim zrobili wszystko, by te stereotypy odżyły.

W tej sytuacji opinia „partii europejskiej”, która w przekonaniu polityków opozycji miała zagwarantować zwycięstwo, może jeszcze wyjść im boki.

Mówiąc obrazowo – po ciosie zadawanym reparacjami PO leży na ringu i jest liczona. Ale pamiętajmy, że do końca meczu jest jeszcze parę rund, wiele się jeszcze może zdarzyć i budowana przez PiS narracja nie na każde z możliwych zdarzeń będzie dobrą odpowiedzią.



Łukasz Zboralski

Ministerstwo Sprawiedliwości wprowadza zaostrenie Kodeksu karnego i zasad w więzieniach. Przeciw są niektórzy karniści. Argumenty mają prawie dokładnie takie same, jak... więźniowie skazani za najcięższe zbrodnie. Czy to nie ciekawa koincydencja?

Minister Zbigniew Ziobro za każdym razem, gdy tylko zapowiada zaostrenie jakichś przepisów, spotyka się z chórem niezadowolonych prawników, którzy najczęściej przekonują – tak to widzi polska szkoła prawa – że zaostrenie kar nie wpływa na zachowanie ludzi. Tu ci, którzy zarzucają Ziobrze populizm, sami najczęściej sięgają po najbardziej populistyczny argument i przekonują, że gdyby zaostrenie kar miało wpływ na decyzje ludzi, wystarczyłoby za każdy występki zaproponować karę śmierci i nikt nie popełniałby czynów zabronionych. Ten populizm dość łatwo obalić nawet komuś, kto nie jest prawnikiem. Wystarczy bowiem zadać pytanie w odwrotną stronę: Czy wymierzenie za wszystko grzywny 1 zł spowoduje, że przestępczość utrzyma się na takim samym poziomie albo nawet zacznie się zmniejszać?

Oczywiście można prowadzić długie debaty – i polscy karniści nie są w nich bez racji – na temat tego, jakie powinny być granice kar i jak powinna wyglądać resocjalizacja, żeby miała sens (a że w ogóle powinna istnieć i że należy próbować dać niektórym szansę, podkreślam – niektórym, zejścia ze złej drogi w życiu, jest więcej niż oczywiste).

Warto jednak zauważyć coś ciekawego, co wstrząsało mną za każdym razem, gdy po publikacji zapowiedzi resortu sprawiedliwości m.in. o zaostreniu wymiaru kar za niektóre przestępstwa czy zmianach w więzieniach otwierałem listy nadesłane w tej sprawie do redakcji od więźniów. Oto czytałem w nich dokładnie te same argumenty, które przeciwni Ziobrze karniści podnoszą w debacie publicznej. Czy polska myśl karnistyczna

Jak prawnik z przestępcą

FOT. ADBE STOCK

stała się wyłącznie taką, która jest adwokatem przestępców?

BEZ ZNIECZULENIA

Najpierw w skrócie przypomnijmy, co takiego naprawdę proponuje dziś Ministerstwo Sprawiedliwości – i co jako projekt nowelizacji przyjął już rząd – w reformie więziennictwa (pisałem o tym szczegółowo w tekście „Więzienie na ostro” w „Do Rzeczy” nr 28/2022).

– Służba Więzienna ma zapewnić obywatelom bezpieczeństwo, izolując sprawców przestępstw, ale wykonuje też zadania penitencjarne. Są wychowawcy, psychologowie, terapie. Jest jednak pewna kategoria obywateli, których być może nigdy nie sprowadzimy na drogę prawa i praworządności. Stąd właśnie pomysł na zaostrenie kar w Kodeksie karnym, zaostrenie kar dla recydywistów oraz pomysł na dyscyplinę w więzieniach. Te działania mają skłonić tych, którzy myślą o powrocie na przestępczą drogę, do

zastanowienia się, czy w więzieniu było im tak dobrze, czy było tam komfortowo – tak tłumaczył „Do Rzeczy” pomysł na reformę reklamowany przez resort PR-owskim hasłem „Więzienie to nie sanatorium” Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości.

Ministerstwo zaproponowało więc, by więźniowie tak samo jak zwykli obywatele do lekarza specjalisty czekali w takich samych kolejkach (dziś są chętnie obsługiwani priorytetowo, bo dobrze i szybko płaci za nich nie NFZ, a budżet więziennictwa). Zostanie też wprowadzone ograniczenie w składaniu skarg. Z danych wynika, że więźniowie skarżą się na wszystko i najczęściej bezpodstawnie – z 37 tys. skarg złożonych w 2020 r. zasadnych było 267. Organ rozpatrujący skargi, jeśli uzna skargę za bezzasadną, będzie ją mógł pozostawić bez rozpatrzenia. Rozmowy telefoniczne, które – zwyczajowo – są odbywane raz dziennie, zostaną wyznaczone raz w tygodniu. Resort podkreśla, że tyle

będzie gwarantowało prawo, a naczelnik więzienia i tak będzie mógł pozwolić na więcej.

JAK ZŁE SĄ KARY?

Jak na te zmiany oraz inne, np. wymierzanie najgorszym zbrodniarzom kar dożywotniego więzienia bez możliwości zwolnienia przed czasem, zareagowali niektórzy prawnicy?

„O tym, że zaostrzenie sankcji karnych nie przekłada się na spadek przestępczości i poczucie bezpieczeństwa obywateli, świadczą wyniki licznych badań. Inaczej jest z resocjalizacją, ale tutaj potrzebna jest praca od podstaw i cierpliwość, a przede wszystkim nowoczesny system penitencjarny, co nie współgra z doraźnymi celami politycznymi – pisali w Prawo.pl adwokaci Jacek Dubois i Krzysztof Stępiński. – Jest takie powiedzenie, że kara jest jak lekarstwo, które właściwie dawkowane leczy, jednak zaaplikowane w nadmiarze staje się trucizną”.

– Politycy nie chcą budować społeczeństwa świadomego, które przestrzega norm prawnych, tylko chcą za pomocą kary odstraszać ludzi od popełniania przestępstw. Tak jak jest w systemach totalitarnych czy tak jak było, gdy funkcjonował komunistyczny kodeks karny z okresu PRL – ludzie mają się bać. Chodzi o to, żeby kara wymierzona przestępcy odstraszała innych ludzi przed popełnieniem przestępstwa – mówił w Radiu Zet dr hab. Mikołaj Małecki, karlista z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– To jest barbarzyńska nowela, ponieważ zawiera takie elementy, które, jak się wydawało, już dawno odeszły w przeszłość i odrzucił je cały cywilizowany świat. Odnajdziemy je w Rosji, w Korei, w krajach Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Myślę tu w szczególności o bezwzględny dożywocie, czyli trzymaniu kogoś przez całe życie w więzieniu bez cienia szansy na to, że nawet gdyby się poprawił, to miałby możliwość powrotu do społeczeństwa – mówił w TOK FM prof. Włodzimierz Wróbel, sędzia Sądu Najwyższego.

„Więzienie to w Polsce XXI w. miejsce, gdzie brakuje podstawowych środków higieny, a notoryczną plagą, która w nich występuje, są pluskwy. Macie rację – więzieniom daleko do sanatorium. Wy natomiast z obecnych więzień chcecie stworzyć lochy!” – pisał na Twitterze dr hab. Szymon Tarapata z Katedry Prawa Karnego UJ.

„Nowela kk jest tak represyjna, że w nie-długim czasie wzrośnie liczba więźniów. Dlatego system musi być gotowy na efekt skali. Trzeba ograniczyć czas na telefon, bo przy wzroście liczby więźniów braknie dla pozostałych. Piszę przewrotnie, bo tego nie da się skomentować racjonalnie” – tak z kolei na Twitterze pisał Przemysław Rosati, prezes Naczelnej Rady Adwokackiej.

„Długotrwała kara pozbawienia wolności to w dzisiejszym nowoczesnym świecie kara wyoutowania ze społeczeństwa. Paradoksalnie może być przyczyną kolejnego przestępstwa. A taki nie jest sens kary” – wyrażał refleksję na Twitterze Wojciech Górowski, doktor nauk prawnych z UJ.

PROSTO ZZA KRAT

Otóż prawie dokładnie tak samo o karach i warunkach, w których przebywają, wypowiadają się sami więźniowie. Uwiera ich – tak samo jak karnistów – to, co ma zafundować im Ministerstwo Sprawiedliwości.

„Rząd zamiast najpierw zmodernizować więzienia i dopiero ewentualnie wprowadzać tego typu rozwiązania, jak zwykle stawia sprawę na głowie – do zniemodernizowanego więziennictwa chce wprowadzać rozwiązania z krajów, w których więzienia są nowoczesne” – pisze w liście do redakcji „Do Rzeczy” jeden z osadzonych. Przedstawia się jako człowiek, który „popełnił jeden błąd”, za który aktualnie odbywa karę. I wyłuszcza, co mu się konkretnie nie podoba – uważa, że opłaty za telewizor, owszem, są w innych krajach, ale tam sobie można odsiadywać wyrok w celi jednoosobowej, a nie w wieloosobowych. I nawet grozi, czym poskutkuje zaostrzenie warunków odbywania kar: „Znowu będą płonęły samochody i domy pracowników SW (jak w latach 90.). Będą bunty”. Dodaje też, że to prawda, jak twierdził wiceminister Woś, iż większość więźniów pracuje, ale „zaostrzając warunki odsiadywania kar, spowoduje, że jedną z form sprzeciwu będzie odmowa pracy przez osadzonych. A zmusić nas do pracy nie będą mogli (chyba że wracają czasy stalinowskie)”.

Już w przypadku takiej postawy trudno nie uznać, że minister Ziobro trafia w czuły punkt i że osadzeni odczuwają strach przed tym, iż więzienie stanie się mniej przyjemnym miejscem do spędzania czasu „przez jeden błąd”.

Znacznie mocniejszy był jednak list od innego skazanego. To człowiek,

który popełnił jedną z najbardziej wstrząsających zbrodni – na oczach dziecka zamordował ojca, a matkę ranił tak, że ostatecznie zmarła po dłuższym czasie. I tak nie dostał dożywocia, skazano go na 25 lat pozbawienia wolności. Aby trochę przybliżyć jego postawę, wspomnę, że w rozmowie z mediami – już po wielu latach w więzieniu – porównał morderstwo, które popełnił, do... wypadku drogowego. Ot, po prostu, jacyś ludzie przestali żyć.

Człowiek ten w liście do redakcji przedstawia wiele argumentów za tym, by siedzieć za kratkami krócej. No bo przecież utrzymanie go tam kosztuje nas wszystkich, więc jak będzie tam krócej, to my mniej wydamy! No i oczywiście lepiej wypuszczać ludzi przed terminem, bo oni wówczas to na pewno będą grzeczni – a jak odsiedzą cały wyrok, no to „traci argument zapobiegający recydywie”.

„Obecne zaostrzanie prawa karnego ma na celu wyłącznie przedwyborczą populistyczną funkcję, która ma na celu odwrócić uwagę wyborców od totalnej nieskuteczności obecnej władzy polskiej fatalnej Temidy” – pisze w liście do „Do Rzeczy”. To te same słowa, które powtarzają karniści niechętni Ziobrze czy politycy opozycji. Dalej sprytnie unika uznania tego, że człowiek w więzieniu znajduje się przez czyn, którego się dopuszcza, sugerując, że trafia tam zupełnie przypadkowo. I jakby sąd, społeczeństwo, decydując o jego izolacji, robiły krzywdę jego rodzinie, a nie on sam, doprowadzając do sytuacji, w której się znalazł. „Zamykając człowieka w więzieniu, nie tylko taka sytuacja oddziałuje na niego, ale ma to poważne przełożenie dla rodziny osoby pozbawionej wolności. Im skazany dłużej pozostaje za kratami, tym bardziej zrywa się jego kontakt z rodziną, tym bardziej zostaje on trwale oderwany od normalnego życia. Taki wieloletni skazaniec po zakończeniu kary nie posiada już nic cennego na wolności – nie ma często swojej rodziny, pracy i perspektyw na jej znalezienie. Nie ma majątku, ma za to często komornika. W efekcie pozostaje mu tylko dalsza droga przestępcza” – wyłuszcza korespondent z zakładu karnego.

I niech państwo powiedzą, czy to nie jest argument za pomysłem resortu – wprowadzeniem kar dożywotniego więzienia bez możliwości przedterminowego zwolnienia?

Kto sięgnie po trzytomowe wydanie „Władcy Pierścieni” i przekartkuje tom ostatni, szybko przypomni sobie, że jedną trzecią objętości zajmują dodatki (od A do F), bite 150 stron. „Pierścienie władzy” Amazona to chyba pierwszy w dziejach serial oparty na przypisach.

Brzmiałoby to bardzo źle, ale gdy autorem przypisów (podobnie jak i oryginalnego dzieła) jest J.R.R. Tolkien, możemy powstrzymać się od szyderstw. Dzieje Śródziemia były pracą jego życia, pracą nieukończoną; jej skalę pojmiecie dopiero wówczas, gdy za kilka lat wydawnictwo Zysk i S-ka zakończy wydawanie 12-tomowej „Historii Śródziemia”, edycji zawierającej całą – poza „Władcą Pierścieni”, „Hobbitem” i „Silmarillionem” – spuściznę profesora związaną z tworzeniem fikcyjnego świata.

Twórcy serialu „Pierścienie władzy” chcieli zresztą początkowo kupić prawa do „Silmarilliona”, kanonicznego legendarium Śródziemia. Gdy się to nie powiodło, nabyli prawa do wykorzystania dodatków z „Władcy Pierścieni”. Długo negocjowana ze spadkobiercami Tolkiena umowa powstrzymywała scenarzystów od swobodnego fantazjowania „na motywach”, zobowiązywała do tego, by nie przekreślać przesłania Tolkiena, nie zmieniać motywacji i losów opisanych przez niego bohaterów. Ale tak czy inaczej roboty było mnóstwo, bo w odróżnieniu od „Władcy Pierścieni” mieli do czynienia nie z gotową i pełną świetnie wymyślonych i scharakteryzowanych postaci powieścią, lecz z fikcyjnymi historycznymi kronikami Śródziemia (plus przewodnikiem po języku itd.). Można kupić prawa do kroniki mistrza Wincentego Kadłubka, ale żeby przerobić ją na film czy serial, trzeba wymyślić wypełniacze – drugoplanowych bohaterów, którzy poniosą intrygę, oraz oczywiście wszystko to, co sprawiło, że bohaterowie główni przemieścili się z punktu A do punktu B swojej kariery i podjęli takie, a nie inne decyzje.

NA BIEDNEGO NIE TRAFIŁO

Ten przydługi wstęp jest konieczny, by zrozumieć specyfikę i skalę wyzwania, przed którym stali J.D. Payne i Patrick McKay (twórcy serii) oraz zatrudnieni przez nich scenarzyści. A na tym przecież nie koniec, wszak własne wyobrażenie o tym, jak Śródziemie powinno wyglądać na ekranie, mają także miliony widzów, którzy niekoniecznie musieli czytać Tolkiena (a jeśli



FOT. MATERIAL PRAGONE

Powrót do Śródziemia



Piotr Gociek

„Pierścienie władzy” to świetny serial fantasy, ale na razie niekoniecznie wybitna adaptacja dzieł Tolkiena

już, to na pewno nie dodatki i nie „Historię Śródziemia”), ale zachwycili się dwoma kinowymi trylogiami Petera Jacksona. Wobec tych wszystkich wymogów najważniejszym pytaniem nie powinno zatem być „Czy się udało”, bo zadanie było niemożliwe, ale „Jak bardzo się nie udało?”. Moja odpowiedź brzmi: prawie się udało, ale – jak wiadomo – prawie czyni wielką różnicę.

Gdy Amazon zapowiadał wydanie miliarda dolarów na „Pierścienie władzy”, uważano powszechnie, że ta gigantyczna kwota rozłoży się na kilka sezonów. Uwaga – firma Jeffa Bezosa już wydała większość

tego miliarda, choć widzowie obejrzeliby dopiero trzy odcinki. 250 mln dol. kosztowały prawa do ekranizacji. 465 mln dol. wyniósł budżet pierwszych ośmiu odcinków (czyli pierwszego sezonu); razem 715 mln, a na promocję też coś trzeba było wydać (reklama w przerwie transmisji Superbowl kosztowała np. 13 mln dol.). Proszę nie współczuć Bezosowi, nie zbiednieje, wspomniana łączna kwota to, jak wylicza amerykańska prasa, ledwie 0,15 proc. wpływów Amazona w roku 2021 – na biednego nie trafiło, bankructwo nikomu nie grozi.



Drugą postacią, którą znamy z filmowej trylogii, jest młody Elrond. Przyszły władca Rivendell, którego u Jacksona grał Hugo Weaving (tu zaś wciela się w niego Robert Aramayo), jest dopiero początkującym kronikarzem i politykującym uczniem potężnego króla elfów Gil-Galada władającego królestwem Lindon.

Galadriela wbrew wszystkiemu i wszystkim będzie kontynuowała swoją misję, Elrondowi zostanie powierzone niesłychanie ważne zadanie, losy tej pierwszej spłótą się z losami ludzi, a tego drugiego – z losami krasnoludów. Dostajemy jeszcze dwa inne wątki. Głównymi bohaterami jednego z nich są uzdrowicielka Bronwyn i zakochany w niej (ze wzajemnością) elfi wojownik Arondir; zatem kolejny romans między człowiekiem a elfem na wzór opowieści o Arwenie i Aragornie czy Lúthien i Berenie. Drugi wątek związany jest z plemieniem Harfootów, małych ludzi, protoplastów hobbitów. Harfootowie trzymają się z dala od innych ludów Śródziemia, żyją blisko natury, ale jeszcze nie wybrali osiadłego trybu życia. Tolkien zawsze powierzał najmniejszym – i zdawałoby się najmniej ważnym – istotom wielkie zadania do wykonania i ciężkie brzemie do uniesienia; tak będzie i z Harfootami, zwiastuje to wątek tajemniczego osobnika, który dosłownie spadł z nieba na ziemię Harfootów, a który najwyraźniej dysponuje niezwykłymi mocami.

REKORDY OGLĄDALNOŚCI

25 mln widzów z 240 krajów obejrzało pierwsze odcinki „Pierścieni władzy” w dniu premiery. Czy rekordy oglądalności i gargantuiczne budżety to gwarancja jakości? Nie do końca. Zaczne od pochwał: krytykowane przez niektórych powolne tempo opowieści uważam za zaletę – to nie jest kino akcji, to baśń z głębokim moralnym przesłaniem. Ton epicki, ton mityczny, znany z intra do „Władcy Pierścieni: Drużyny Pierścienia” udało się twórcom serialu odtworzyć w pierwszym odcinku. Stronę wizualną już chwaliłem, szczególnie podobało mi się królestwo krasnoludów Khazad-Dum.

Jednocześnie rozumiem zastrzeżenia miliardera Elona Muska, wielkiego fana fantastyki, który ostro skrytykował serial za to, że nie ma w nim dobrze skrojonych postaci, jak dotąd sami tchórze albo głupki z wyjątkiem Galadrieli. Musk poszedł zbyt ostro, ale ma trochę racji. W kinowym „Władcy Pierścieni” nawet ci, którzy Tolkiena nie czytali, natychmiast znajdowali się

w wielkiej kompanii postaci, które od razu mogli polubić i którym mogli kibicować. W „Pierścieniach władzy” na razie dopiero poznajemy większość bohaterów, to, co najważniejsze, daleko przed nami. Można się temu rytmowi dać unieść i czekać na więcej, można już dziś być zatroskanym – ja jestem, bo choć magia Śródziemia jest obecna na ekranie, to nie chciałbym, by wspaniała alegoria o walce dobra ze złem, by pełen archetypicznych postaci tolkienowski mit zamieniły się z zwykły dramat obyczajowy, tyle że z czarami.

Mam i pewną wyrozumiałość dla scenarzystów – w dodatkach do „Władcy Pierścieni” znaleźli bohaterów i kluczowe chwile w ich dziejach, ale wypełnia-

**Twórcy „Pierścieni władzy”
wpadli w tę samą pułapkę,
która czyhała na twórców
„Rodu Smoka”
(wstępu do „Gry o tron”)**

cze musieli wymyślić już sami (wypełniacze – czyli to, co dzieje się między punktami zwrotnymi znanymi z Tolkienowskiej mitologii: kto i kogo kiedy spotkał, o czym rozmawiali, całe morze pobocznych postaci oraz ich przygód, które są niezbędne, by stworzyć scenariusz kilku sezonów serialu). Raz wyszło, raz nie. Nikt nie rodzi się Tolkienem.

Twórcy „Pierścieni władzy” wpadli w tę samą pułapkę, która czyhała na twórców innego prequelu fantasy, czyli „Rodu Smoka” (wstępu do „Gry o tron”). Niby wszystko się zgadza, ale mamy wrażenie, że zamiast cukru w wypieku pojawił się słodzik. W przypadku Śródziemia jest to o tyle irytujące, że w czasie lektury pism Tolkiena zawsze zdawało się, że wypadki sprzed „Władcy Pierścieni” były jeszcze bardziej epickie, mityczne, istotne dla dziejów tego świata, a bohaterowie jeszcze bardziej bohaterscy, posągowi i godni podziwu. Być może ta chwila dopiero nadejdzie, na razie jest odwrotnie. Dostałmy dzieło znakomite w kategorii „serial fantasy”, ale już bardziej kontrowersyjne w kategorii „ekranizacja Tolkiena”. To pierwsze wystarczy, by Amazon zarobił wielkie pieniądze. Ale dopiero triumf w tej drugiej kategorii sprawić może, że „Pierścienie władzy” uznane zostaną za prawdziwy sukces. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dobra wiadomość: te pieniądze widać na ekranie. Siedząc przed telewizorem, żałujemy, że nie możemy oglądać powrotu do Śródziemia na kinowym ekranie. Wszelkie obawy, że dostaniemy najwyższej przyzwoitą jakość telewizyjną (coś jak seriale fantasy Netflixa), okazały się przesadzone, wszystko wygląda godnie i epicko. „Wszystko”, czyli co dokładnie? Trafiamy do świata stworzonego przez Tolkiena, ale młodszego o tysiąclecie, trwa nie trzecia, lecz druga era w dziejach jego świata. Nie istnieją jeszcze Shire i hobbici, nie zostały wykute jeszcze pierścienie władzy. Niedawno (ale i tak setki lat wcześniej) elfy pokonały Morgotha, Wielkiego Nieprzyjaciela, siłę ciemności stanowiącą u Tolkiena odpowiednik Lucyfera (upadłego Ainura – odpowiednik upadłego anioła). Wszyscy chcą wreszcie – i mogą – żyć w pokoju. Wszyscy oprócz młodej Galadrieli, wojowniczkii elfów, dowódcy armii północnej, która na wojnie z Morgothem straciła brata. A teraz szuka po dalekich krańcach świata śladów świadczących o tym, że potężny sługa Morgotha – Sauron – żyje i czeka w ciemnościach na okazję, by powrócić.

ROMANS MIĘDZY CZŁOWIEKIEM A ELFEM

Tolkien wspominał raz w swoich piśmach, że młoda Galadriela podobna była do amazonki, i taką też postać dostajemy (tyle że w zbroi przypominającej tę Joanę d'Arc). U Jacksona stateczną przywódczynię elfów grała Cate Blanchett, tutaj rolę dostała walijska aktorka Morfydd Clark i spisuje się w niej bardzo dobrze.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

prime video



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bohater z sąsiedztwa



★★★★★
**REŻ. JULIUS
 AVERY**
**„SAMARYTANIN”
 („SAMARITAN”)**
USA 2022

wyst. Sylvester
 Stallone, Javon
 Walton, Dascha
 Polanco

Samaritanin” to jeden z tych filmów, które doprowadzają do szału krytyków z liberalnej prasy amerykańskiej. Pokazuje rządzone przez bandziorów miasto, którego udręczeni, biedniejsi i zapomniani przez władze mieszkańcy nie marzą o paradach równości, ale o pojawieniu się typów w stylu Clinta Eastwooda albo Chucka Norrisa, którzy wreszcie zrobiliby porządek w sąsiedztwie. W dodatku wyznawcy zła, podpalający samochody, rabujący sklepy i marzący o totalnym chaosie, zachowują się jak działacze Antify – z jednej strony krzyczą o tym, że działają w imię ludu, z drugiej – zamieniają się w ukrytych za maskami zwykłych bandytów.

Naszym przewodnikiem po tym świecie jest 13-letni Sam, zafascynowany postacią super-

bohatera znanego jako Samarytanin. Ten zaś zniknął przed laty, tocząc śmiertelny bój ze swoim największym wrogiem (i bratem) o pseudonimie Nemezis. Obaj uznawani są za zmarłych. Czy to możliwe, że Samarytanin żyje i z jakiegoś powodu w przebraniu śmieciarza ukrywa się przed światem? Niewykluczone, skoro w postać mrukiwego osiłka z domu naprzeciwko wciela się Sylvester Stallone.

Heros, nie heros, ważniejsze jest to, czego tajemniczy Joe uczy Sama. Że mordobicia są dla głupków, że lepiej powstrzymać się od przemocy, nim stanie się tragedia, że trzeba być szybszym i mądrzejszym, a niekoniecznie silniejszym. I że w każdym jest dobro i zło, a wyborów dokonujemy każdego dnia. Ten edukacyjny przekaz

(film zdecydowanie skierowany jest do młodszego odbiorcy) niknie jednak w płomieniach, gdy w ostatnim akcie filmu dostajemy scenę akcji, której nie powstydziliby się Schwarzenegger w „Komando” albo sam Stallone w „Rambo 2”.

Cały „Samaritanin” robi zresztą wrażenie filmu, który mógłby powstać w latach 80., co, dodajmy, nie jest wadą. Kłopot w tym, że tamte historyjki o twardzielach własnoręcznie zaprowadzających sprawiedliwość bywały jednak nakręcone z większym wdziękiem i humorem. Tu dialogi kuleją, humoru brak i ostatecznie to, co mogło być manifestem dobrej antypoprawnościowej rozrywki, zamienia się w przyciężką opowiastkę dydaktyczną. Niezbyt szczerą, jeśli weźmiemy pod uwagę pełen przemocy finał. ©©



NOWE SERIALE: „SEZON ŚLUBNY”

Pierwszy brytyjski serial oryginalny w Disney+, skrzyżowanie kryminału i komedii romantycznej (nie mylić z hinduskim filmem „Sezon ślubów” trafiającym do Netflix). Stefan (Gavin Drea) zakochuje się w Katie (Rosa Salazar) – z wzajemnością. Tyle że dziewczyna ma właśnie wyjść za mąż. Kiedy jej niedoszły małżonek padnie

trupem w makabrycznych okolicznościach, oczywiście to właśnie zakochana para stanie się podejrzaną w pierwszej kolejności. Twórcą serialu jest Oliver Lyttelton, scenarzysta i showrunner znany z serii „Cheaters”. ©©



Piotr Gociek

• sezon 1 „Sezon ślubny” („Wedding Season”), Wielka Brytania 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 5 „Cobra Kai”, USA 2022



• sezon 5 „Opowieść podręcznej” („The Handmaid’s Tale”), USA 2022



• sezon 1 „Auto w drodze” („Cars on the Road”), USA 2022



Biały Murzyn



„Nie zabiłem Elvisa, ja go stworzyłem”. Salieri wspomina Mozarta, Tom Parker Presleya. Hanks, który podbił Hollywood, grając empatycznych kolesi, nawet nie próbuje bronić chciwego menedżera. „Pułkownikowi” słoń nadeptało na ucho i jest z tego dumny, ponieważ, żeby sprzedawać „murzyńskie rytmy z posmakiem country”, nie trzeba znać nut – wystarczy znać się na biznesie. Jego podopieczny – prowincusz, maminsynek, brat lata czarnoskórych pionierów R&B tudzież mimowolny sprawca muzycznej i obyczajowej rewolucji – został bożyszczem Ameryki. Niestety, wredny Parker wkraść się w łaski genialnego showmana, zmanipulował go, zdemoralizował i zamienił w kurę znoszącą złote jaja.



★★★★★

REŻ. BUZZ LUHRMANN
„ELVIS”
USA/AUSTRALIA
2022

wyst. Austin Butler,
Tom Hanks, Helen
Thomson

„Elvis” to filmowy mamut z imponującym cielskiem i mikroskopijnym mózgiem. Luhrmann każdym swoim filmem przypomina o jarmarczno-cyrkowym rodowodzie kina. Nieuleczalnie chory na efekciarstwo dołożył starań, by ekranowy Presley wyglądał i brzmiał lepiej niż prawdziwy, ale tradycyjnie poległ jako scenarzysta. 160 minut wizualnych ekscesów, anachronizmów i wyważania drzwi szeroko otwartych to dawka zgoła mordercza. Jest czego żałować, ponieważ niebiosza zesłały Australijczykowi znakomitego odtwórcę roli młodego Elvisa. Wcielając się w uzależnionego od leków, 40-letniego spaśnika z Las Vegas, Butler mężczy siebie i widzów. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SEN O WYŻERCIE



★★★★★

REŻ. LUIS BUNUEL
„DISKRETNY
UROK BURŻUAZJI”
(„LE CHARME
DISCRET DE LA
BOURGEOISIE”)
FRANCJA 1972

wyst. Fernando Rey, Delphine Seyrig,
Jean-Pierre Cassel

Artysta i burżuj – odwieczna para antagonistów. Iluż twórców trwoniło swój talent, chłuszcząc mieszcza do krwi ostatniej, demaskując jego egoizm i hipokryzję! Marco Ferreri w „Wielkim żarciu” przekonywał, że permanentna konsumpcja doprowadzi klasę średnią do samozagłady. Luis Buñuel nie był aż tak naiwny, więc poddał burżujów próbie głodu. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny restauracje z chamskimi kelnerami, w których nie można zamówić niczego do jedzenia, spotykało się często. Na Zachodzie uznano je za produkt wybujałej wyobraźni, pyszny żart. Zresztą we śnie wszystko jest możliwe. Nawet pocziwy ogrodnik może okazać się biskupem mścicielem. Surrealizm to pieśń przeszłości, jednak pół wieku po premierze ten film nadal śmieszy, tumani i przestrasza. Czyżby więźniowie konwenansów tudzież nuworzowskie pseudodelity będące na bakier z prawem wciąż nie zniknęły z naszego życia? ©©

STRZAŁY NAD NIEMNEM

KINO



★★★★★

REŻ. KRZYSZTOF ŁUKASZEWICZ
„ORLETA.
GRODNO '39”
POLSKA 2022

wyst. Feliks Matecki,
Jowita Budnik,
Bartłomiej Topa

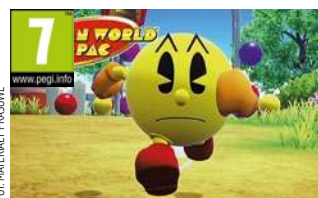
Obrona Grodna, wymazana legenda września 1939 r. ma wreszcie szansę zaistnieć poza kręgiem Kresowiaków i pasjonatów. Z całym szacunkiem dla ich popularyzatorskich dokonań film skuteczniej trafia do serc i umysłów (pod warunkiem że nie jest utrzymany w konwencji szkolnej akademii). „Orleto” omijają mielizny banału i dętego patosu. II RP, choć pozbawiona aureoli, jawi się tu depozytariuszem idei, których opętani wizją narodowego czy społecznego przewrotu nie pojmą nigdy. Łukaszewiczowi zdarzają się realizacyjne potknięcia, lecz wymyśla coraz ciekawszych bohaterów. Dwunastoletni Leoś, choć „nie-Aryjczyk”, uczy się „Bogurodzicy” i marzy o harcerskim mundurku. Jego idolami są Kusociński i Zawisza Czarna. Starszy brat, komunista, przekonuje, że „polskich książek już nie ma po co czytać”. Nadjężdżają sowieckie tanki. Mieszkańcy Grodna mogą wybrać los, a my dumać, co zrobilibyśmy na ich miejscu. ©©

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „PAC-MAN WORLD RE-PAC”

Ten żółty pożeracz kropek to klasyka gamingu, z którą równać się mogą chyba tylko klocki z Tetrisa. Ten drugi tytuł wciąż na topie, także w e-sporcie (na marginesie: Polacy są w tym naprawdę niezłi, mamy aktualnego mistrza świata), ten

pierwszy – powraca co jakiś czas. Ostatnio w grze będącej remasterem tytułu z 1999 r. Niezbyt odkrywczą, ale przyjemną, łatwą i klimatyczną platformówką 3D. Ukłon w stronę klasyki czy odcinanie kuponów od legendy? ©© **Radosław Wojtas**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
• **Gatunek:**
platformówka 3D
• **Platforma:**
XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC
• **Producent; wydawca:**
Now Production, Bandai Namco
Entertainment

MOJA PÓŁKA

Ukraińska misja i pragnienie

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Odkąd Putin wyciągnął ręce po Ukrainę, przechodzimy przyspieszony kurs jej dziejów – i tych dawnych, i wczorajszych, i całkiem dzisiejszych. A w kontaktach z Ukraińcami, którzy nagle pojawili się na naszych ulicach, w sklepach, szkołach, czasem wręcz w domach, uczymy się ich ojczyzny na nowo, inaczej niż dotąd. Nie zapominając bowiem o wszystkim, co nas dzieliło i dzieli, bardziej niż kiedykolwiek staramy się zrozumieć ich racje. I choć to bardzo trudne, to próbujemy niejako wejść w ich skórę.

Tym bardziej wartościowa wydaje się książka Mykoły Riabczuka „Czternasta od końca. Opowieści o współczesnej Ukrainie”, składająca się z tekstów pisanych przez tego dobrze znanego w Polsce poetę i krytyka (od 2014 r. kierującego pracami jury Nagrody Literackiej Angelus, a obecnie – pod innym przewodniczącym – pozostającego w składzie kapituły), jak również – czego dowodzi „Czternasta od końca” – wytrawnego eseisty. Książka ta, zbierająca teksty pisane od 2007 r., ukazała się w zeszłym roku we Lwowie w nieco innym kształcie i pod tytułem, który w zestawieniu z nazwiskiem autora byłby w Polsce nie do przyjęcia: „Leksykon nacjonalisty”. Niezależnie od tego, że – jak zauważa Riabczuk – putinowskie oskarżenie każdego ukraińskiego patrioty o nacjonalizm właśnie sprawiło, że słowo to w wojennych warunkach nabrało na Ukrainie znaczenia wręcz bohaterskiego. A jeśli ta wojna wniosła coś pozytywnego w życie narodu ukraińskiego, to powszechne zrozumienie, że dalszy podział kraju na część wschodnią i zachodnią, rosyjsko-ukraińskojęzyczną nie ma żadnego sensu, gdyż jest on mniej więcej taki – powiada autor – jak np. pomiędzy kibicami Cracovii i Wisły. Dla porządku uzupełnię to porównanie o rozdziwki między zwolennikami



FOT. WOJCIECH STRÓŻNY/REPORTER

Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości. Tak przynajmniej uważa Mykoła Riabczuk.

Pisze on m.in.: „Wojna rosyjsko-ukraińska trwa i jej ostateczne wyniki nie są znane. Ukraina może w niej przegrać, bo ma sprawę z państwem ogromnym i uzbrojonym, państwem okrutnym, kłamliwym i podłym, państwem, które ma broń nuklearną i jest zdolne do wszystkiego w swojej beczelności i paranoi. Ale może też wygrać, bo ma taką misję i takie pragnienie”.

„Jeśli Zachód zachowa się wobec Ukrainy jak wobec agresji Hitlera na Polskę w 1939 r., to może dojść – pisał Mykoła Riabczuk już osiem lat temu – nie tylko do rozbioru Ukrainy i stworzenia kordonu sanitarnego od Petersburga do Nadnistrza. W ciągu czterech-sześciu lat możliwy jest kolejny kordon sanitarny – od Petersburga do Kaliningradu, z dokładną powtórką krymskiej operacji specjalnej na Łotwie i w Estonii i czymś przypominającym historię Gdańska na Litwie”. I przypominał, jak po wojnie w Czeczenii reżnik Kaukazu uhonorowany został Orderem Legii Honorowej, a po wojnie w Gruzji Francja jak gdyby nic sprzedawała Rosji swoje okręty wojenne.

Mykoła Riabczuk nie wiesz a psów na krajach zachodnich,

a jedynie przedstawia fakty, zestawiając choćby znaczenie wcześniejszych sankcji przeciw Rosji (były takie, a jakże!) z „entuzjastycznym budowaniem rurociągu Nord Stream 2”. Wojna – wskazuje – rozpoczęta przez Rosję z Ukrainą w roku 2014(!) pod przykrywką opowieści o „republikach separatystycznych” nie była nawet nazywana wojną, a jakimś bliżej niezidentyfikowanym „konfliktem ukraińskim”. Sytuacja się zmieniła, gdy wcześniej lekceważony prezydent Wołodymyr Zełenski najpierw doprowadził do uwięzienia osobistego agenta Wiktora Medwedczuka, a następnie zamknął kanały telewizyjne szerzące na Ukrainie moskiewską propagandę. Eksperci twierdzą, dodaje Riabczuk, że na decyzję o rozpoczęciu przez Rosję regularnej wojny „wpłynęło też zbliżające się zakończenie budowy rurociągu Nord Stream 2, czyli faktyczne usunięcie z terytorium Ukrainy ważnej dla Rosji infrastruktury transportowej i przez to otwarcie całego terenu dla ewentualnej bitwy”.

Dla polskiego czytelnika najtrudniejsza, a momentami nie do zaakceptowania będzie część książki dotycząca naszych wzajemnych relacji. A konkretnie stosunku do postaci Stepana Bandery, któremu po przegranych wyborach Wiktor Juszczenko nadał tytuł bohatera Ukrainy i za takiego uważa się go na całej Ukrainie, skądinąd nie usprawiedliwiając ludobójstwa na Wołyniu, nazywanego przez Riabczuka „etnicznymi czyszkami”. W Polsce książka o tym „bohaterze” nieprzypadkowo znalazła się w wydawniczej serii ukazującej „prawdziwe oblicze zła” obok biografii Hitlera i Himmlera, Mussoliniego i Ceaușescu, Lenina i Pol Pota. I nie była to wcale – jak chętnie powiedziałoby dzisiaj wielu polityków, z prezydentami naszych państw na czele – edytorska pomyłka. ©



★★★★★
**MYKOŁA
RIABCZUK
„CZTERNASTA
OD KOŃCA.
OPOWIEŚCI
O WSPÓŁCZESNEJ
UKRAINIE”
ZNAK,
KRAKÓW 2022**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zewsząd ku Polsce

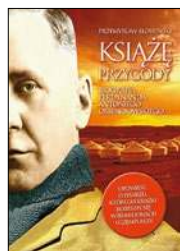
Jak wschodząca gwiazda petersburskiej prasy zamieniła się w jednego z najpopularniejszych pisarzy niepodległej Polski? Czy można zostać „drugim po Sienkiewiczu”, pisząc po polsku dopiero swoją piątą książkę? Jakie określenie najlepiej pasuje do najświeższej książki naszego bohatera, „Przez kraj zwierząt ludzi i bogów” – błaga, autokreacja, podkoloryzowany reportaż, a może po prostu beletrystyka udająca literaturę faktu?

Tych ciekawostek, paradoksów i sensacji jest dużo więcej, tak jak olbrzymi jest dorobek Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego, autora niemal 80 książek (plus ogromny dorobek w czasopiśmie), ostatnio obiektu ostrych ataków lewicy, bo jego „Słoń Birara” plus dwie inne pozycje trafiły do kanonu lektur szkolnych.

„Książę przygody” to dopiero druga w języku polskim biografia Ossendowskiego (pierwszą była wydana trzy dekady temu, wznowiona niedawno książka Witolda Michałowskiego). Przemysław Słowiński nie jest nastawiony do autora „Lenina” aż tak entuzjastycznie jak Michałowski, jest swemu bohaterowi przychylny, lecz kiedy trzeba, patrzy uważnie na ręce, bo zaiste był Ossendowski kuglarzem, jakich

mało. Z drugiej strony wszystkie jego przewiny – prawdziwe i domniemane – nie są w stanie przesłonić faktu, że ten obieżyświat był niesłuchanie czytany, pisał w sposób barwny i potoczny, posiadał olbrzymią wiedzę na wiele tematów, znał kilka języków i był mistrzem sprzedawania w żywy sposób poważnego researchu. Przykładem jest jego powieść biograficzna „Lenin” – pisząc ją, przestudiował prace licznych współczesnych mu sowietologów z Europy Zachodniej. Książka do dziś porusza, bo odsłania mechanizmy działania Sowietów i podobnie jak „Cień ponurego Wschodu” demaskuje bolszewicką Rosję jako kraj największej zapaści i tragedii cywilizacji XX w. Do dziś, dodajmy, wiele się w tej kwestii nie zmieniło.

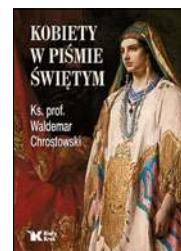
Czytajmy więc opowieść Słowińskiego o Ossendowskim, ale czytajmy i samego Ossendowskiego. Wznawiają jego dzieła wydawnictwa LTW, Miles, Zysk i S-ka. Zwróćmy uwagę – prócz wspomnianych już tytułów – na jego książki z cyklu „Cuda Polski”. Był Ossendowski wielkim polskim patriotą i postawę państwowotwórczą uważał za naturalną dla polskiego pisarza. Nie mylić ze służalczością wobec władzy – z sanacją akurat nie było mu po drodze. ©©



★★★★★
PRZEMYSŁAW
SŁOWIŃSKI
„KSIĄŻĘ
PRZYGODY”
ZONA ZERO

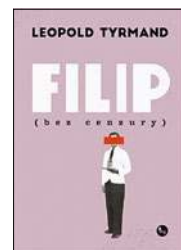
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od Ewy, przez Dalilę czy Batszebę, do Estery – 16 portretów niewiast znanych z kart Starego Testamentu (plus 115 ilustracji). „Powinny być podziwiane przez najbardziej zadufanych w siebie mężczyzn” – pisze książd profesor.



WALDEMAR
CHROSTOWSKI
„KOBIECY
W PIŚMIE
ŚWIĘTYM”
BIAŁY KRUK

Pierwsza pełna polska edycja powieści Tyrmanda z 1961 r. przywraca fragmenty usunięte przez komunistyczną cenzurę, a źródłem poprawek jest wydanie amerykańskie. Całość przygotował i opracował Dariusz Pachocki.



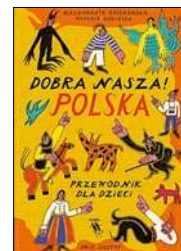
LEOPOLD
TYRMAND
„FILIP
(BEZ CENZURY)”
WYDAWNICTWO
MG

Nie jest to ani biografia, ani krytyczne opracowanie dorobku twórcy „Pulp Fiction”, ale raczej bardzo popularne i obficie ilustrowane wprowadzenie do tematu. Shone bardziej ceni anegdotę niż analizę. Dla początkujących.



TOM SHONE
„TARANTINO.
NIEPRZEWIDY-
WALNY GENIUSZ”
ZNAK

Przewodnik po Polsce dla dzieci. Nietypowy, bo zamiast zdjęć dostajemy zabawne rysunki Klaudii Kozłowskiej. Pozytywny przekaz, porcja narodowej dumy i trochę nieoczywistych wyborów, jeśli idzie o część atrakcji. ©©



MAŁGORZATA
RUSZKOWSKA
„DOBRA NASZA
POLSKA!”
DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA: „ZIARNO PRAWDY”

Twórcy komiksowych adaptacji prozy Sapkowskiego wracają do korzeni: do opowiadań, które złożyły się na pierwsze dwa tomy jego opowieści o świecie Geralta, w imponujący sposób kładąc podwaliny pod późniejszą powieściową sagę. „Ziarno prawdy”, przewrotna wariacja na temat baśni o „Pięknej i Bestii”, ukazało się



REMBIŚ, SCHARF,
VILLARRUBIA
„WIEDZMIN.
ZIARNO PRAWDY”
EGMONT 2022

oryginalnie w roku 1989, a potem trafiło do zbioru „Ostatnie życzenie”. Było też podstawą scenariusza do pierwszego epizodu drugiej serii serialu Netflix o Geralcie z Rivii. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

#BezPrzedawNIEnia

Pięć milionów dwieście tysięcy istnień. Nawet jednego odebranego życia nie da się wycenić, domagać finansowego zadośćuczynienia. A co dopiero tyle. A na tyle właśnie szacuje się liczbę „strat osobowych” Polski ze strony Niemiec w czasie drugiej

wojny światowej. Ale straty Polski dotyczą i innych, w zasadzie wszystkich dziedzin życia. Straty, które oszacowano niedawno na 6 bln 200 mld zł.

#BezPrzedawNIEnia to kampania, którą zainaugurowano w 83. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej i która poświęcona jest stratom poniesionym przez Polskę podczas drugiej wojny światowej. Jej elementem jest wystawa zdjęć w druku soczewkowym (jedno zdjęcie płynnie przechodzi w inne) obrazujących zniszczenia w krajobrazie polskich miast. Wystawa zawisnęła w jakże symbolicznym dziś miejscu – na ogrodzeniu, za którym odbudowywany będzie Pałac Saski. ©©

GDZIE? Warszawa,
pl. marsz. J. Piłsudskiego
KIEDY? do 20 września



FOT. TWITTER.COM / MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

KONOPNICKA ILUSTROWANA

Wystawa „Konopnicka ilustrowana”, będąca częścią szóstej edycji Festiwalu Tradycji Literackich, prezentuje ilustrowane wydania utworów Marii Konopnickiej dla dzieci. Prezentowane wydania pochodzą z końca XIX w., z dwudziestolecia międzywojennego i z okresu PRL. Podróż przez zmieniające się mody i style ilustracji do ponadczasowej twórczości autorki „Roty” z jednej strony i baśni „O krasnoludkach i sierotce Marysi” z drugiej. ©©

GDZIE? Wrocław, Muzeum Pana Tadeusza
KIEDY? do 4 grudnia



GRZEGORZ
BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Powrót do gry

Megadeth założony w 1983 r. przez gitarzystę/wokalistę Dave’a Mustaine’a i basistę Davida Ellefsona należał wraz z Metallicą, Anthraxem i Slayerem do „wielkiej czwórki” thrash metalu. Dziś to ta grupa jest na szczycie kierunku, który blisko 40 lat temu wyrzucił metalowy świat do góry nogami.

Po albumie „Dystopia” wiele wskazywało, że może już nie być kolejnej płyty. Mustaine, chory na raka gardła, Ellefson wyleciał z kapeli po skandalu seksualnym. Mocny rozdział w historii zespołu wywarł wyraźny wpływ na 16. album studyjny Megadeth. W otwierającym płytę utworze tytułowym zespół powoli, choć efektownie wybudzał się z metalowego snu. W kolejnych

nagraniach Amerykanie żądają już bez opamiętania, opisując przy tym zgrozę współczesnego świata. W sześciopółminutowym epickim „Night Stalkers” pojawia się raper Ice-T. Wstęp do „Psów Czarnobyła” daje minutowe wytchnienie, po czym kontynuujemy jazdę w trybie full-on. „Psychopathy” to popis nowego perkusisty Dirka Verbeurena, a „Killing Time” zawiera mistrzowskie przejście na akustycznej gitarze między kolejnymi nawałnicami dźwięków.

Poziom metalowej adrenaliny jest na albumie niebywałą. Mustaine wściekle pluje żółcią na prawo i lewo, a jego kompani napędzają tego metalowego potwora ze zdwojoną siłą. Megadeth powstał z popiołów. ©©



★★★★★
MEGADETH
„THE SICK, THE DYING... AND THE DEAD!”
UME



★★★★★
MADONNA
„FINALLY ENOUGH LOVE: 50 NUMBER ONES”
RHINO

Tytuł odnosi się do tanecznych wersji hitów Madonny, piosenki są w dance’owych mikсах i nie ma tu ballad. Osoby poszukujące klasycznych przebojów mogą być zawiedzione. Cóż, Madonna gościła ostatni raz w dziesiątce głównej listy „Billboardu” 10 lat temu. ©©



★★★★★
KOKOROKO
„COULD WE BE MORE”
BROWNSWOOD

Liderką oktetu Kokoroko jest trębaczka Sheila Maurice-Grey. Londyńska grupa wykonuje muzykę instrumentalną czerpiącą inspirację z world music. W tych 15 nagraniach odnajdziemy współczesny jazz, juju, soul i funk, a także rytmy z Afryki Zachodniej i Karaibów. ©©

*Czy bohaterowie
w końcu zaznają szczęścia?*



Białoruskie postapo w teatrze

Pozbawieni możliwości pracy u siebie emigranci wystawiają w polskich teatrach, kierując przekaz na dwie strony – i do polskiej publiczności, i do tej z wschodniej granicy. To nie są pojedyncze postaci funkcjonujące w środowisku, jak na przykład Iwan Wyrypajew, od lat mieszkający w Polsce reżyser i dramaturg wystawiany w całej Rosji, który oddał rosyjski paszport i zadeklarował przeznaczenie tantiem za rosyjskie realizacje na wsparcie Ukrainy. To już cała fala, zjawisko – teatr najnowszej, politycznej fali emigracji ze Wschodu. Artyści o właśnie połamanych przez historię życiorysach, którzy mają znacznie więcej do powiedzenia od siedzących jak pączki w maśle polskich kolegów.

Ten teatr emigracyjny na razie składa się z setek pojedynczych zdarzeń, funkcjonuje nomadycznie i meandrycznie, raczej w trybie bieżących interwencji i benefitów, koncertów, czytań, debat, realizacji jedno-rzeczowych i okolicznościowych. Trzeba go szukać na obrzeżach, poza zwyczajową ofertą i repertuarami instytucji teatralnych. Ale jest i tak, że w Polsce zaczynają regularnie pracować całe zespoły, o wypracowanym od lat języku, odwołujące się do bardzo konkretnych tradycji. Chcą – i otrzymują do tego warunki. Skromne, bo skromne, ale mimo wszystko warunki pozwalające zabrać głos, dające możliwości przejścia przez okres prób i chociaż pokazania premiery. Jest to i sporo, i zarazem bardzo niewiele: na- zajutrz po premierze taki teatr znika do następnego projektu, zaproszenia na festiwal, minigrantu. Myślę w tym momencie o Wolnych Kupałowcach. Tak nazwał sam siebie zespół białoruskiego Teatru Narodowego im. Janki Kupały z Mińska, po tym, jak wystąpił przeciwko reżimowi i został wyrzuco-



Aktorzy wyreżyserowani przez Harcujeua dokonali udanej adaptacji prozy Bacharewicza FOT. ZMISER WAYNOWSKI



Grzegorz Kondrasiuk

Na naszych oczach powstaje oryginalne zjawisko. Jak dotąd nikt się chyba nie zorientował, że od dobrego już sezonu mamy w Polsce nurt teatru emigracyjnego, teatru z prawdziwego zdarzenia, tworzonego przez Białorusinów, Ukraińców, czasem Rosjan

ny niemal w całości z pracy i z siedziby. Ten depozytariusz języka białoruskiego i białoruskiej kultury nie przerwał pracy, a chcąc zwracać się do własnej publiczności, kolejne premiery pokazuje w Internecie (kanał Купалаўцы na YouTube). Jedną z najnowszych realizacji Kupałowców nie ma na razie wersji internetowej. Spektakl jest adaptacją książki „Psy Europy” emigracyjnego pisarza Alhiderda Bacharewicza, na Białorusi na indeksie, a szefowie teatru nie chcą narażać tych członków zespołu, którzy zdecydowali się zostać w ojczyźnie. Spektakl „Gęsi – ludzie – łabędzie” można więc oglądać jedynie od okazji do okazji, na festiwalach i występach w Polsce i na Litwie.

Bacharewicz nieprzypadkowo ma opinię jednego z najlepszych obecnie pisarzy białoruskich, a świetni aktorzy wyreżyserowani przez Harcujeua dokonali udanej adaptacji jego prozy. Z począt-

ku wydaje się ona tylko płaską, antytotatarną satyrą w kostiumie postapokaliptycznym. Mam tu portret niewielkiej społeczności posiołka Bietyje Rosy 13 w roku 2049. To bliska przyszłość, gdzie zdarzyło się wszystko, co mogło pójść źle. Po wojnie atomowej, która prawdopodobnie doprowadziła do zniszczenia Europy, wiejski ludek żyje w lasach gdzieś pod Mińskiem, bez pamięci, tradycji, tożsamości narodowej, bez jakichkolwiek kulturowych punktów odniesienia – jako najdoskonalsza kontynuacja sowieckich konstruktów społecznych. Wódka, toasty „Za nas! I za specnaz!”, ludzie wyizolowani, ulepiani z propagandy („Na Zachodzie podobno jest demokracja, to znaczy, że oni żyją bez cara. Ale jakże to – bez cara? Dzicy ludzie!”), Moskwa jako stolica wszystkiego – wiadomo, znane to składniki świata, ostatnio spopularyzowane dzięki wydarzeniom na arenie

międzynarodowej. Mam też postać głównego bohatera, nieprzystosowanego, wrażliwego nastolatka zwanego Małczunem, czyli Milczkiem (w tej roli znakomity, po dziecięcemu bezbronny i zdziwiony Aleksandr Kaziełło) – i mamy oglądać bezceństwa przez jego niewinne oczy.

Ale to tylko zewnętrzna warstwa, bo Bacharewicz napisał książkę grającą kontekstami. Ważną, nieco tajemniczą rolę w tej opowieści pełni świat zwierząt: to zarazem sposób, by mówić o rolach społecznych w totalitarnym systemie i by sięgnąć do głębokiej pamięci ludowych obrazów i opowieści, sprytnie przejętych przez sowiecką popkulturę. To materiały do długich analiz; ja poprzestane tylko na wskazaniu jednego tropu: rozwiązanie fabuły odwołuje się wprost do „Cudownej podróży” Selmy Lagerlöf, w sposób nieoczywisty, zarazem poetycki i brutalnie polityczny. Aby nie zdradzić zakończenia, mogę napisać tylko tyle, że finałowy monolog Małczuna wgniata w ziemię. Polecam! ©©

**WOLNI KUPAŁOWCY,
„GĘSI – LUDZIE – ŁABĘDZIE”
NA PODSTAWIE KSIĄŻKI ALHIDERDA
BACHAREWICZA „PSY EUROPY”
REŻYSERIA: ALEKSANDR HARCUEJEU
PREMIERA: 17 CZERWCA 2022 R.
TEATR IM. OSTERWY W LUBLINIE**

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 11



Ochrona godności narodowej i wolność słowa

- Walka o dobre imię narodu a swoboda wypowiedzi
- Batalie sądowe Karola Tendery • Prawo do prawdy w teorii i w praktyce
- Odkłamywanie zbrodni katyńskiej



FOT. JAKUB SZNACZUK / KPRP

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 732a2ad455



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

SPIS TREŚCI

3 ROZMOWA
Z MEC. LECEM OBARĄ
I MEC. SZYMONEM TOPĄ

W OBRONIE DOBREGO IMIENIA POLAKÓW

Wywiad
Piotra Włoczyka
z prawnikami
Stowarzyszenia
Patria Nostra

7 ZUZANNA DĄBROWSKA
**STRAŻNIK
PRAWDY
HISTORYCZNEJ**

W 1943 r. został wywieziony
do niemieckiego obozu
koncentracyjnego Auschwitz,
gdzie działał w ruchu oporu.
Pod koniec życia stał się symbolem
walki o prawdę historyczną.
Życie Karola Tendery to gotowy
scenariusz na film

11 PIOTR WŁOCZYK
**SZANSA
DLA POLSKI**

Prawo
do prawdy
to koncepcja,
którą
Polacy
mają szansę
wypełnić
odpowiednią
treścią

13 RADOŚLAW WOJTAS
**ODKŁAMYWANIE
ZBRODNI
KATYŃSKIEJ**

Była to długa i niełatwa walka,
w której wiele osób złożyło
– często najwyższą – ofiarę.
Wydawać nam się może, że
o kłamstwie na temat zbrodni
katyńskiej możemy mówić
wyłącznie w czasie przeszłym.
Ale czy rzeczywiście tak jest?



Z mec. Lechem Obarą i mec. Szymonem Topą
ze Stowarzyszenia Patria Nostra
rozmawia Piotr Włoczyk

W obronie dobrego imienia Polaków

PIOTR WŁOCZYK: Gdzie powinna przebiegać granica wolności słowa w kontekście ochrony godności narodowej?

MEC. LECH OBARA: Wolność słowa to prawo podmiotowe wyrażające się w prawie jednostki do nieskrępowanego wyrażania swoich poglądów. Jest to jedna z istotniejszych tradycyjnych swobód podlegających ochronie prawnej zarówno w prawie krajowym, jak i międzynarodowym. Znaczenie tego prawa jest jednak bardziej złożone. Możliwość korzystania przez jednostkę z wolności słowa wpływa nie tylko na jej sferę osobistą, lecz także na sferę publiczną, w tym polityczną, również na możliwość realizowania przez nią innych swobód pozwalających jednostce na udział w życiu publicznym, tj. swobodę zrzeszania się, tworzenia partii politycznych, wolność zgromadzeń, udział w wyborach itp. Wolność słowa jest wyrażana również poprzez realizację bardziej szczegółowych praw i wolności, jak wolność komunikowania się, wolność badań naukowych, wolność twórczości artystycznej itp.

Czy w interesującym nas kontekście „godność narodowa” to pojęcie zupełnie abstrakcyjne czy jest ono jednak zakorzenione w prawie?

L.O.: Godność narodowa jest prawem do samorealizacji poprzez możliwość uczestniczenia we wspólnocie narodowej i identyfikowania się z tą wspólnotą narodową. Wywodzi się ona z godności osobistej, która – jak wskazuje się w piśmiennictwie – odnosi się do sfery przeżyć wewnętrznych jednostki składających się na jej wyobrażenie o sobie. W orzecznictwie, w celu wyjaśnienia godności osobistej, wskazuje się na „szacunek dla samego siebie”, „poczucie własnej wartości” czy też „przekonanie o swoim etycznym i moralnym nieposzlakowaniu”. Istotą godności narodowej zatem, jako szczególnego aspektu godności osobistej, jest sfera osobista jednostki związana z poczuciem tożsamości narodowej i potrzebą uczestnictwa we wspólnocie narodowej, jako warunku rozwoju osobistego.

Wyjaśniali to sędziowie w sprawach prowadzonych przez prawników Stowarzyszenia Patria Nostra, w tym sędziowie Sądu Apelacyjnego w Krakowie, w sprawie pana Karola Tendery przeciwko telewizji ZDF, która na swojej stronie internetowej określiła Auschwitz jako „polski obóz zagłady”. Sędziowie wskazali, że poczucie przynależności narodowej oraz duma z takiej przynależności



Żołnierze Armii Krajowej z Żydami uwolnionymi z Gęsiówki, 5 sierpnia 1944 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przepisy karne co do zasady nie penalizują fałszowania historii. To zaś może również boleć i wywołać poczucie pokrzywdzenia

■ mieszczą się w powszechnie i społecznie akceptowanym zestawie wartości oraz mogą stanowić ważny element stanu świadomości i uczuć człowieka. Zatem jeśli są wyznawane i kultywowane przez określoną osobę, należy je uznać za jej dobra osobiste podlegające ochronie prawnej. Podobny pogląd wyraziły Sąd Apelacyjny w Warszawie w sprawie wydawcy „Die Welt” oraz Sąd Apelacyjny w Białymstoku w sprawie przeciwko wydawcy www.focusonline.de.

Czy któraś z tych wartości jest ważniejsza?

MEC. SZYMON TOPA: Zarówno wolność słowa, jak i godność narodowa są wartościami w zasadzie równorzędnymi pod względem ochrony prawnej. Niemniej może dochodzić do kolizji pomiędzy tymi wartościami. W tym sensie, że realizacja przez jednostkę wolności wypowiedzi może ingerować w godność narodową innej jednostki. Zwykle będzie dochodzić do takich sytuacji, gdy osoba korzystająca z prawa do wyrażania swoich

poglądów, np. o danej narodowości czy o danym państwie, będzie ograniczała innej osobie możliwość realizacji siebie jako uczestnika wspólnoty narodowej bądź też będzie wpływać na jej poczucie wartości właśnie pod kątem poczucia przynależności narodowej. Taka kolizja dwóch wartości nie zawsze będzie rodzić odpowiedzialność prawną. Godność osobista, a zatem również godność narodowa, nie ma bowiem charakteru absolutnego. Może doznać ograniczeń określonych przez ustawę. Ingerencja w cudze dobro osobiste nie będzie rodzić odpowiedzialności prawnej, jeśli nie ma charakteru bezprawnego.

W polskim Kodeksie karnym są przewidziane przepisy, które penalizują określone zachowania godzące w cudzą godność narodową, przesądzając tym samym o ich bezprawności. W przepisie art. 119 k.k. została przewidziana odpowiedzialność karna za stosowanie przemocy lub groźby bezprawnej wobec grupy osób lub poszczególnych osób

z powodu przynależności narodowej. Ponadto w przepisie art. 257 k.k. została przewidziana odpowiedzialność karna za publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnych osób z powodu ich przynależności narodowej. Racje stojące u podstaw tych przepisów są jasne. Istnieje potrzeba ochrony życia publicznego przed zachowaniami dyskryminacyjnymi, również na tle narodowościowym (ale nie tylko), których skutkiem jest naruszenie cudzej godności, nietykalności cielesnej czy wolności osobistej. Także wtedy, gdy określona wypowiedź – czy przez swoją treść czy kontekst, w jakim została wyrażona – będzie ingerować właśnie w poczucie wartości innej osoby oparte na poczuciu przynależności narodowej, tj. wynikające z potrzeby kultywowania wartości czy dziedzictwa wspólnego dla danej wspólnoty narodowej. Najprostszy tego przykładem zdaje się być naśmiewanie się lub obrażanie innej osoby z tytułu jej narodowości lub przypisywanie jej nieistniejących



drugiej wojny światowej. Oczywiście są to procesy najbardziej znane z doniesień medialnych, ale nie jedyne.

Czy tylko Polacy dostrzegają konieczność ochrony godności narodowej?

S.T.: Nie, potrzeba ochrony godności narodowej nie jest jakąś polską specyfiką, wyrazem naszego przewrażliwienia, jak starają się sugerować niektórzy. To nie Polacy spowodowali, że w orzecznictwie ETPC pojawiła się koncepcja ochrony takich wartości jak godność narodowa (czy też „tożsamość etniczna”), w ramach przepisu art. 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (np. sprawa Aksu vs. Turcja, sprawa Pernicek vs. Szwajcaria czy też Lewit vs. Austria).

Oczywiście wypowiedź o historii godząca w czyjeś dobra osobiste (godność narodową) sama w sobie nie będzie rodzić odpowiedzialności prawnej, jeśli będzie mieścić się w granicach wolności słowa w jej szerokim znaczeniu (obejmującym również wolność badań naukowych czy wolność twórczości artystycznej). Pomijając tu kwestie ograniczeń wynikających wprost z przepisów, np. art. 13 ust. 2 prawa prasowego dotyczącego ochrony danych osobowych osób objętych postępowaniem karnym, granice wolności słowa na styku z dobrami osobistymi wynikają przede wszystkim z orzecznictwa dotyczącego ochrony tych dóbr.

Czy w polskim prawie ta granica jest właściwie zakreślona?

L.O.: Jeśli uznać, że ochrona godności narodowej winna być tożsama z ochroną innych dóbr osobistych, to należy uznać, że granica ta jest właściwie zakreślona.

Przede wszystkim wypowiedzi o faktach powinny być prawdziwe, a wyrażane poglądy, opinie powinny mieć swoje uzasadnienie w faktach i nie mogą mieć na celu poniżenia innych osób. W przypadku wypowiedzi o historii szczególnie ważną kwestią jest zasada indywidualizacji. Jeśli wypowiedź w swojej treści nie odnosi się wprost do konkretnej osoby, to człowiek, który uznał ją za naruszającą jego dobra osobiste, winien wykazać, że chociaż w sposób pośredni, uwzględniając pozatekstowy kontekst, dotyczy właśnie jego. Wreszcie, aby uznać daną wypowiedź za bezprawną, jej negatywny wpływ na sferę osobistą danej jednostki winien mieć charakter obiektywny. Innymi słowy, bezprawność danego zachowania (danej wypowiedzi) nie może opierać się

na subiektywnej wrażliwości danej osoby. Należy wykazać, że w zasadzie każda osoba rozsądnie i racjonalnie oceniająca daną wypowiedź, bez uprzedzeń i bez skłonności do wyrażania ekstremalnych poglądów, mogłaby w konkretnej sytuacji, w której znalazła się osoba domagająca się ochrony prawnej, poczuć się pokrzywdzona, poniżona itp.

W jakim stopniu środowisko sędziowskie wyczulone jest na obrażanie godności narodowej?

L.O.: W konkretnych okolicznościach sprawy nie jest łatwo rozstrzygnąć, czy dana wypowiedź o historii bezprawnie ingeruje w godność narodową. Procesy dotyczące „polskich obozów” budziły wiele kontrowersji z prawnego punktu widzenia. Co istotne, okazało się, że w polskich sądach kontrowersja nie dotyczyła wcale tego, że taka wypowiedź stanowi wyraz wolności wypowiedzi (wypowiedź ta jest bowiem nieprawdziwa i nie zasługuje na ochronę prawną). Podstawowe wątpliwości budziła przede wszystkim zasada indywidualizacji. Według jednego sądu wypowiedź o „polskich obozach” godzi w godność narodową każdej osoby, której można przypisać poczucie polskiej tożsamości narodowej (tak postąpił Sąd Apelacyjny w Warszawie w sprawie wydawcy „Die Welt”). W innych przypadkach uznano jednak, że warunek indywidualizacji spełniony został jedynie w stosunku do byłych więźniów obozów zagłady (Sąd Apelacyjny w Krakowie w sprawie ZDF i Sąd Apelacyjny w Białymstoku w sprawie wydawcy www.focusonline.de).

W innej sprawie, tj. byłego żołnierza AK przeciwko niemieckiej telewizji ZDF związanej z rozpowszechnianiem wspomnianego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, kwestią kluczową stało się rozstrzygnięcie, czy prawda historyczna i godność narodowa powoda powinny ustąpić przed wolnością artystyczną producenta serialu. Polski sąd uznał, że niemiecki producent przekroczył granice wolności wypowiedzi, i nakazał mu w wyroku przeprosić polskiego obywatela.

S.T.: Warto wspomnieć o sprawie Kazimierza Laudąńskiego przeciwko historykowi Janowi T. Grossowi, za jego publikację dotyczącą Jedwabnego. W sprawie tej powód domagał się ochrony dobrej pamięci o swoim ojcu, który w książce został opisany jako jeden z uczestników pogromu Żydów w 1941 r. Mimo że sam autor przyznał, iż jego wypowiedź

przywar wywodzonych ze stereotypów, dążąc w ten sposób do wywołania u niej poczucia poniżenia.

Są jednak dużo bardziej bolesne ataki na godność narodową. Co można z nimi realnie zrobić?

S.T.: Przepisy karne co do zasady nie penalizują fałszowania historii. To zaś może również boleć i wywołać poczucie pokrzywdzenia. Pojawiały się głosy, aby zacząć pozywać nieodpowiedzialnych dziennikarzy wypisujących nieprawdę o Polsce, np. przypisujących Polakom udział w zbrodniach popełnionych w niemieckich obozach zagłady. Społeczeństwo zaczynało dostrzegać, że nie jest to tylko kwestia wizerunku Polski, lecz także ich poczucia godności wpływającego z odczuwania dumy z uczestnictwa w polskiej wspólnotie narodowej. Stąd miały miejsce wyżej wymienione procesy dotyczące „polskich obozów”. Także niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, fałszującego obraz żołnierzy polskiej Armii Krajowej w czasie

o przodku powoda nie była obiektywne prawdziwa, sąd jednak odmówił ochrony pamięci o zmarłym, odwołując się właśnie do wolności słowa (wolności badań historycznych).

Jak widać zatem, jeśli chodzi o granice ingerencji wolności słowa w godność narodową i inne dobra osobiste, to kłuczowe nie są same przepisy prawa, ale ich stosowanie przez sędziów. To wrażliwość sędziów na potrzebę ochrony godności narodowej i umiejętności identyfikowania sytuacji, w których wolność słowa wykracza poza swoje granice, będzie decydować o tym, czy obowiązujące dziś prawo będzie pełnić swoją funkcję.

Czy w interesującym nas kontekście należałoby wprowadzić jakieś większe zmiany w polskim prawie?

L.O.: Po doświadczeniach związanych z nowelizacją ustawy o IPN wydaje się mało realne, aby zaistniała polityczna wola wprowadzenia zmian w prawie, związanych z ochroną godności narodowej czy też – szerzej – pamięci o wydarzeniach historycznych mających wpływ na nasze poczucie tożsamości narodowej. Kazus ten wskazał również, jak bardzo trudno jest ująć w ramy prawne ochronę pamięci o narodzie. Jest to naturalne właśnie ze względu na wrażliwość społeczeństw zachodnich na potrzebę ochrony wolności wypowiedzi. Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r., która miała penalizować publiczne pomawianie Polski i Polaków o Holokaust, w swojej treści wykroczyła poza te cele legislacyjne. Przez to dała asumpt do krytyki. Głosy krytyczne wobec tej nowelizacji powtarzane w opinii publicznej generalnie nie były słuszne. Jednakże nie można pominąć, że treść nowelizacji zawierała wiele niejasnych określeń. Mogła zaś wprost wyrazić wolę pociągnięcia do odpowiedzialności karnej sprawcy wypowiedzi przypisującej Polakom lub innym narodom współudział w utworzeniu obozów zagłady.

S.T.: Często zwracamy uwagę, że istnieje konsensus pomiędzy państwami zrzeszonymi w IHRA (International Holocaust Remembrance Alliance – Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście), zgodnie z którym przypisywanie innym narodom lub grupom etnicznym współudziału w tworzeniu obozów zagłady, takich jak Auschwitz, może być postrzegane jako znieszczenie pamięci o Holokauście. Wydaje się, że można wy-

Polityka historyczna czy też polityka pamięci jest faktem. Jest stosowana w zasadzie przez każde państwo

korzystać ten konsensus i spróbować ująć to w ramy prawne. Jest to zadanie dla polskiej legislatury i polskiej dyplomacji.

Słuchać też głosy, że obrażanie godności narodu to pojęcie zbyt abstrakcyjne, ponieważ naród nie jest monolitem i w związku z tym ciężko obrazić taką zbiorowość. Co panowie sądzą o takim argumente?

L.O.: Rozumiem, że w tych wątpliwościach chodzi o obrazę poprzez pomówienie narodu, fałszowanie jego historii. W szerszym kontekście bowiem nie powinno budzić wątpliwości, że zachowania dyskryminacyjne na tle narodowościowym godzą w godność narodową jednostki lub grupy osób. Przesądza o tym chociażby wspomniany już przepis art. 119 k.k.

S.T.: Naród, choć nie jest monolitem, jest wspólnotą. Jej członkowie są związani wspólnymi wartościami, w tym pamięcią o swojej historii, wspólnym językiem itp. Wspólnie też dbają o te wartości. Właśnie to, co łączy jednostkę z narodem, podlega ochronie, a nie to, co różni członka wspólnoty narodowej od innych członków wspólnoty. W przypadku wypowiedzi o historii ochrona godności narodowej jest o tyle trudniejsza, że jest zdeterminowana wieloma warunkami, o których już wspomnieliśmy. Złożoność relacji pomiędzy wolnością wypowiedzi a godnością narodową powoduje, że niezwykle rzadko zdarza się, iż wypowiedzi fałszujące historię danego narodu będą rodziły odpowiedzialność prawną jej autora. Jak zostało już wspomniane wcześniej, to mądrość sędziów, badających w konkretnych okolicznościach sprawy zasadę indywidualizacji i zasadę obiektywizacji, będzie decydować o tym, czy godność konkretnej osoby (a nie narodu) została naruszona.

W naszej debacie pada też argument, że wolność słowa jest wartością tak ważną, iż wrażliwość historyczna narodu powinna ustąpić jej miejsca – nie powinno być żadnych sankcji za kłamstwa na ten temat.

L.O.: Wolność słowa jest bardzo ważną wartością i nie można tego kwestio-

nować. Nie ma jednak charakteru absolutnego. Nie może być narzędziem w fałszowaniu pamięci o minionych wydarzeniach lub obrażaniu innych osób. Wolność słowa nie powinna być również instrumentem do ochrony kłamców historycznych. A tak właśnie potraktował wolność wypowiedzi Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe. Odmówił mianowicie wykonania polskiego wyroku nakazującego ZDF przeprosić pana Karola Tendere, wskazując właśnie na wyższość wolności prasy nad godnością byłego więźnia Auschwitz.

S.T.: Polityka historyczna czy też polityka pamięci jest faktem. Jest stosowana w zasadzie przez każde państwo, z mniejszą lub większą skutecznością. Nie możemy sobie wmawiać, że historia (czy pamięć o minionych wydarzeniach) nie jest narzędziem w prowadzeniu polityki wewnętrznej czy zagranicznej. W Rosji polityka historyczna jest narzędziem do realizacji celów imperialnych. W Niemczech zaś głównie do poprawy wizerunku tego państwa na świecie (czasami kosztem innych państw). Polska z kolei musi nieustannie koncentrować się na obronie swojej historii przed fałszowaniem. Oczywiście kluczową kwestią jest dobranie takich instrumentów jej prowadzenia, aby była ona skuteczna i mieściła się w standardach akceptowanych przez społeczność międzynarodową. Stąd w państwach demokratycznych nie jest mile widziane kształtowanie pamięci o wydarzeniach minionych w drodze ustaw penalizujących działalność historyków niezgodną z państwową wizją historii. Stanowi to ryzyko nieuzasadnionej ingerencji w wolność słowa. Kładzie się za to większy nacisk na edukację i PR. Niemniej nie można wykluczyć również środków prawnych w pewnych skrajnych przypadkach. Okazuje zaś taką może dać wspomniany konsensus na świecie co do potrzeby ochrony pamięci o Holokauście, w tym pamięci o tym, że Auschwitz był niemieckim obozem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Mecenas Lech Obara

oraz

mecenas Szymon Topa

są adwokatami

ze Stowarzyszenia

Patria Nostra

– organizacji

przeciwstawiającej

fałszowaniu historii

Polski.



Strażnik prawdy historycznej



Zuzanna Dąbrowska

W 1943 r. został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie działał w ruchu oporu. Pod koniec życia stał się symbolem walki o prawdę historyczną. Życie Karola Tendery to gotowy scenariusz na film

Karol Tendera (na pierwszym planie) i Lech Obara podczas jednej z rozpraw

FOT. JACEK BEDNARCYK/PAP

Szybko zrozumiał, czym jest „niemiecki porządek”. Wiosną 1940 r., wraz z innymi uczniami krakowskiej szkoły mechanicznej, Karol Tendera został wywieziony do pracy przymusowej. Trafił do hanowerskiej fabryki Max Mueller-Hann Flugzeug Werke, zajmującej się produkcją samolotów. Jak opowiadał po latach w wywiadzie dla telewizji Radom, fabryka była regularnie bombardowana przez aliantów. Wiedział, że pewnego dnia może zginąć, i w połowie 1942 r. podjął próbę ucieczki. Eskapada się nie powiodła. Został zatrzymany w Opolu i trafił do przymusowej pracy na dworcu we Wrocławiu. Nie dawał za wygraną i po raz kolejny uciekł – tym

razem z powodzeniem. Wrócił do domu rodzinnego w Krakowie.

Spokój nie trwał długo. W styczniu 1943 r. niespełna 22-letni wówczas Tendera został zatrzymany na ulicy przez gestapowca w cywilu. Podczas brutalnego przesłuchania w siedzibie tajnej policji przy ul. Pomorskiej został oskarżony o fałszowanie dokumentów. – Od razu przyprowadzili do pokoju przesłuchań księdza. Jeden z gestapowców mówi: „Panowie, wy się znacie”. Odparłem, zgodnie z prawdą, że pierwszy raz go widzę – wspominał po latach Karol Tendera. Stał się kozłem ofiarnym – śledztwo nie miało związku z jego ucieczką z prac przymusowych, ale chodziło o doprowadzenie

do skazania księdza. Karol był przymuszany przez gestapowców do zeznawania przeciw kapłanowi, na co – mimo bicia po głowie – nie chciał się zgodzić. W końcu bezsilni Niemcy okaleczyli go i Karol Tendera przestał słyszeć na jedno ucho.

Przewieziono go do więzienia przy ul. Montelupich. 5 lutego 1943 r. trafił do obozu Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 100 430. – Nie wierzyłem, że praca uczyni mnie wolnym. Czułem, że to są moje ostatnie dni – opowiadał Karol Tendera, opisując swoje myśli w pierwszych dniach pobytu w obozie zagłady.

Jako więzień doświadczył na własnej skórze bestialstwa, które stosowali niemieccy oprawcy. Przeprowadzano na

■ nim pseudomedyczne eksperymenty. – Byłem jednym z „królików doświadczalnych”. Pewnego dnia wyprowadzono nas z bloku. Wraz z 14 innymi więźniami rozkazano nam się rozebrać. W lewy pośladek wstrzykiwali nam zastrzyk. Preparat 1031, wyprodukowany przez firmę Bayer. Przez parę dni lekarze uważnie nas obserwowali. Po trzech dniach trzech umarło. Reszta miała 40 stopni gorączki. Dzięki temu, że byli wśród nas tacy, którzy mieli kontakty z Żydami, udało się przemycić lekarstwa – wspominał Tendera. Przeżył. – Mam dobrą pamięć i dużo szczęścia – śmiał się po latach więzień Auschwitz. Przeniesiono go do Birkenau. Pracował w różnych komandach – m.in. przy budowie baraków oraz kopaniu stawów rybnych. W tym czasie ciężko zachorował. Został przeniesiony z powrotem do Auschwitz, gdzie wrócił do zdrowia.

Tenderze udało się dostać przydział do pracy w kuchni, co było dla więźniów

Powstania Warszawskiego, przywożonych transportami z Auschwitz, Gross-Rosen, Dachau i Flossenbürga. Tam pracował w komandzie zarządzającym magazynem odzieży. W Litomierzycach doczekał końca wojny. W tym czasie uniknął kary śmierci za próbę ucieczki. Po wyzwoleniu obozu wrócił do Krakowa. Ukończył technikum budowlane i podjął pracę w przedsiębiorstwie budowlanym, następnie pracował w zakładzie energetycznym. Po kolejnej zmianie pracy ukończył studia na Wydziale Metalurgii AGH. Do przejścia na emeryturę w 1979 r. był dyrektorem dużej firmy budowlanej.

HISTORYCZNE KŁAMSTWO

Doświadczenia niemieckich obozów na zawsze wryły się w pamięć Karola Tendery.

Współpracował z Fundacją Pamięci Ofiar Auschwitz-Birkenau oraz Centrum Dialogu i Modlitwy w Oświęcimiu. Jest autorem książki „Polacy i Żydzi

wali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzywić, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to – mówił stanowczo Tendera na początku procesu.

W grudniu 2016 r. Sąd Apelacyjny w Krakowie prawomocnie uznał, że sformułowanie „polskie obozy” jest nie tylko historycznym kłamstwem, lecz także naruszeniem dóbr osobistych Karola Tendery. Nakazano telewizji ZDF zamieszczenie przeprosin na stronie głównej jej serwisu internetowego.

– Polskie społeczeństwo ma świadomość, że określenia przypisujące powstanie Auschwitz Polsce, jest nieprawdą i wzbudza w nas oburzenie. Jest to w zasadzie jeden z nielicznych konsensów w naszym społeczeństwie, nawet jeśli zdarzają się jednostki, którym jest to obojętne bądź które wręcz cynicznie to próbują wykorzystać. Czasami dla własnych osobistych celów, a czasami ze względu na interes innych państw lub środowisk. Niemniej nie trzeba Polaków uświadamiać, że to niemieckie państwo stworzyło w czasie wojny system obozów zagłady, służący ekstremalnej eksploatacji i eksterminacji ludności żydowskiej, a także likwidacji innych narodowości, w tym polskiej – mówi „Do Rzeczy” mec. Lech Obara, prezes Stowarzyszenia Patria Nostra, który reprezentował Karola Tendery.

Niemiecki nadawca nie chciał ponosić konsekwencji. Aby obejść nakaz krakowskiego sądu, stacja ZDF opublikowała tylko odnośnik pt. „Przeprosiny Karola Tendery” i niewielki tekst w formie grafiki na dole strony. Zostało to odebrane przez byłego więźnia Auschwitz jako policzek. W styczniu 2017 r. pełnomocnicy Karola Tendery zwrócili się do sądu w Moguncji, aby ten uznał, że ZDF musi w pełni wykonać wyrok. Sąd rozpatrzył wniosek przychylnie, jednak prawnicy ZDF zaskarżyli decyzję do Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji. I tak postanowieniem z 11 stycznia 2018 r. Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji ostatecznie oddalił skargę telewizji ZDF na postanowienie Sądu Krajowego w Moguncji, uznając, że wyrok Sądu Apelacyjnego w Krakowie nadaje się do wykonania w Niemczech. Stacja nie złożyła jednak bronii. Wniosła skargę do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe.

– Trybunał (odpowiednik polskiego Sądu Najwyższego) uznał, że wyrok Sądu Apelacyjnego w Krakowie, nakazu-



Obóz Auschwitz | FOT. ADOBE STOCK

atrakcyjnym zajęciem. Stało się tak dzięki znajomościom – szef komanda kuchennego przed wojną grał w jednym zespole muzycznym z ojcem Karola. Mniej więcej w tym czasie zaczął działać w obozowym ruchu oporu, stworzonym przez Witolda Pileckiego. Jego rola polegała na przygotowywaniu paczek dla uciekinierów.

W październiku 1944 r. w „marszu śmierci” dotarł do obozu KL Leitmeritz. IPN szacuje, że przez to miejsce przeszło ogółem ok. 18 tys. więźniów, wśród nich 9 tys. Polaków, w dużej mierze aresztowanych w związku z wybuchem

w KL Auschwitz 1940–1945”. Do późnej starości spotykał się z młodzieżą szkolną, której opowiadał o swoich przeżyciach. Był prawdziwym świadkiem historii i człowiekiem, który nie mógł przejść obojętnie obok jej fałszowania. Dlatego w ostatnich latach życia wytoczył proces niemieckiej telewizji ZDF. Sprawa dotyczyła posłużenia się w 2013 r. określeniem „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz” w informacji na jej portalu dotyczącej planowanej emisji programu dokumentalnego. – Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, kato-

jący ZDF przeprosić p. Karola Tendere, nie może być wykonywany na terenie Niemiec. Niemieccy sędziowie przyjęli absurdalny pogląd, że orzeczony nakaz publikacji przeprosin jest niedopuszczalną ingerencją w wolności prasy ZDF i wykonanie polskiego wyroku jest rażąco sprzeczne z fundamentalnymi zasadami niemieckiego systemu prawnego. W ten sposób niemiecki FTS de facto odmówił zastosowania przepisów unijnych nakazujących uznawanie polskich wyroków na obszarze UE – wyjaśnia mec. Szymon Topa, pełnomocnik Karola Tendery.

Stowarzyszenie Patria Nostra skierowało do Komisji Europejskiej skargę, domagając się wszczęcia postępowania wobec RFN za naruszenie prawa unijnego. – Została również wniesiona petycja do Komisji Petycji i Komisji Prawnej Parlamentu Europejskiej. Żaden z właściwych organów unijnych nie chciał się zająć tym problemem, uznając, najprościej mówiąc, że sędziowie niemieccy mogą decydować sami, kiedy będą stosować unijny przepis. Ot, taka specyficzna niemiecka praworządność, która komisarz Věra Jourové nie przeszkadza – ironizuje mec. Topa. – Orzeczenie Federalnego Trybunału Sprawiedliwości zostało zaskarżone do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego. Niestety, ponieważ pan Karol Tendera zmarł, zanim jego skarga została rozpoznana, sędziowie niemieccy wykorzystali to i uznali już, że nie muszą się tą sprawą zajmować – dodaje.

Były więzień Auschwitz-Birkenau zmarł w 2019 r.

KRUCZKI I PRETEKSTY

Wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski w wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy” tak to skomentował: „Śmierć pana Tendery skutkowałą umorzeniem postępowania. Przypomnijmy też samą treść wyroku Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który uznał, że wyrok nie może być wykonany w Niemczech z uwagi na to, że jest tam konstytucyjnie chroniona wolność słowa, a to wyklucza nakazanie konkretnej treści przeprosin. Czyli znów wykorzystywanie kruczków i szukanie za wszelką cenę pretekstów, by nie przyznać się do tego, że na terenie Polski działały niemieckie obozy koncentracyjne i że to Niemcy odpowiadają za te zbrodnie”.

– Sprawa Karola Tendery pokazuje, jak w sposób karykaturalny może dojść do naruszenia praw zagwarantowa-



Więźniowie obozu Mauthausen podczas pracy niewolniczej, 1942 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

nych przez konwencję rzymską, w tym wypadku przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe. Niemieccy sędziowie sprawujący nadzór judykacyjny nad podległymi im sądami powszechnymi nie pozwolili wykonać na terenie Niemiec wyroku wydanego przez polski Sąd Apelacyjny w Krakowie, nakazującego niemieckiej telewizji publicznej ZDF przeproszenie byłego więźnia obozu Auschwitz na swojej stronie internetowej

za publikowanie wypowiedzi przypisujących Polakom utworzenie tego obozu zagłady. Kuriozalność tego wyroku polegała na tym, że zdaniem niemieckiego trybunału odmowa wykonania polskiego wyroku wynikała z konieczności ochrony wolności słowa (sic!) niemieckiej telewizji ZDF – ocenia mec. Lech Obara.

Czy strona polska mogła zrobić więcej? – To, że szefowa Komisji Europejskiej, niemieckiej proveniencji, nie



Budynek krematorium w niemieckim obozie zagłady Majdanek FOT. ADOBE STOCK

■ chce zająć się tym problemem, choć nie można tego uznać za prawidłowe, można zrozumieć. Nie jest jednak zrozumiałe, dlaczego polski rząd nie korzysta z możliwości wniesienia skargi do TSUE na niemieckie państwo, zarzucając mu naruszenie prawa unijnego. Interpelację w tej sprawie składała poseł PiS Iwona Arent. Zasadność takiego działania potwierdził minister sprawiedliwości, który w tej sprawie skierował pismo do KPRM. KPRM zaś milczy i pozostaje bierna. Bierność Polski w tym względzie będzie tylko zachęcać niemieckie władze do podejmowania dalszych podobnych działań – przestrzega mec. Obara.

Jednocześnie są pola, na których polskie władze wyciągnęły wnioski i działają skutecznie. – Dyplomacja pozostaje czujna na forum IHRA (International Holocaust Remembrance Alliance – Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście) i słusznie stara się, zawsze przy okazji piętnowania zniekształcania pamięci o Holokauście, zwracać uwagę na konieczność przeciwdziałania wypowiedziom przypisującym innym narodom powstanie obozów zagłady takich jak Auschwitz. To właśnie dzięki polskim dyplomatom, jako przykład zniekształcania pamięci o Holokauście, IHRA uznała przypisywanie innym narodom lub grupom etnicznych wybudowanie i prowadzenie obozów zagłady takich jak Auschwitz. Podobnie ujęto to w niedawnej rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 22 stycznia 2022 r. dotyczącej zaprzeczenia Holokaustu. Nadto polski resort spraw zagranicznych inspirował naukowców do debaty nad zagrożeniami płynącymi z rozpowszechniania wadliwych kodów pamięci oraz prawnymi możliwościami przeciwdziałania temu. Zaowocowało

to powstaniem publikacji naukowych i publicystycznych w różnych językach – wskazuje mec. Obara.

Misję Karola Tendery kontynuuje jego syn, Jerzy. W czerwcu ubiegłego roku wniósł on do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu skargę przeciw Niemcom. Zwraca w niej uwagę, że odmowa wykonania polskiego wyroku narusza m.in. przepis art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. – Wniósł skargę na orzeczenie niemieckich sędziów, licząc, że europejscy sędziowie nie odmówią rozważenia racji jego ojca i odniosą się do zarzucanych niemieckiemu FTS zarzutów o naruszenie przepisów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Sprawa jest jeszcze wciąż na etapie oceny formalnej – wyjaśnia mec. Szymon Topa ze Stowarzyszenia Patria Nostra. Skarga zarzuca Republice Federalnej Niemiec również uchybienie standardom w zakresie prawa do sądu, gwarantowanego w art. 6 konwencji. Dodatkowo, według syna Karola Tendery, doszło do naruszenia prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego jego ojca, do których ochrony zobowiązani byli również niemieccy sędziowie na mocy art. 8 konwencji.

PEKNIĘTA BAŃKA

Wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski ocenił, że nie ma innego sposobu na walkę z przypisywaniem narodowi polskiemu niemieckich zbrodni, jak podnoszenie alarmu i reagowanie w każdej takiej sytuacji. „W przypadku stacji ZDF dopiero sprawa sądowa i długoletnia batalia poskutkowały. Mimo butnej postawy i negowania treści wyroków i podważania ich w każdy możliwy sposób na antenie już nie pojawiło się

sformułowanie o »polskich obozach«. Amerykański »The Wall Street Journal« wprowadził zakaz określania niemieckich obozów na terenie Polski słowami »polskie obozy«. To sformułowanie pojawia się teraz istotnie rzadziej na łamach tej gazety, chociaż co jakiś czas ma miejsce kolejny taki incydent, co zmusza polską stronę do reakcji. Dzięki działaniom takich instytucji jak Instytut Pileckiego amerykańskiej Polonii czy fundacjom działającym w Polsce i za granicą udaje się stopniowo ograniczać powstawanie tych »błędów«. Czym innym jest jednak błąd, a czym innym celowe działanie” – podkreślił wiceszef MS.

Sprawa Karola Tendery pokazała, jak wielką jest niewiedza i niekiedy zła wola świata zachodniego dotycząca tego, kto w czasie drugiej wojny światowej był katem, a kto ofiarą.

– Proces zbiegł się w czasie z innymi wydarzeniami mającymi wpływ na kształtowanie się świadomości społecznej. W 2013 r. rozpoczęła się dystrybucja serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, w którego powstaniu swój udział miała niemiecka publiczna telewizja ZDF. Serial ten, choć aspirował do bycia filmem historycznym, znacznie odbiegał od realiów prezentowanych czasów. Powiełał wszelkie nieprawdziwe stereotypy o Polsce, fałszował pamięć o polskich partyzantach i pomijał całkowicie udział Niemiec w okupacji Polski i zbrodniach popełnionych na polskich obywatelach – przypomina mec. Szymon Topa. – Wizja historyczna prezentowana w niemieckim serialu otworzyła polskiej opinii publicznej oczy na coś, z czego wcześniej nie zdawała sobie chyba sprawy: to, co w Polsce wydawało się oczywiste na temat drugiej wojny światowej, nie jest wcale oczywiste i znane społeczeństwom innych krajów Europy. Mało tego, uzmysłowiono sobie, że państwo niemieckie zaangażowało się w kształtowanie nieprawdziwej narracji o drugiej wojnie światowej i roli Polaków w tym konflikcie. Pękła bańka informacyjna, w której żyliśmy, przekonani, że Zachód świetnie wie, kto był sprawcą, a kto ofiarą tej wojny – podkreśla pełnomocnik Karola Tendery.

– Polacy zdali sobie sprawę, że nie powinni być bierni. Wzbudziło to naturalnie zainteresowanie tym, jak nasza historia jest postrzegana na świecie i jak można o niej opowiadać zgodnie z polską narracją – podsumowuje mec. Szymon Topa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szansa dla Polski



Piotr Włoczyk

Prawo do prawdy to koncepcja, którą Polacy mają szansę wypełnić odpowiednią treścią

Czy państwa mają obowiązek dbania o poszanowanie prawdy historycznej, w szczególności w przypadku największych zbrodni? Prawo międzynarodowe nie mówi o tym wprost, ale prawo do prawdy może dawać Polakom pewne nadzieje na przyszłość. Co się kryje za tym terminem?

– Ta koncepcja została stworzona ok. 30 lat temu, gdy na różnych kontynentach upadały dyktatury i społeczeństwa domagały się poznania prawdy na temat popełnionych zbrodni. Chodziło o ustalenie losu ofiar reżimów, również zbrodni międzynarodowych – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Michał Balcerzak, prawnik z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – Artykuł 32 I Protokołu dodatkowego do Konwencji genewskich zobowiązuje państwa do dbania o „prawo do wiedzy rodzin o losie ich członków”. Ta koncepcja pojawia się też w orzecznictwie m.in. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rodziny mają prawo do poznania prawdy. To element tzw. sprawiedliwości tranzytywnej. Ale wydaje się też, że beneficjentami tego prawa mogłyby być całe narody lub grupy etniczne.

Zagadnienie to prof. Balcerzak szerzej opisuje w swoim opracowaniu opublikowanym w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność prawna za jej negowanie lub zniekształcanie” (pod redakcją Arkadiusza Radwana i Marcina Berenta).

PRAWO DO PRAWDY

Wspomniana sprawiedliwość tranzytywna to wysiłki prawne zmierzające do wyjaśnienia zbrodni popełnianych przez reżimy. Przykładem takich procesów mogą być np. wydarzenia z początku lat 90., gdy wyjaśniano zbrodnie reżimu południowoafrykańskiego, czy przestępstwa przeciw podstawowym prawom człowieka, których dokonali rządzący Argentyną wojskowi. W przypadku Polski jako element prawa do prawdy można rozumieć wyjaśnienie zbrodni dokonanej przez Sowieców latem 1945 r.,



Pomnik Ofiar Obławy Augustowskiej w Sokółce. FOT. ARTUR RESZKO/PAP

■ która przeszła do historii jako obława augustowska. Do dziś bowiem Rosja nie wyjaśniła, co się stało z Polakami, którzy zostali wówczas aresztowani, a następnie zamordowani. Ofiar było najprawdopodobniej ok. 2 tys. Taka bowiem liczba pojawia się w dwóch sowieckich szyfrogramach odkrytych przez rosyjskiego historyka dr. Nikitę Pietrowa ze stowarzyszenia Memoriał. O ile w przypadku zbrodni katyńskiej był okres, gdy Rosjanie do pewnego stopnia współpracowali z Polakami i otworzyli dla naszych badaczy część swoich archiwów, o tyle w kwestii obławy augustowskiej – największej zbrodni dokonanej na Polakach po drugiej wojnie światowej – Moskwa konsekwentnie odmawia udzielenia informacji na ten temat, a tym samym odmawia rodzinom ofiar prawa do prawdy o losie swoich bliskich.

Niestety, prawo do prawdy nie jest twardym narzędziem prawnym, dzięki któremu można w łatwy sposób wydobywać prawdziwy obraz historii i skutecznie piętnować kłamców, którzy fałszują okoliczności popełnienia zbrodni. Jednak koncepcja ta rozwijana jest powoli w kierunku uznania jej za autonomiczne prawo podmiotowe.

– Prawo do prawdy wciąż wypełniane jest treścią. Ta koncepcja coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Nic nie stoi na przeszkodzie, by grupa państw postanowiła, żeby prawo do prawdy potraktować jeszcze szerzej – jako prawo człowieka do zgodnej z prawdą narracji historycznej na temat tego, co dotyczy jego samego, jego rodziny lub narodu, z którego pochodzi, a także reagowania w przypadku pojawienia się szczególnie niebezpiecznych kłamstw historycznych – mówi prof. Balcerzak.

Ekspert z UMK zwraca też uwagę, że nie istnieje obecnie traktat lub choćby akt „prawa miękkiego”, który wykazywałby troskę społeczności międzynarodowej o zgodną z prawdą narrację historyczną. Sytuacja ta otwiera w związku z tym szerokie pole przed Polakami.

OBOWIĄZEK ZACHOWANIA PAMIĘCI

– To zadanie przede wszystkim dla polskiej dyplomacji. Za pewnością nie jest to łatwa droga. Taka inicjatywa wymaga „pracy u podstaw” i zabierze zapewne wiele lat. Jako państwo nie powinniśmy tu sobie stawiać zbyt ambitnych celów, ponieważ nie sądzę, by udało się przyjąć

w tej sprawie traktat międzynarodowy. Widzę jednak szansę, by małymi krokami wprowadzić tu standardy tzw. soft law, czyli „miękkiego prawa”. Pamiętajmy, w prawie międzynarodowym niekiedy kodyfikujemy to, co początkowo funkcjonuje jako „soft law”. Potrzebujemy do tego odpowiedniego forum, zapewne najlepsze byłoby forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Myślą przewodnią powinna być troska o prawdziwość narracji historycznej w oparciu o rzetelną wiedzę historyczną – uważa prof. Balcerzak. – Nie ma co udawać, że to będzie proste, ale widać też, że prawo międzynarodowe w kontekście dążenia do prawdy ewoluuje. Działalność Międzynarodowego Trybunału Karnego to wyraz tego, że społeczność międzynarodowa chce działać w tym zakresie. Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale to nieprawda. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska.

Z prawem do prawdy wiąże się postulat „obowiązku zachowania pamięci”. O ile rozwijanie koncepcji prawa do

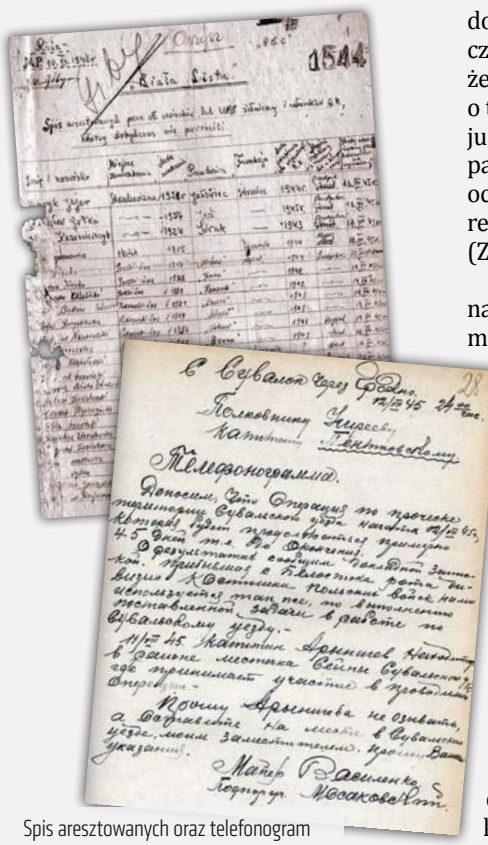
prawdy w wąskim znaczeniu mogłoby pomóc np. w ujawnieniu okoliczności przeprowadzenia obławy augustowskiej, o tyle „obowiązek zachowania pamięci” dotyczy przede wszystkim reagowania na szczególnie niebezpieczne kłamstwa na temat masowych zbrodni.

W stanowiących wspomniane już „soft law”, opracowanych przez ONZ, Zasadach ochrony i promocji praw człowieka poprzez zwalczanie bezkarności prawo do prawdy (Zasada 2) pojawia się tuż obok obowiązku zachowania pamięci (Zasada 3):

„Każdy lud/naród ma niezbywalne prawo do poznania prawdy o wydarzeniach z przeszłości dotyczących popełnienia haniebnych zbrodni oraz okoliczności i powodów, które spowodowały dokonanie tych zbrodni poprzez masowe i systematyczne naruszenia. Pełne i skuteczne korzystanie z prawa do prawdy stanowi istotną gwarancję przeciwko ponownym naruszeniom” (Zasada 2).

„Wiedza ludu/narodu o historii opresji stanowi część jego dziedzictwa i musi być zapewniona poprzez odpowiednie środki realizujące obowiązek państwa w sferze zachowania archiwów i innych dowodów dotyczących naruszeń praw człowieka i prawa humanitarne, a także w celu ułatwienia dostępu do wiedzy o tych naruszeniach. Środki tego rodzaju powinny zmierzać do zachowania pamięci zbiorowej oraz, w szczególności, ochrony przed rozwijaniem argumentacji rewizjonistycznej i negacjonistycznej [...]” (Zasada 3).

Obrońcy polskiej pamięci historycznej na temat drugiej wojny światowej – rozumianej przede wszystkim jako utrwalanie prawdy o losie ofiar masowych zbrodni oraz wskazywanie rzeczywistych sprawców – mają więc szansę zyskać realną broń w walce o ten cel. Potrzebna jest tu wspomniana „praca u podstaw” na arenie międzynarodowej, która sprowadzać się będzie do uświadamiania przedstawicieli innych państwa, jak ważne dla przyszłości jest wyjaśnienie mrocznych kart z przeszłości i pielęgnowanie prawdy na ten temat, a także zbudowanie w tym celu odpowiedniej koalicji. W Polsce czekają na to nie tylko rodziny ofiar obławy augustowskiej, lecz także wielu krewnych oficerów zamordowanych w Katyniu, którzy wciąż starają się poznać całą prawdę na temat ich śmierci.



Spis aresztowanych oraz telefonogram do WUBP w Białymstoku o rozpoczęciu obławy 12 lipca 1945 r. FOT. ZBIORY IPN

Odkłamywanie zbrodni katyńskiej



Radosław Wojtas

Była to długa i niełatwa walka, w której wiele osób złożyło – często najwyższą – ofiarę. Wydawać nam się może, że o kłamstwie na temat zbrodni katyńskiej możemy mówić wyłącznie w czasie przeszłym. Czy rzeczywiście tak jest?

Tablica z nazwiskami ofiar Zbrodni Katyńskiej w Lesie Katyńskim

FOT. ADOBE STOCK

To była dramatyczna manifestacja niezgody na kłamstwo katyńskie. 21 marca 1980 r. 76-letni Walenty Badylak, żołnierz AK ps. Szymon, przykuł się łańcuchem do historycznej studzienki na krakowskim rynku, oblał benzyną i podpalił. Bezsilny jak miliony trzymany pod sowieckim buciorem Polaków, w tak dramatyczny sposób oddał życie, nie mogąc znieść zakłamywania prawdy na temat zbrodni katyńskiej.*

W poruszający sposób ten dzień wspomina nieomal naoczny świadek samospalenia, fotografik Stanisław Markowski. O podpaleniu się człowieka na krakowskim Rynku „za Katyń” dowiedział się, gdy wpadł z krótką wizytą do siedziby Związku Polskich Artystów Fotografików przy ul. Świętej Anny. Pierwszą myślą Markowskiego było poczucie, że musi udokumentować fotograficznie to wydarzenie, które działo się przecież zaledwie

kilkaset metrów od siedziby związku. Sprzęt fotograficzny zostawił jednak w domu oddalonym o kilka kilometrów od miejsca wydarzeń.

„Czuje, jak krew odpływa mi z nóg. Zaczynam gorączkowo pytać, czy ktoś pożyczy mi aparat fotograficzny. Nikt nie reaguje. Nikt też nie zamierza iść na Rynek – wspomina Markowski. – Wybiegam z biura, wskakuję do taksówki i gnam do domu, na ulicę Majora. W ciągu kilkunastu minut jestem z powrotem na Rynku z aparatem pod pachą. [...] Czuje, że najpierw powinienem zrobić zdjęcie umiejscawiające zdarzenie – plan ogólny. Znalazłem odpowiednie okno. Wchodzę do bramy i wędruję na drugie piętro kamienicy. Pukam, drzwi się uchylają, wchodzę do środka. To prywatne mieszkanie. Wyciągam aparat, ludzie wewnątrz przez kilka sekund badawczo spoglądają mi w oczy. W końcu zaufali mi. W pokoju

przy oknie, na sofie, leży starszy człowiek. Na mój widok zrywa się.

– Otwórzcie mu szeroko okno – komenderuje.

– Przeżyłem Powstanie Warszawskie, stalinizm... ale dłużej tego nie wytrzymam. Niech pan fotografuje, niech pan pokaże ludziom, co się naprawdę dzieje... – szepce, ściskając mnie za ramię. Zapamiętam te słowa na całe życie”.

W tym krótkim opisie wspomnień jak w soczewce skupiają się różne zachowania, postawy, uczucia z czasów, gdy o zbrodni katyńskiej mówiono ściszo – nym głosem w zaufanym gronie albo nie mówiono wcale. Stanisław Markowski był jednym wśród co najmniej kilku przebywających wtedy w siedzibie związku fotografików, który postanowił spełnić swój kronikarski obowiązek. I nie otrzymał nawet najmniejszego wsparcia. Nie tylko nikt nie poszedł z nim na

■ Rynek. Nikt nawet nie podał aparatu do wyciągniętej po pomoc dłoni. Markowski zapewne przez chwilę mógł poczuć namiastkę tego, co przez wiele lat czuć musiały rodziny ofiar zbrodni katyńskiej. Szukające prawdy, często w poczuciu beznadziei i osamotnienia, z pustą, wyciągniętą po pomoc, po choćby skrawki informacji o swoich bliskich, dłonią.

Mimo trudności nigdy się nie poddali. Było warto.

POWRÓT TATY

Gdy sięga się po wspomnienia bliskich ofiar zbrodni katyńskiej, zwłaszcza dzieci pomordowanych, uderza jeden fakt, który przewija się w zasadzie w każdej relacji – zapewnienie o powrocie, o rychłym spotkaniu, do którego – jak wiemy – nigdy nie doszło.

– Mama – nie wiem, czy chciała nam dodać otuchy – mówiła, byśmy nie rozpaczali, że [tato] poszedł na wschód, ale na pewno wróci. Wpajała w nas myśl, że nasz tato żyje. Miałam dzielną mamę, energicznie ujęła w swoje ręce nasz los. Zaczęliśmy bardzo skromnie, nie mieliśmy za co żyć na początku – mówiła na antenie telewizji Republika Halina Drachal, wieloletnia prezes Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Warszawie, córka żołnierza Piłsudskiego, potem komendanta policji w Skaryszewie Jana Ambramczyka.

Pani Halina nigdy więcej nie zobaczyła ojca. Pozostały jedynie dziecięce wspomnienia i obraz taty utrwalaony przez opowieści o nim. – Dobrze pamiętam swojego ojca w 1939 r. Miałam siedem lat. Tata dbał o wygląd. Bardzo godnie reprezentował Polskę. Sąsiadki, jak tata szedł ulicą, to podobno zza firanek z przyjemnością patrzyły na jego sylwetkę. Ja zawsze pamiętam go dostojnie wyglądającego – wspominała w tym samym wywiadzie.

Jak tysiące innych bliskich ofiar dokonanej przez Rosjan zbrodni pani Halina przez wiele lat nie mogła nawet zapalić znicza w miejscu spoczynku doczesnych szczątków ojca. Pierwszy raz pojechała do Miednoje w 1989 r. – To miejsce to był las i doły śmierci, żadnych znaków – wspominała z kolei w rozmowie z Polskim Radiem. – Wielu z nas wiozło krzyże, rozdzieliliśmy się wszyscy i szłam na wycucie. Wybrałam jedno drzewo, pod którym wbiłam krzyż i zrobiłam małą mogiłę. Uderzyło nas to, że w tym lesie nie było w ogóle pnia.

Ksiądz Zdzisław Peszkowski, kapelan Rodzin Katyńskich, nad szczątkami pomordowanych oficerów FOT. IPN



Potomkowie wymordowanej polskiej elity odczuwali wiele innych konsekwencji swojego pochodzenia

Komunistyczne władze nie tylko robiły wszystko, by prawda o jej ojcu i pozostałych pogrzebanych w dołach śmierci w lasach na Wchodzie nie wyszła na jaw. Potomkowie wymordowanej polskiej elity odczuwali wiele innych konsekwencji swojego pochodzenia. – Chciałam zostać lekarzem. Niestety, mnie nie przyjęto. Dopiero w IPN powiedziano mi:

„To pani ojciec przeszkodził w tym, a nie brak zdolności”. Ja skończyłam szkołę felczerską, pracowałam z chorymi. To moje wewnętrzne zamięłowanie. Kocham ludzi, kocham im pomagać – opowiadała w Republice Halina Drachal.

Teresa Gwara, która swojego ojca, Tadeusza Macieja Chołocińskiego, nigdy nie zdążyła zobaczyć (przyszła na świat w listopadzie 1939 r., jej ojciec, powołany w pierwszych dniach wojny oficer rezerwy, opuścił rodzinny dom w niedzielę 3 września 1939 r.), jako kilkulatka napisała do niego kilka listów. „Wielmożny Pan Tatuś na wojnie” – adresowała każdy z nich, a w wiadomości z 10 marca 1945 r. pisała: „Kochany Tatusiu, czekamy na Ciebie z Matusią. Twoja Tereska”.

Tadeusz Maciej Chołociński już wtedy nie żył, ale jego rodzina nie miała żadnych informacji o jego losie. Z kilku przesłanych do domu wiadomości (dwa listy i trzy kartki) wiedzieli jedynie, że trafił do niewoli i znajduje się na terenie Rosji. – Mama szukała ojca przez Czerwony Krzyż, przez inne źródła – opowiadała Teresa Gwara w cyklu rozmów „Świadkowie Epoki” przeprowadzanych przez Instytut Pileckiego. – Była nadzieja, że może żyje, znajduje się w jakimś obozie, jakimś gułagu, że może jeszcze wróci. Ale z biegiem lat nadzieje były coraz mniejsze. Gdy zaczęły docierać pierwsze informacje, do mamy dotarła ona w 1976 r., że coś tam się stało, nadal nie wiedzieliśmy gdzie konkretnie.

Dopiero po 13 kwietnia 1990 r., kiedy to Michaił Gorbaczow przyznał, że zbrodni katyńskiej dokonało NKWD, a strona polska zaczęła otrzymywać dokumenty w tej sprawie, rodzina Tadeusza Macieja Chołocińskiego uzyskała potwierdzoną dokumentami pewność, że został on zamordowany w Charkowie.

Brak wieści o najbliższych, zatajanie prawdy o zbrodni i zrozumiała, choć często tak naiwna ludzka nadzieja sprawiały, że wiele rodzin ofiar zbrodni katyńskiej przez całe lata żyło w atmosferze wyczekiwania na powrót swoich bliskich. Czasem oczekiwanie to przybierało wręcz irracjonalną formę. „Co wieczór szykowała kolację i biegła na dworzec. Wrócili ludzie wynędzniali, ale szczęśliwi, mówili: »Tak, znam takiego, przyjedzie jutro, pojutrze«. Następnego wieczór był taki sam, kolejny też. [...] Mama żyła tylko nadzieją, że Ojciec wróci. Znowu biegła na dworzec” – wspominała córka jednego z zamordowanych, której relacja znalazła się w książce „Pisane miłością. Losy wdów katyńskich”, t. 2.

„Do mnie i do siostry długo nie docierało, że Taty już nie zobaczymy, że po prostu Go nie poznamy. Przez długie lata, słysząc pukanie do drzwi, biegłyśmy z okrzykiem: »To Tato!«, a potem był płacz” – relacjonowała inna z córek zabitego w Katyniu (relacja także w „Pisane miłością. Losy wdów katyńskich”, t. 3). Jeszcze inna „katyńska córka” wspominała: „Moja mama wierzyła aż do 1986 r. [do śmierci – przyp. red.], że ojciec wróci, i mama podtrzymywała tę wiarę. Co chwilę się słyszało, że żołnierze wracają. Czyli czekanie było od 1939 r. do 1986 r. w przypadku mamy. Nigdy nie wyszła

za mąż. Wszystko było uwarunkowane »jak tatuś wróci«”.

DŁUGA DROGA DO PRAWDY

Sowiecka wersja „prawdy” o Katyniu obowiązywała w PRL aż do zmian ustrojowych. Ale w kłamstwie katyńskim pojawiało się wiele wyłomów. Tworzyli je Polacy mieszkający w Polsce i poza jej granicami, a także obywatele innych państw. Zimna wojna stwarzała dobry grunt do walki o prawdę na temat zbrodni katyńskiej, Zachód przerywał milczenie czy wręcz krycie wersji „prawdy” Stalina. Jednym z przełomowych momentów było odtajnienie i opublikowanie we wrześniu 1950 r. raportu amerykańskiego pułkownika Johna van Vlieta, który wraz z grupą brytyjskich i amerykańskich

a cztery lata później w Szwajcarii wydano jego książkę w przekładzie na język niemiecki „Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary” (tłumaczoną później także m.in. na język angielski). Publikacje Polaków (np. „W cieniu Katynia” Stanisława Świaniewicza czy „Śmierć w lesie. Historia mordu katyńskiego” Janusza Zawodnego) stanowiły cenne źródło wiedzy o Katyniu dla zagranicznej opinii publicznej. Niepoślednią rolę odgrywała także paryska „Kultura”. Polonia podejmowała też inicjatywy w celu upamiętnienia zbrodni za pomocą tablic i pomników.

W kraju natomiast walka na temat prawdy o zbrodni katyńskiej szczególnie rozgorzała w latach 70. i 80. Dużą rolę w coraz większym zainteresowaniu polskiego społeczeństwa Katyniem



Szczątki ekshumowanych ofiar zbrodni katyńskiej. FOT. ZBIORY IPN

jeńców został przywieziony przez Niemców w 1943 r. do Katynia. To pod jego wpływem amerykańscy kongresmani uznali, że zbrodnia katyńska musi zostać ponownie zbadana. Raport Specjalnej Komisji Śledczej Kongresu USA był dla Sowietów druzgocący. Stwierdzono jednoznacznie, że za zbrodnię katyńską było odpowiedzialne NKWD.

Wśród przebywających na emigracji naszych rodaków, którzy w sposób znaczący angażowali się w walkę o prawdę na temat Katynia, był Józef Mackiewicz. Był on jednym z Polaków składających zeznania przed komisją Maddena. Już w 1945 r. Mackiewicz opracował i opublikował cenny materiał źródłowy „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”,

odgrywały wydawnictwa drugiego obiegu. Nielegalna w PRL prasa i książki podnosiły świadomość społeczeństwa i mobilizowały do coraz odważniejszego demonstrowania niezgody na kłamstwo katyńskie. Takim aktem było m.in. zapalenie zniczy w oknach każdego 13 kwietnia. Wtedy też rodziny ofiar zbrodni katyńskiej zaczęły działać w sposób coraz bardziej zorganizowany, tworząc koła Rodzin Katyńskich.

W 1978 r. powstał Instytut Katyński w Krakowie. Jeden z jego założycieli, Adam Macedoński, wspominał to tak: „Szukałem w różnych środowiskach ludzi, którzy chcieliby zorganizować się w sprawie zbierania dokumentów i ujawniania prawdy. Nikt nie chciał. Miałem

znajomych księży czy dawnych ziemian – wszyscy odmawiali. Nie wiedziałem, co robić. Pewnego razu spotkałem Stanisława Tora. Chyba w duszpasterstwie akademickim na jakimś wykładzie albo może przez Świtonia... Było to w 1978 r. Wyczułem, że to jest człowiek pewny, szlachetny. Powiedziałem mu o moim pomysle. On się ze mną zgodził i powiedział mi, że zna jeszcze jednego człowieka, który ma podobne do naszych zamiary. Umówiliśmy się na spotkanie u tego człowieka”**.

Człowiekiem tym, czyli trzecim współzałożycielem IK, był Andrzej Kostrzewski. Na początku działali w pełnej konspiracji. „Zdecydowaliśmy, że nie będziemy się ujawniać. Przez ten czas zgromadzimy potrzebne materiały, wydrukujemy ulotki i kilkanaście numerów »Biuletynu« – wspomina Macedoński. – Ujawniliśmy się w kwietniu 1979 r. i wtedy rozdawaliśmy te materiały i ogłosiliśmy o istnieniu Instytutu Katyńskiego. Ujawniliśmy wtedy tylko jedno nazwisko – moje. Na »Biuletynie« podawaliśmy jako miejsce wydania: Warszawa – Kraków – Wrocław – Lublin. To był mój pomysł. Liczyłem, że SB, zanim mnie aresztuje, będzie chciała rozpracować moje kontakty w innych miastach i w ten sposób zyskamy trochę czasu. Ta strategia okazała się skuteczna. Być może pomogło nam to, że sprawa zbrodni katyńskiej jest dla Polaków tak bolesna, iż nawet SB zbyt gorliwie mnie nie ściagała. Tak myślę”.

Oczywiście Adama Macedońskiego spotkały szyskany ze strony aparatu władzy, ale dzięki jego poświęceniu udało się zdezorientować Służbę Bezpieczeństwa. „Biuletyn Katyński” drukował tłumaczone na język polski dokumenty dotyczące zbrodni katyńskiej, a także osobiste relacje, w tym rodzin ofiar zbrodni.

W 1979 r. z inicjatywy ks. Wacława Karłowicza i Stefana Melaka konspiracyjną działalność rozpoczął Komitet Katyński. To za sprawą zaangażowania członków tej organizacji 31 lipca 1981 r.



Okladka raportu niemieckiego z ekshumacji z 1943 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach ustawiono wykonany z granitu Krzyż Katyński. Jeszcze tej samej nocy został on usunięty przez SB (w wersji oficjalnej – przez „nieznanych sprawców”). Jedną z najbardziej zaangażowanych w ustawienie Krzyża Katyńskiego osób był ks. Stefan Niedziela, kapelan Armii Krajowej podczas drugiej wojny światowej, później kapelan Warszawskiej Rodziny Katyńskiej.

Kapłan ten bezkompromisowo włączał się w walkę o prawdę, wspierał rodziny ofiar zbrodni katyńskiej. To właśnie w środowisku parafian ks. Niedziela zawiązało się koło Rodzin Katyńskich, a parafia użyczyła lokalu na jego działalność.

Kapłan stał się wrogiem publicznym komunistycznych władz. Grożono mu, chciano go zastraszyć, napadano na niego, była też próba porwania. W nocy z 20 na 21 stycznia 1989 r. został zamordowany na swojej plebanii. Sprawców nigdy nie ustalono, do czego przyczyniło się potwierdzone po latach przez IPN niszczenie dokumentacji MSW i znikanie dowodów. I choć nie można tego powiedzieć z całą pewnością, to hipoteza, że był to mord polityczny, a kapłan stracił życie za swoją działalność na rzecz walki o prawdę o zbrodni katyńskiej, jest najbardziej prawdopodobna.

Sprytny sposób upamiętnienia zbrodni katyńskiej znalazł w 1982 r. Czesław Pajerski. Jasne było, że wszelkie pomni-

ki znikną z przestrzeni publicznej tak szybko, jak się pojawiają. Pajerski zainicjował więc ustawienie pomnika w górach, w terenie ciężko dostępnym i zalesionym. Pomnik w Gorcach ukryto dodatkowo wśród stacji drogi krzyżowej za kaplicą papieską i nie nagłaśniano specjalnie jego istnienia, co pozwoliło mu przetrwać.

W IMIENIU NAJBLIŻSZYCH

W latach 80. zaczęła dobiegać końca gehenna rodzin katyńskich. Upadał system, który szykanował i prześladował ich przez wiele lat – wdowy pozbawiał środków do życia, a dzieci pomordowanych możliwości podjęcia studiów.

Po 1989 r. rodziny katyńskie zaczęły formalnie się zrzeszać. Ich działalność i nieustępliwość nie pozostały bez wpływu na kierunek działań władz RP w kontaktach najpierw z ZSRS, a później z Federacją Rosyjską. W końcu 13 kwietnia 1990 r. Rosja przyznała się do dokonania zbrodni katyńskiej, a dwa lata później ustami Borysa Jelcyna przeprosiła za mord. Ujawniono także rozkaz Biura Politycznego WKP(b) i znaczącą część list ofiar, a także miejsca mordu jeńców Starobielska (Charków, dzisiejsza Ukraina) i Ostaszkowa (Miednoje koło Tweru).

Także za sprawą nieustępliwości rodzin ofiar zbrodni katyńskiej udało się, w roku 2000, 60 lat po dokonaniu mordu, otworzyć polskie cmentarze wojenne. Bliscy tych, którzy stracili życie w Katyniu, Miednoje i Charkowie, dopięli tego, co było jednym z ich najważniejszych celów w pierwszych latach oficjalnej działalności.

W 1990 r. z inicjatywy Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej i Polskiej Fundacji Katyńskiej zaczęto wydawać „Zeszyty Katyńskie”, pismo w całości poświęcone zbrodni dokonanej przez NKWD.

ROSJA POD SĄD

Rodziny ofiar zbrodni katyńskiej próbowały dochodzić sprawiedliwości przed sądem. W 2008 r. grupa krewnych ofiar zbrodni zwróciła się do Naczelnej Prokuratury Wojskowej Federacji Rosyjskiej o przyznanie im statusu pokrzywdzonych w rosyjskim postępowaniu katyńskim oraz o dokonanie rehabilita-



Fragment umundurowania i orzełek wojskowy jednej z ofiar sowieckiego mordu FOT. MUZEUM KATYŃSKIE



Jedna z ofiar zbrodni katyńskiej

FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

cji zamordowanych. Odpowiedzi były negatywne. Rodziny złożyły więc odwołania do rosyjskich sądów. Jak można się domyślać, sędziowie podtrzymali decyzje prokuratorów, ale orzeczenia te otworzyły rodzinom drogę do skierowania skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

9 czerwca 2009 r. zarejestrowano skargę jako „Wołk-Jezińska i inni przeciwko Rosji”, w której 13 krewnych ofiar zbrodni katyńskiej zarzucało Rosji złamanie wielu przepisów Europejskiej konwencji praw człowieka, w tym prawo do życia, a także zapisy zakazujące nieludzkiego i poniżającego traktowania oraz dotyczące prawa do życia rodzinnego. Rodziny zrezygnowały z jakichkolwiek roszczeń finansowych, choć miały prawo domagać się zadośćuczynienia.

Trybunał zakomunikował skargę Federacji Rosyjskiej w ekspresowym tempie – już 24 listopada 2009 r. – pokazując tym samym, że od początku sprawie tej nadano najwyższy priorytet. 27 stycznia 2010 r. państwo polskie, o co wnioskowano, stało się uczestnikiem postępowania. Rosjanie ustosunkowali się do skargi i pytań Trybunału w ostatnim ustawowym terminie, 19 marca 2010 r. W skandalicznej odpowiedzi nie padają słowa „zbrodnia” czy „mord”, zamiast

Sędziowie Trybunału przyznali, że Rosja „nieludzko i poniżająco” traktuje rodziny ofiar zbrodni katyńskiej

tę Rosjanie używają sformułowań „sprawa katyńska” czy „zdarzenie katyńskie”. Dodatkowo rosyjski rząd stwierdził wówczas, że w toku rosyjskich postępowań nie udało się ustalić okoliczności schwywania ofiar zbrodni katyńskiej oraz tego, jakie zarzuty im postawiono i czy je udowodniono. Stwierdzono nawet, że nie ma pewności odnośnie do tego, czy Polaków w ogóle rozstrzelano!

W lipcu 2011 r. do opisywanej tutaj skargi dołączono inną, złożoną przez Jerzego Janowca i Antoniego Trybowskiego. Połączone postępowanie toczyło się teraz jako „Janowiec i inni przeciwko Rosji”.

Bezczelność rosyjskiego rządu i niechęć do współpracy z Trybunałem były jasną deklaracją tego, jak Putinowska Rosja traktuje zbrodnię katyńską i rodziny pomordowanych. Wyrok Trybunału z 10 marca 2012 r. potwierdził to, co nie mogło budzić najmniejszych wątpliwości

– Rosja w sposób poniżający traktowała krewnych ofiar, odmawiając im statusu pokrzywdzonych, a tym samym naraziła ich na moralne cierpienia, a sam mord na Polakach jest zbrodnią wojenną nieulegającą przedawnieniu. Trybunał nie odniósł się jednak do rzetelności rosyjskiego „śledztwa” w sprawie zbrodni katyńskiej, uzasadniając, że nie leży to w jego kompetencji. Oceny wyroku były podzielone. Znaczna część opinii publicznej odebrała go jako nazbyt łagodny.

PUTIN ROZBLIŹNIA RANĘ

Jeśli cokolwiek zmieniło się od czasu, gdy sędziowie Trybunału przyznali, że Rosja „nieludzko i poniżająco” traktuje rodziny ofiar zbrodni katyńskiej, to tylko na gorsze. Ostatnie miesiące to coraz poważniejsze prowokacje ze strony Rosji. W kwietniu br. na cmentarz w Charkowie spadły rosyjskie rakety, częściowo go niszcząc. W tym samym miesiącu niezależny białoruski dziennikarz Tadeusz Giczman donosił, że pod Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu podjechał ciężki sprzęt – kilkadziesiąt ciężarówek i pojazdów budowlanych z flagami Rosji i literami „Z”. Rosjanie zagrozili, że zniszczą nekropolię. W czerwcu media donosiły o zdjęciu polskich flag na cmentarzach w Katyniu i Miednoje. „Na rosyjskich pomnikach nie może być polskich flag” – oświadczył burmistrz Smoleńska Andriej Borysow, prowokując dodatkowo słowami, że „Katyń to rosyjskie miejsce pamięci i rosyjska historia”.

– Każde takie informacje, przykładem te o zbombardowaniu cmentarza w Charkowie czy zdejmowaniu tabliczek epitafijnych, to dla nas, rodzin katyńskich, bolesny cios – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Marek Krystyniak, prezes Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Warszawie. – Jedną z moich koleżanek, córkę zamordowanego pułkownika, mówiła, że czuje się po zbombardowaniu cmentarza w Charkowie tak, jakby jej ojca zamordowano wówczas po raz drugi. Nie oszczędzono nawet grobów – dodaje.

Walka o prawdę może nigdy się nie skończyć. Potomkowie ofiar zbrodni katyńskiej są już w podeszłym wieku. Pałeczkę przejmują wnukowie ofiar. Naszym wspólnym obowiązkiem jest nieść ją razem z nimi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

* O Walentym Badyłaku nakręcono film pt. „Święty ogień”

** Wszelkie cytaty ze wspomnień Adama Macedońskiego pochodzą ze strony <https://www.bibula.com/?p=8571>, dostęp: 10.08.2022.





Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, posłem PiS do Parlamentu Europejskiego rozmawia Ryszard Gromadzki

Po co nam Polska?

RYSZARD GROMADZKI: Pańska wypowiedź dla telewizji Republika, w której wskazał pan, że większym zagrożeniem dla polskiej tożsamości niż Rosja są Zachód i Unia Europejska, wywołała historyczne reakcje opozycji i sprzyjających jej mediów. Jeden z posłów PSL wzywał nawet do wszczęcia przeciw panu śledztwa przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego... Jak pan tłumaczy ten tumult, panie profesorze?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Wydawałoby się, że nie powiedziałem nic szczególnie kontrowersyjnego. Oczywiście można się z tym nie zgadzać. Jednak fala nienawiści i hysterii, którą wywołała moja wypowiedź, jest bardzo charakterystyczna. Powiedział pan, że wskazałem na zagrożenie dla polskiej tożsamości płynące z zachodniego kierunku. Ujmując rzecz ściśle, powiedziałem, że chodzi o zagrożenie dla polskiej suwerenności czy niepodległości, które płynie z Zachodu z Unii Europejskiej. To nie do końca to samo, co tożsamość. I nie znaczy to, że lekceważę zagrożenie ze strony Rosji, które jest zagrożeniem militarnym, zagrożeniem fizycznym zniszczeniem. Wskazałem jednak, że istnieją także innego rodzaju zagrożenia dla naszej suwerenności i niepodległości, które są trudniejsze do identyfikacji – i w tym sensie groźniejsze.

Swoją diagnozą naruszył pan kilka silnie utrwalonych w Polsce tabu...

Zarzucanie mi, że nie dostrzegam zagrożenia ze strony Rosji, jest absurdalne. Wystarczy prześledzić moje artykuły, wypowiedzi w Parlamencie Europejskim,

całą moją działalność w kontekście katastrofy smoleńskiej itp. To nakręcające oburzenie przez polityków i część publicystów po mojej wypowiedzi jest oczywiście związane z tym, że oni próbują zmazać winę, która związana jest z polityką uprawianą przez rząd Donalda Tuska, polityką w pewnym sensie kontynuowaną przez niego po 2014 r., kiedy był już przewodniczącym Rady Europejskiej. Usiłują dziś kreować się na bardzo twardych, antyrosyjskich, stojących mocno na straży polskiego bezpieczeństwa polityków, ale przecież wszyscy wiemy, że ci sami ludzie rozbrajali polską armię, że budowali pojednanie z Rosją, budowali je na ciałach naszej elity, która zginęła w katastrofie smoleńskiej. Dodajmy do tego, że Donald Tusk był totumfackim Angeli Merkel, która była przez niego przedstawiana jako najbardziej propolski kanclerz. Tymczasem dzisiaj wiemy, jak nawet sami Niemcy oceniają jej politykę.

Maska „dobrej pani z Berlina” opadła po rosyjskiej agresji na Ukrainę...

No tak. Merkel była przede wszystkim prorosyjska. Nie mniej prorosyjska niż Gerhard Schröder. Dzisiaj sami Niemcy to mówią i o tym wiedzą. Potwierdzą to nawet politycy CDU. A kto tę politykę współrealizował w Polsce? Właśnie ci, którzy dziś krzyczą, insynuując, że ja czy ktoś z Prawa i Sprawiedliwości mógł lekceważyć zagrożenie ze strony Rosji.

Tej próbie zmazania odpowiedzialności za politykę zbliżenia z Rosją i wpisania

■ się znów w główny nurt europejski nie towarzyszą konkretne działania. Ze strony czołowych polityków opozycji nic nie słyszymy, np. krytyki kunktatorskiej polityki Olafa Scholza, żądania sankcji rzeczywiście skutecznych. Jednym słowem: „Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni”. Klasyczne odwrócenie pojęć i zwodzenie własnych wyborców.

Mam wrażenie, że przyczyną nagonki na pana było zakwestionowanie innego tabu. Myślę o podważeniu dogmatu o tym, że Unia Europejska jest źródłem wszelkiego dobra.

Mówiłem o zagrożeniu dla naszej suwerenności płynącym z Zachodu, mając na myśli Unię Europejską, nie dlatego, że grozi nam podbój militarny czy unicestwienie fizyczne; być może nie grozi nam nawet nic, co podważałoby nasz dobrobyt. Chodzi natomiast o odebranie nam możliwości podejmowania kluczowych decyzji w Polsce przez władze wybrane w demokratycznych wyborach itd., kształtowanie naszego sposobu życia, trwania polskiej tożsamości.

Zagrożenie ze strony Rosji wykorzystywane jest dziś instrumentalnie przez część środowisk politycznych do wzmocnienia tendencji centralistycznych w Unii Europejskiej. Zwrócę uwagę, że w umowie koalicyjnej obecnej większości rządzącej w Niemczech jest zapis o budowie „państwa europejskiego”. Do tego prowadzą także konkluzje Konferencji o przyszłości Europy, sformułowane de facto przez europosłów z „grupy Spinnellego”.

Ważne jest, żeby Polacy mieli jasny wybór między dwoma wizjami tego, co ma się stać z Polską w następnych dekadach

To już nie fantazje lewicowych pięknoduchów, ale twarda realpolitik.

Ależ oczywiście. Do Polski na Campus Platformy Obywatelskiej przyjechał pan Guy Verhofstadt, jeden z założycieli tej grupy. Verhofstadt mówi bez ogródek, że trzeba budować federację europejską, że nie ma miejsca w Europie na suwerenność narodową. Spieraliśmy się o to podczas Konferencji w sprawie przyszłości Europy. Tyle że różnica między nim a polską opozycją polega na tym, że on zachowuje się w sposób cywilizowany. Jeste-

śmy przeciwnikami politycznymi, mamy inne wyobrażenia o przyszłości Europy. Dla mnie wartością samoistną jest polska niepodległość i suwerenność, co wcale nie wyklucza kooperacji między państwami europejskimi w ramach Unii. Nasi przeciwnicy chcą natomiast przekształcenia Unii, która jest związkiem suwerennych państw, w jedno państwo.

Czyli totalnego wywrócenia idei ojców założycieli Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali.

Naturalnie. Unia już kiedyś poważnie, moim zdaniem za bardzo, scentralizowana w następstwie traktatu lizbońskiego, ale im to nie wystarcza.

Jak to jest, że może pan wymieniać argumenty z takim „jastrzębiem” europejskiego federalizmu jak Verhofstadt, a z polską opozycją to niemożliwe?

Jej wrzask nie tylko jest skutkiem deficytu intelektualnego i kulturowego, lecz także ma charakter przewencyjny. Opozycja prowadzi całkowicie serwilistyczną politykę w stosunku do ośrodków władzy w Berlinie, Paryżu i oczywiście w Brukseli, łącznie z programem budowy superpaństwa unijnego. Największe tzw. grupy proeuropejskie w Parlamencie Europejskim, w których są przedstawiciele naszej opozycji, popierają ten plan. Dlatego przewencyjnie atakują i próbują zastraszyć ludzi, którzy są suwerenistami, którzy chcą, by Europa opierała się nadal na państwach członkowskich, by kompetencje instytucji unijnych pozostały ograniczone, by Unia opierała się na prawie, traktaty były przestrzegane, a państwa mogły prowadzić samodzielną politykę. Opozycja nie ma nic przeciwko temu, by Polska stała się „landem” Unii jako państwa.

Jednym słowem, utrata wszystkich atrybutów suwerenności. Stąd próby eliminowania z debaty tych, którzy przestrzegają przed takim scenariuszem?

Tak. Stąd sprowadzanie wszelkiej krytyki tendencji centralistycznych w Unii do absurdu. To groźny proces, bo część naszych rodaków nie uświadamia sobie zagrożeń, które niosą ze sobą te tendencje w UE. Groźny, bo nie rzucają się tak w oczy jak jakiś spektakularny najazd.

Raczej próba zdominowania nas na miękko...

Owszem. Przy pomocy pieniędzy, dobrze brzmiących haseł, mitu Zachodu, posługiwaniem się raczej marchewką niż batem, którym jednak od czasu do

czasu także się grozi. Wykorzystuje się system zachęt, a teraz także utratę poczucia bezpieczeństwa, w związku z tym, co dzieje się na świecie, w związku z agresją Rosji. Polska jest przeszkodą zarówno jeśli chodzi o złagodzenie sankcji przeciw Rosji i „dogadanie się” z nią w przyszłości, jak i o centralizację Unii. Myślę, że nieprzypadkowo atakowani są tacy ludzie jak prof. Roszkowski. Znow wracamy do historii. Zawsze było tak, że priorytetem naszych wrogów było zniszczenie tej części polskiej inteligencji, dla której Polska niepodległa i suwerenna była istotną wartością.

To był rdzeń planów naszych zaborców. Zasada jest ta sama.

Dzisiaj odbywa się to miękkimi środkami, przynajmniej pozornie miękkimi. Nie używa się przemocy fizycznej, ale stosowana jest przemoc symboliczna. Jeżeli tak wybitnego historyka, tak zasłużonego człowieka jak Wojciech Roszkowski, kawaler Orderu Orła Białego, traktuje się w taki sposób, napuszcza się na niego tłuszczę, to mamy do czynienia z werbalną symboliczną egzekucją.

Historia uczy, że przemoc symboliczna w sprzyjających okolicznościach może łatwo przekształcić się w przemoc realną.

Naturalnie. Granice są płynne. Zdarzają się przypadki, na szczęście u nas bardzo rzadkie, kiedy kończy się to przemocą fizyczną. To jest zapowiedź tego, co mogłoby się dziać, jaka będzie atmosfera w Polsce, jakie będą losy ludzi myślących inaczej niż totalna opozycja, jeżeli oni dojdą do władzy. Dodam, że gdyby spełnił się plan „grupy Spinnellego”, wspieranej mocno przez Manfreda Webera, szefa Europejskiej Partii Ludowej, który przyczynił się bardzo do wyboru Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, to oczywiście nie będzie suwerennej Polski. Polska będzie wtedy tym, czym jest dziś ojczyzna pana Verhofstadta, czyli Flandrią. W najlepszym – najbardziej optymistycznym – wariantcie Polska będzie taką Flandrią, jakimś regionem, może nawet dość zamożnym, z regionalnymi władzami i poczuciem kulturowej odrębności; w najgorszym – peryferiami, rezerwuarem siły roboczej, zarządzanym z zewnątrz, okupowanym kulturowo.

Bez prawa głosu, bez samodzielnej polityki wewnętrznej i zagranicznej?

Tak. Co nie znaczy, że usłużna część polskich elit nie zostanie dokooptowana do elit zarządzających tym nowym tworem, którym będzie zjednoczona Europa. Stany Zjednoczone Europy, czy jak moglibyśmy to nazwać.

Wizja Stanów Zjednoczonych Europy wielu Polakom nie kojarzy się źle. Ludzie nie dostrzegają zagrożenia, o których mówimy, zapatrzeni w dobrobyt panujący na Zachodzie i profity – te realne i te mityczne, które wiążą się z obecnością Polski w Unii. Wydaje się, że ta część społeczeństwa, która patrzy w sposób bardziej przenikliwy na rzeczywistość i dostrzega czarne chmury nasuwające się nad Polskę z Zachodu, jest w istotnej mniejszości.

Zapewne tak. Tymczasem nasi adworsarze, z którymi rozmawiam w Parlamencie Europejskim, nie kryją się ze swoimi planami. Mówią wprost, że właśnie o taką Europę bez suwerennych państw im chodzi, i już ją budują. Postawmy sobie pytanie: Kto i w jakim stopniu wpływa na nasze życie w Polsce, na kwestię organizacji sądów, decyzje dotyczące polityki energetycznej czy klimatycznej itd.? Skoro mówimy, że 80 proc. strategicznych decyzji zapada w Brukseli, to jest chyba oczywiste, że ten transfer suwerenności już się w dużej mierze dokonał, a gdyby plany federalistów się zmateriałyzywały, to on się dokona w pełni. Jest tak samo jak w latach 90. XX w., kiedy dokonywaliśmy transformacji gospodarczej, gdy królowała ideologia, że nie potrzeba nam własnych podmiotów gospodarczych. Po co nam polskie banki, skoro lepiej obsłuży nas bank zagraniczny? Po co nam polskie przedsiębiorstwo, skoro lepiej wytwarza zysk zagraniczna korporacja? Takie było myślenie. Dzisiaj to myślenie nie dotyczy już tylko gospodarki, lecz także samej istoty naszej państwowości. Znowu słyszymy: „Po co nam państwo polskie, skoro w Brukseli podejmują tak mądre decyzje?” albo: „Po co nam odrębny rząd, skoro w ramach zasady pomocniczości władzę mógłby sprawować jakiś zarząd regionalny?”. Obawiam się, że część Polaków nie rozumie powagi zagrożenia, które kryją się za rezygnacją z suwerenności – mimo że ostatecznie obróci się to przeciwko nam, przeciwko dobrobytowi, przeciwko narodowemu istnieniu. Tylko że my zawsze budzimy się trochę za późno.

Powiedział pan, że transfer naszej suwerenności w dużym stopniu się dokonał. Jednak czy nie dokonuje się on cały czas, i to za rządów Prawa i Sprawiedliwości, wbrew całej tej buńczucznej

Część naszych rodaków nie uświadamia sobie zagrożeń, które niosą ze sobą tendencje w UE

retoryce, której używa obóz rządzący wobec Unii? Przebieg i finał negocjacji w sprawie uruchomienia środków dla Polski w ramach tzw. Krajowego Planu Odbudowy jest klasycznym przykładem takiego pełzającego transferu suwerenności.

Sprawy europejskie śledzę od dawna, kiedy jeszcze jako naukowiec wykladałem na europeistyce. Coraz ściślejsza integracja to postępujący proces, któremu przyspieszenia nadają kolejne kryzysy. Wynika on nie tylko z mechanizmów gospodarczych, lecz także z gotowości państw do cedowania coraz większej części suwerenności na rzecz instytucji unijnych. Przyjęcie mechanizmu rekonstrukcji i odbudowy, z którego sfinansowane zostaną KPO, daje Komisji Europejskiej nowe możliwości, których przedtem nie miała. Ten instrument ma na razie charakter tymczasowy. Zobaczmy jednak, czy nie zostanie przekształcony w permanentny jak tzw. semestr europejski. Wracam do pańskiego pytania. To nie jest tylko tak, że rząd coś buńczucznie mówi, a tego nie realizuje, że nasza asertywność w relacjach z Unią jest jedynie pozorowana. Tymczasem jesteśmy krajem, który w Unii jest najodważniejszy, która stawia największy opór. Inni nam trochę czasami sekundują, czasami wyrażają poparcie, ale bardzo często chowają się za naszymi plecami, nie mają odwagi, żeby poprzeć nas otwarcie. Ta walka jest bardzo nierówna. W dodatku dla znacznej części polskiego społeczeństwa liczą się tylko pieniądze, które dla nas z UW napłyną, a nie związane z nimi koszty polityczne. Znaczna część naszego społeczeństwa tych kosztów nie docenia. Dlatego powiedziałem, że jest to zagrożenie trudniejsze do odparcia, bo w pewnym sensie jest bardziej abstrakcyjne. Mamy w swoim narodowym DNA walkę o niepodległość, obronę przed zagrożeniem militarnym ze Wschodu czy w relacjach z Niemcami, o których wciąż myślimy w kategoriach drugiej wojny światowej. Jednak natura stosunków z naszym zachodnim, potężnym sąsiadem się zmieniła...

Najazd Bundeswehry raczej nam nie grozi...

Ale najazd ideowy, najazd polityczny, społeczny, gospodarczy – jak najbardziej. Realnym zagrożeniem są rosnące wpływy na opinię publiczną, na naszą sferę polityczną i tzw. społeczeństwo obywatelskie. Tak jak było za czasów Polski Tuska, gdy Polska stała się satelitą Berlina. Tak właśnie działa „miękką siłą”, co wcale nie znaczy, że nie jest ona siłą, nie jest przeemocą. Jest tym bardziej niebezpieczna, że dotyczy sfery kulturowej i duchowej.

Żeby skutecznie oprzeć się temu zagrożeniu, ocalić przynajmniej rdzeń naszej suwerenności, warunkiem koniecznym jest zwycięstwo w najbliższych wyborach, nazwijmy to umownie, „oboza patriotycznego”. Brzmi to jak slogan, ale chyba nie ma innej alternatywy...

Tu chodzi o sprawy fundamentalne. Możemy w ramach prawicy czy sił patriotycznych spierać się o taktykę, o poszczególne decyzje. To jest, uważam, konieczne i potrzebne. Ale jest także podział zasadniczy i moją intencją było go wyartykułować, postawić wprost: Polska jako państwo i Polska jako prowincja, „land” państwa europejskiego. Uważam, że powinniśmy zadać stronie opozycyjnej konkretne pytania: Czy chcesz federalizacji Unii? Czy chcesz, żeby powstało państwo europejskie? Czy jesteś za odejściem od jednomyślności w UE – tam, gdzie ona jeszcze obowiązuje? Gdyby ktoś zadał mi takie pytanie, odpowiedziałbym: Nie, bo w państwie europejskim Polska nie będzie krajem suwerennym. O innych sprawach możemy rozmawiać. Ale to jest sprawa centralna, która dotyczy kwestii istnienia naszego państwa. Można oczekiwać, że 14 września w swoim orędziu o stanie Unii przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zarysuje swoją wizję zjednoczonej Europy. Wtedy trzeba będzie zapytać naszą opozycję, czy zgadza się z tą wizją, czy będzie ją realizować. Czy zgadza się na kolejny krok w stronę dalszego ograniczania naszej suwerenności czy wręcz uczynienia jej czysto fikcyjną. Jeżeli znieśli się zasadę jednomyślności obowiązującą nadal w czterech kluczowych obszarach polityki unijnej, to już nigdy nie będziemy w stanie zatrzymać żadnej decyzji Francji i Niemiec, podejmowanej rzekomo w imię wszystkich Europejczyków. Ważne jest to, żeby Polacy mieli jasny wybór między dwoma wizjami tego, co ma się stać z Polską w następnych dekadach.

Za wszelką cenę?



Wojciech Golonka

Wieloletnia wojna na Ukrainie jest w interesie USA, a ściślej mówiąc – branży zbrojeniowej. Jest też na rękę globalistom. Ale czy jest dobra dla Polski?

Wybuch bomby lotniczej w centrum Charkowa, 2 marca 2022 r.

FOT. ADOBE STOCK

W swym przemówieniu wygłoszonym w Transylwanii pod koniec lipca, odnośnie do stanowiska Węgier wobec wojny rosyjsko-ukraińskiej, Viktor Orbán poruszył m.in. temat zysków koncernów zbrojeniowych na obecnym konflikcie, sugerując, że przedłużanie konfliktu leży m.in. w interesie tych, którzy na tym zarabiają. Ma się rozumieć, retoryka premiera Węgier służyła uzasadnieniu pozycji neutralności jego kraju, a bardziej precyzyjnie – długofalowej polityki ba-

lansowania między Zachodem a Wschodem, która stała się o wiele bardziej widoczna i skomplikowana właśnie wraz z rosyjską inwazją na Ukrainę.

Jak by oceniać obecną politykę Węgier, wypowiedź Orbána przypomniła skądinąd zapomnianą oczywistość – na każdej wojnie są zyskujący i tracący, i nie chodzi tylko o same, bezpośrednio zaangażowane strony walczące. Doświadczenie z kolei pokazuje, że tam, gdzie w grę wchodzi złote żniwa, rzeczywistość istnieje ryzyko przedłużania bądź wyolbrzymia-

nia sytuacji kryzysowych, by wspomnieć tylko dochody koncernów farmaceutycznych w czasie epidemii COVID-19, kiedy to nie tylko oficjalni eksperci czy wiodące czasopisma naukowe wskazywały na problem ich nietycznej maksymalizacji zysków przy jednoczesnym braku przejrzystości (nawet polityczni decydenci, odmieniający pandemię przez wszystkie przypadki, w końcu również wyrażali wątpliwości co do stosowania szczepionek na COVID-19 na zasadzie subskrypcji co kilka miesięcy, by wspomnieć chwi-

lowe rozterki ministra zdrowia Adama Niedzielskiego sprzed wprowadzenia do obiegu trzeciej dawki).

ROZTROPNOŚĆ

Zadawanie podobnych pytań w przypadku wojny rosyjsko-ukraińskiej, choćby konkluzja miała wykluczyć jakiekolwiek „przedłużanie” konfliktu przez grupy interesów, jest jednak rzeczą jeszcze bardziej obrazoburczą niż ewentualna krytyka praktyk koncernów farmaceutycznych (otoczonych odpowiednim parasolem ochronnym ze strony głównych mediów i mediów społecznościowych), nad którymi i politycy po chwili zadumy potrafią przejść do porządku dziennego. Wszak w przypadku wojny podstawowa teza jest na pozór oczywista: agresor musi zostać pokonany za wszelką cenę, a zatem jest ewidentne, że zarobi na tym m.in. przemysł zbrojeniowy, a choćby „przeplącano” na wszystkich możliwych frontach, jest to oczywista ofiara, którą należy ponieść na drodze do wyższego celu – zwycięstwa.

W rzeczywistości podobne twierdzenie odgrywa, owszem, bardzo istotną rolę propagandową, ale nie jest ono jedynym racjonalnym miernikiem sytuacji, choćby dlatego, że nie wszystkie strony tego konfliktu – a jest ich znacznie więcej niż Ukraina i Rosja, choć oczywiście nie w tym samym wymiarze i krwawym położeniu – mają tożsame cele mimo kolektywnego zaangażowania Zachodu na rzecz broniącej się Ukrainy.

Przed wszystkim kalkulacja proporcji sił, kosztów i konsekwencji jest oczywiście roztropnością polityczną, o czym przypomina pewien ustęp z Ewangelii św. Łukasza: „[...] który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wprawdzie i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestoma tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju” (Łk 14, 31; BT).

Ma się rozumieć, trudno, aby Polacy mieli dokonywać kalkulacji tego, co bardziej opłacalne tudzież mniej stratne z ukraińskiego punktu widzenia; niemniej Polacy, w związku z konsekwencjami obecnej wojny, które także ponoszą, mają jak najbardziej prawo dyskutować o tym, jakie zaangażowanie ich własnego rządu jest dla nich bardziej opłacalne tudzież właśnie mniej stratne, a pozba-

wianie się tak pasjonujących obrazoburczych dyskusji argumentami: „Bo dzięki temu nie spadają w Polsce bomby” lub panaceum równie dobrym na wszelkie zło od czasów Adama i Ewy: „Bo Putin”, w rzeczywistości będzie w społeczeństwie wzbudzać podejrzenia i uzasadniać zarzuty o brak transparentności.

Ponadto same władze ukraińskie mają świadomość, że ich dyskurs musi brzmieć racjonalnie, spójnie i przekonująco, czyli wykazywać światu zachodniemu, że istnieją realne szanse na wyparcie wroga z zajętego terytorium, że unikanie drogi negocjacji pokojowych – o których niedawno Mychajło Podolak, bliski współpracownik prezydenta Zełenskiego, mówił, że oznaczałyby w praktyce już przegraną Ukrainy – a co za tym idzie, że stawianie oporu zbrojnego (który niesie przecież ze sobą obfitą daninę krwi kwiatu ukraińskiej młodzieży i siłą rzeczy dalsze zniszczenia materialne na masową skalę) nie jest pozbawione sensu strategicznego.

Pod tym względem Ukraina bardzo zrećnie dbała o przekaz wykorzystujący wszystkie możliwe elementy mogące podtrzymać przekonanie o jej możliwościach obronnych, mimo posuwającego się naprzód przeciwnika, a także o planie przyszłej kontrofensywy, zakładając wsparcie zachodnich partnerów, choć w pewnym sensie stała się również zakładnikiem swego PR-owskiego optymizmu. Albowiem zapewnienia prezydenta Zełenskiego (któremu notabene wtórował prezydent Duda) o odbiciu w przyszłości Krymu brzmią tak samo wiarygodnie jak zapewnienia onegdaj polskiego rządu emigracyjnego: „Nie oddamy Lwowa, nie oddamy Wilna”. I choć można zrozumieć patriotyczną zasadność tej emfazy, to jednak jest to ewidentna woda na młyn krytyków braku realizmu po stronie ukraińskiej. Przed wszystkim jednak rząd w Kijowie zapowiadał na lato wielką kontrofensywę. Lato dobiega końca, zatem w tych dniach okaże się, czy natarcia sił ukraińskich na pozycje rosyjskie broniące dostępu do Chersonia były kolejną desperacką próbą, okupioną sporymi stratami, tymczasowego spowolnienia ofensywy w Donbasie poprzez wiązanie sił rosyjskich na południu czy też zapowiadana już od miesięcy kontrofensywa był czymś więcej niż tylko hasłem propagandowym mającym zmobilizować zachodnie rządy i opinię publiczną.

Wobec atmosfery zakazującej – już nawet nie kwestionowania, ale kalkulowania czegokolwiek – to konieczne uzasadnienie rozmowy o bilansie obecnej formy zaangażowania polityczno-militarnego na rzecz Ukrainy stanowi zarazem dobre tło do naszkicowania mapy podmiotów, grup, sektorów bądź państw będących ewidentnymi beneficjentami tejże wojny.

Aby przywołać tu z powrotem najoczywistszy, choć w zasadzie mało poruszany temat przemysłu zbrojeniowego, jest rzeczą jasną, że nie jest to dzieło pomocy charytatywnej, a machina, która zarabia – albo na toczących się konfliktach, albo przynajmniej na utrzymywaniu gotowości sił zbrojnych do podjęcia działań zbrojnych. Nie ma w tym co do zasady nic gorszego ani niemoralnego. Ba! Jest to wręcz konsekwencja zdrowo pojmowanego patriotyzmu. Jednak zdaje się, że słudzy boga Marsa dbają w Stanach Zjednoczonych także o to, aby wyprodukowany przez nich sprzęt nie zalegał zbyt długo bezczynnie w wojskowych magazynach. Oficjalne kwoty finansowania komitetów wyborczych w USA przez sektor zbrojeniowy, komitetów zresztą kandydatów obu głównych rywalizujących amerykańskich partii politycznych, są po prostu oszałamiające. W wyborach, które otworzyły drogę do pierwszej kadencji prezydenckiej George’a Busha juniora w 2000 r., było to ponad 15,7 mln dol., a cztery lata później – przeszło 20 mln; przy okazji pierwszej elekcji Baracka Obamy – prawie 27,5 mln., drugiej – już ponad 30,2 mln; w wyborach z 2016 r., które wygrał Donald Trump, zbrojeniówka wydała „skromne” 33,3 mln, by w 2020 r. przebić nagle kwotę 50 mln dol.!

To oficjalne zestawienia za stroną waszyngtońskiej organizacji Open Secrets i – co ważniejsze – nie chodzi tu tyle o finansowanie kandydatów na urząd prezydenta, ile o wszystkich kandydatów ubiegających się o urzędy federalne, przede wszystkim walczących o miejsce w amerykańskim Kongresie, od którego zgody zależy właśnie, czy Ameryka pójdzie na kolejną wojnę (a robi to co parę lat – jest rzeczą znaczącą i wymowną, że przez trzy dekady od zakończenia zimnej wojny prezydentura Donalda Trumpa była w zasadzie jedyną, podczas której Ameryka oficjalnie nie poszła na kolejną wojnę ani nie prowadziła wyraźnych wojen zastępczych) tudzież jakie

► pomocy natury militarnej udzieli innym krajom, np. Ukrainie.

ZBROJENIÓWKA NA WYBORACH

Jeśli do powyższych kwot dorzucimy także dofinansowanie kandydatów w ramach wyborów uzupełniających do Kongresu, to otrzymamy – od 2000 do 2022 r. – łączną kwotę na poziomie 325 mln dol. wpompowanych przez sektor przemysłu zbrojeniowego w amerykańskie wybory... Co ważne, choć w dofinansowaniu większymi beneficjentami są kandydaci republikanów, w proporcji ok. 60 proc. na przestrzeni ostatnich dwóch dekad, to w rzeczywistości demokraci nie odstają tak bardzo w tyle, otrzymując pozostałe 40 proc. tego wyborczego paliwa. I choć te dane są pewnym uogólnieniem – obejmują zarówno datki samych producentów, jak i zatrudnionych przez nich pracowników – to jednak odzwierciedlają wyraźny trend: nieważne są kolory partyjne, ważne, aby w Kongresie znalazła się odpowiednia reprezentacja przyjaciół boga Marsa, co będzie miało z kolei przełożenie na zarobki ich sponsorów.

W przypadku bieżącej wojny rosyjsko-ukraińskiej amerykański Kongres w ciągu ostatnich sześciu miesięcy udzielił Ukrainie pomocy o wartości

mówiąc, jak wskazywała jedna z analiz Ośrodka Studiów Wschodnich, wysyłanie posowieckiej amunicji z magazynów do Donbasu jest tańsze niż jej ewentualna utylizacja, ale tyczy się to w zasadzie także starszego sprzętu dostarczanego przez zachodnich partnerów Ukrainy w ramach wietrzenia magazynów.

PALIWOWE ŻŁOTE ŻNIWA

Drugim, bardziej nagłośnionym medialnie wątkiem są wywindowane obecnie mocno zyski w branży energetycznej. Podczas gdy niektórzy europejscy dostawcy, stojąc okrakiem między cenami zakontraktowanych już dostaw a ceną kupna paliw u źródła, znaleźli się przed widmem bankructwa, producenci bądź pośrednicy z sektora paliwowego i gazowego mają obecnie złote żniwa. Dla przykładu: dochód firmy Gunvor z Genewy, zajmującej się sprzedażą, przewożeniem i magazynowaniem produktów paliwowych, w pierwszym półroczu 2022 r. był aż czterokrotnie wyższy w porównaniu z 2021 r., osiągając kwotę 841 mln dol.

W związku z takimi sytuacjami na początku sierpnia sekretarz generalny ONZ António Guterres ubolewał: „Jest rzeczą niemoralną, że firmy paliwowe i gazowe osiągają rekordowe zyski w związku

Meksyk już zwiększył swój import z Rosji o 20 proc. względem poprzedniego roku. Niewykluczone, że przy całym zamieszaniu i bolączkach związanych z niedoborem kluczowych surowców w Europie różne te rosyjskie specjały, zwiedziwszy trochę świata, trafią w końcu na nasz kontynent z etykietą „Turcja”, „Indie” czy „Meksyk”, kraje te zarobią na ich odsprzedawaniu, a dostawcy – na podwójnym transporcie.

W końcu nawet Stany Zjednoczone, które przecież przewodzą nieformalnej zachodniej koalicji na rzecz wyzwolenia Ukrainy spod okupacji rosyjskiej, wycofały się z pewnych sankcji i ze spokojnym sumieniem sprowadzają dalej rosyjskie nawozy, ropę czy drewno. W efekcie czy to dywersyfikacji sprzedaży, czy lewara energetycznego, którym Rosja wciąż operuje wobec Europy, mimo sankcji zyski firm rosyjskich, jak donosi Bloomberg, w drugim kwartale bieżącego roku wzrosły o 25 proc. Nie oznacza to bynajmniej eldorado dla rosyjskiej gospodarki, ale świadczy jednak o jej przynajmniej doraźnej odporności na sankcje, których skutki bynajmniej nie pozostają obojętne dla europejskich gospodarek i naszych portfeli w ogóle.

RAJ DLA GLOBALISTÓW

Niemalym beneficjentem tej wojny mogą być globaliści uwielbiający wykorzystywać kryzysowe sytuacje do wcielania reform mających zbawić ludzkość i planetę. Wprawdzie stawką w tej wojnie jest także po części hegemonia USA, pod której skrzydłami globalizm wyrósł – a tej hegemonii Rosja z Chinami rzuciły przecież rękawicę, z kolei współtworzony przez nie blok ekonomiczny Brics, zsarzający także Brazylię, Indie i RPA, do którego drzwie pukają obecnie Argentyna i Iran i który kusi także kraje arabskie, już próbuje podważyć jeden z głównych filarów tej hegemonii, czyli wymianę handlową w oparciu o dolara. Mimo wszystko obecna sytuacja kryzysowa stanowi dla globalistów wymarzoną wręcz sposobność. Trzy przykłady: wobec szalejących cen energii, na którą wciąż składają się także horrendalne opłaty klimatyczne w związku z emisją CO₂, przemysł czy drobne firmy, które chcą przetrwać obecne tsunami, muszą przejść zieloną transformację, czyli zainwestować swe oszczędności bądź wziąć kredyt i postawić na zieloną energię, która w praktyce niekoniecznie musi być

Polacy, w związku z konsekwencjami obecnej wojny, które także ponoszą, mają jak najbardziej prawo dyskutować o tym, jakie zaangażowanie ich własnego rządu jest dla nich bardziej opłacalne tudzież właśnie mniej stratne

dawno już przekraczającej roczny budżet rosyjskiego ministerstwa obrony, z czego duża część to oczywiście pomoc w formie uzbrojenia. Ukrainę załazy osławione już javeliny i stingery (z czego pewien odsetek zdążył już trafić na czarny rynek broni ku przerażeniu Interpolu), ale USA planują długofalowe dostawy broni. Dla przykładu: amerykański potentat z dziedziny lotnictwa i obronności (a zarazem jeden z wiodących sponsorów wyborczych z sektora zbrojeniowego), Raytheon Technologies, otrzymał w sierpniu od rządu USA zamówienie warte 182 mln dol. na sześć nowoczesnych baterii przeciwlotniczych i przeciwrakietowych NASAMS z terminem dostawy na Ukrainę na sierpień 2024 r. Nawiasem

kryzysem energetycznym kosztem osób i wspólnot będących w niekorzystnym położeniu”. Dlatego też domagał się on objęcia tych zysków specjalnym podatkiem celem wsparcia najbardziej poszkodowanych kryzysem.

Zarabiają także państwa zwiększające swój import surowców energetycznych z Rosji po przecenie. Jak donosił Reuters, pod koniec sierpnia Turcja, która zręcznie lawiruje między Rosją a Ukrainą, podwoiła swój import rosyjskiej ropy. Indie, które już dawno skorzystały z tej „wyprzedaży”, planują wznowienie importu skroplonego rosyjskiego gazu.

Na tej samej zasadzie, choć w tym wypadku chodzi głównie o nawozy, stal, aluminium oraz syntetyczny kauczuk,



Viktor Orbán od początku stara się przede wszystkim zadbać o interes Węgrów FOT. ALEX HALADA/AFP/EAST NEWS

bardziej zielona i wydajna, ale która, jak wiadomo, była już w modzie, a w obecnej sytuacji przybiera znamiona propozycji nie do odrzucenia. Alternatywą dla tych przedsięwzięć jest zakończenie produkcji, co już się dzieje i dotyka nawet kluczowe spółki Skarbu Państwa spod znaku Orlenu czy Azotów, choć w przypadku Orlenowskiego Anwilu, mimo rekordowych cen i potrzeby oszczędzania gazu, produkcję wznowiono, zważywszy na dramatyczne konsekwencje braku produktu pochodnego, którym jest dwutlenek węgla, dla branży medycznej i spożywczej.

Cóż jednak zrobić z tymi, którzy nie zdołają z różnych przyczyn przetrwać kryzysu, nie poradzą sobie z galopującymi cenami energii, inflacją itd., w dodatku w perspektywie od pięciu do dziesięciu trudnych następnych zim, jak ostrzegła ostatnio belgijska minister energii Tinne Van der Straeten? A czy na darmo, raz po raz, nawet w polskiej prasie, ukazują się artykuły o gwarantowanym dochodzie podstawowym? Czy na próżno są robione eksperymenty jego wdrożenia, również w polskich gminach? Czy sekretarz generalny ONZ nie apeluje, aby wspomóc subwencjami najbardziej poszkodowanych kryzysem?

Otóż wbrew temu, co się czasem w polskim nazewnictwie sugeruje, nie jest to dochód z założenia bezwarunkowy, ponieważ, owszem, nie wymaga się od beneficjenta świadczenia pracy, ale globaliści marzą o możliwości wprowadzenia systemu punktów kredytu

społecznego na wzór chiński – nie jest to żadna teoria spiskowa – a gwarantowany dochód podstawowy jest ku temu idealną okazją.

Trzeci w końcu przykład: galopujące (naturalnie bądź z lekką pomocą, jeśli trzeba) ceny produktów – traktowanych przez nas jako proste, a przez globalistów jako zbyt drogie dla ludu luksus, jak jedzenie mięsa czy podróże samolotami – to też świetna okazja do ich ograniczenia. Pytanie, które pozostaje otwarte, brzmi, na ile zdołają oni wykorzystać tę bieżącą okazję. Bo że chcieliby ją wykorzystać, wątpliwości raczej nie ma, wszak lobbują na rzecz tych reform od lat.

Mapa tych mniej nagłaśnianych możliwych beneficjentów wojny rosyjsko-ukraińskiej nie jest bynajmniej zupełna, a także pozostaje dynamiczna, zależna od rozwoju sytuacji. Nie wynika z niej automatycznie, że umieszczone na niej podmioty kierują się cynizmem. Ponadto nie należy się bać, jak na społeczeństwo demokratyczne przystało, lecz trzeba trzymać rękę na pulsie, wskazywać je i dyskutować o ich korzyściach, a także o drugiej stronie medalu, którą są poszkodowani przez obecną sytuację Europejczycy; dyskutować także o możliwych nadużyciach związanych z tymi korzyściami oraz o niebezpieczeństwach, które z nich wynikają.

BEZ SZANS NA INTEGRALNOŚĆ

Nie można przekreślać racjonalnego podejścia do wojny na Ukrainie obawami o utratę poparcia na rzecz jej sprawy –

bezwarunkowe, ślepe, nieskalkulowane, pozbawione racjonalności poparcie jest najgorszą rzeczą, jaka się może nam przytrafić. Różne są przedstawiane warianty dalszego rozwoju tego konfliktu, ale na razie nie widać realnych szans ziszczenia wyznaczanych przez ukraińskie elity celów, takich jak odzyskanie integralności terytorialnej kraju. Twardy opór stawiany najeźdźcy jest, owszem, niezaprzeczalnym sukcesem godnym podziwu, w którym Polska ma ogromną zasługę, ale wojny nie wygrywa się li tylko poprzez spowalnianie przeciwnika, dla którego w dodatku czas, przedłużający się kryzys bardziej uciążliwy dla krajów Zachodu niż dla samej Ukrainy, jest akurat atutem. W pewnym sensie ogłoszona już oficjalnie kontrofensywa ukraińska w Chersoniu jest obecnie dobrym sprawdzianem jej realnego potencjału wobec deklarowanych celów.

Przed wszystkim, gdy mowa o zyskach i stratach, przemawiając w 2014 r. w kontekście zbliżającej się wojny na Ukrainie, amerykański strateg George Friedman zachwalał nieetyczne (w jego ocenie) podsycanie przez Stany Zjednoczone wieloletnich wojen podtrzymujących hegemonię USA poprzez zastępcze osłabianie przeciwnika. Friedman, który z sardonicznym śmiechem na ustach tłumaczył, że do tego służą m.in. konsultanci wojskowi i niesiona przez USA pomoc stronom walczącym, jest paradoksalnie ochoczo w Polsce cytowany, tak jakby chwalony przez niego imperialny pragmatyzm nie mógł nigdy zostać wykorzystany przeciwko nam. Mówiąc rzecz bardziej dosadnie, wieloletnia wojna na Ukrainie nie jest wbrew interesom Ameryki, lecz już na pierwszy rzut oka stanowi zagrożenie choćby dla naszej gospodarki, o możliwości rozlania się konfliktu nie wspominając. Ciągłe monitorowanie bilansu zysków i strat, naśladownictwo naszych partnerów – czyli kalkulowanie wszystkiego – jako podstawa naszego wsparcia dla Ukrainy, czyli siłą rzeczy warunkowanie naszego poparcia dla sprawy ukraińskiej – to się też długofalowo opłaci samej Ukrainie. Na wypadek gdyby ten imperatyw postępowania racjonalnego budził wciąż oburzenie, powtórzmy do znudzenia podstawową zasadę BHP: zadbać o bezpieczeństwo ratującego. Summa summarum w bilansie zysków i strat to się najbardziej opłaca.

Zagłada armii I Rzeczypospolitej



Jacek Komuda

Osiem lat po legendarnej bitwie z Tatarami pod Hodowem w 1694 r., nazywanej polskimi Termopilami, armia Korony i Litwy znalazła się w stanie kompletnego upadku

Jak to się stało, że największe zwycięstwa naszego oręża pod Wiedniem i Parkanami były zarazem jednymi z ostatnich? Dlaczego triumfująca husaria w połowie XVIII w. była nazywana „pogrzebowym wojskiem”? Nie można wykuwać historii tylko ze zwycięstw; tak jak o Kłuszynie i Chocimiu – pamiętać należy o upadku naszej armii po śmierci Sobieskiego, gdyż zawiera się w nim groźna przestroga dla współczesnych czasów. Co zatem osłabiło wojska Rzeczypospolitej

tak, że zostały pobite w 1702 r. przez Szwedów, a kolejne duże zwycięstwo odniosły dopiero 90 lat później, pod Zieleńcami (zbyt późno, aby uratować kraj i konstytucję)?

REWOLUCJA WOJSKOWA

Pierwszym symbolem rewolucji militarnej, który często umyka publicystom i laikom, był fakt, że pod koniec XVII w. zmieniły się armie państw otaczających Rzeczpospolitą. Wprowadzono



Oblężenie Gdańska w 1734 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W Prusach pobory przeprowadzano sporadycznie już w połowie XVII w. W 1701 r. Fryderyk I miał armię liczącą do 40 tys. ludzi, która stawała się zagrożeniem dla Korony i Litwy. Tak wielkie siły były niemożliwe do utrzymania jeszcze pół wieku wcześniej, w czasach wojny trzydziestoletniej.

Tymczasem Rzeczpospolita zakończyła wojnę z Turcją z armią liczącą ok. 34 tys. żołnierzy. Liczebność tego wojska nie odbiegała jeszcze od armii sąsiadów; niestety, sejm w 1699 r. obniżył ją do 25 tys. na papierze, a w rzeczywistości ok. 17. Było to dużo mniej od otaczających Rzeczpospolitą mocarstw.

**Rzeczpospolita
zakończyła wojnę z Turcją
z armią liczącą 34 tys.
żołnierzy. Sejm w 1699 r.
zredukował ją do 25 tys.**

Drugą zmianą było wprowadzenie karabinu skałkowego (fuzji) z bagnetem zamiast muszketu lontowego, co zwiększyło szybkostrzelność. Piechota otrzymała broń lżejszą, szybszą w ładowaniu, co skracало czas szkolenia rekrutów. Jednocześnie znacznie wzrosła siła ognia formacji pieszych, ograniczając działania jazdy; z niej zaś w większości składały się armie Korony i Litwy. Husarze i pancerni przestali być główną siłą przełamującą.

W FINANSACH DIABEŁ POGRZEBANY

Największą przyczyną rozkładu armii I Rzeczypospolitej był permanentny w XVII w. kryzys finansów. Państwo albo nie ściągało uchwalonych przez Sejmy podatków, albo ściągało je za późno i za mało. W dodatku pojawiająca się praktyka zrywania sejmów pozostawiała armię nieopłaconą aż do zwołania następnego.

Podobne kłopoty miały inne państwa – może poza Francją i Holandią – jednak pod koniec stulecia zdołali zreformować i uszczelnić systemy podatkowe, aby zagwarantować terminową wypłatę żołdu. Rzeczpospolita tego nie potrafiła. Nawet po redukcji wojska w 1699 r. nie była w stanie opłacić zmniejszonej armii. W 1701 r. – jak podaje Jan Wimmer w „Wojsku RP w dobie wojny północnej” – dług armii wynosił ponad 20 mln zł.

dwie nowinki odmieniające pole walki. Pierwsza to armie oparte na przymusowym poborze ludności do wojska, a nie jak wcześniej – na zaciąganiu drogich i niepewnych najemników i zaciężnych ochotników. Żołnierz z poboru był tańszy, choć wymagał intensywnego szkolenia.

Nasz największy rywal – Rosja – już w 1699 r. powołał z każdego 20 gospodarstw jednego rekruta. Służba była dożywotnia, a siła Piotra I szybko rosła;

w 1725 r. miał pod bronią 130 tys. żołnierzy stałej armii i drugie 100 tys. wojsk pomocniczych, jak Kozacy dońscy.

Jeszcze wcześniej, bo w 1690 r., przeprowadziła podobną reformę Szwecja, wprowadzając rotę składającą się z kilku gospodarstw chłopskich. Każda z nich miała dostarczyć jednego żołnierza i żywić go. Liczebność armii stałej wzrosła do 40 tys. ludzi, a w chwili wybuchu wielkiej wojny północnej, w 1700 r. została podniesiona do 86 tys. ludzi.

■ I był praktycznie nie do spłacenia. Tymczasem samo utrzymanie i tak śmiesznie małego wojska kosztowało co roku ok. 5 mln. Żołnierze nie dostawali żołdu, żywiąc się z rabunków albo własnych dochodów. Wojsko zawiązywało też konfederacje, które łupiły kraj.

Tymczasem poprzez wspomniany kryzys finansowy doszło do wyjątkowo negatywnych, wręcz patologicznych zmian zarówno w korpusie oficerów, jak i wśród zwykłych żołnierzy.

ŁAŃCUCH DOWODZENIA

Armia Rzeczypospolitej bez trudu wygrywała bitwy z silniejszymi przeciwnikami, jeśli na jej czele stali doświadczeni i poważani wodzowie. Słowo „na czele” trzeba traktować dosłownie – specyficzny skład chorągwi jazdy uważanych za najświetniejsze sprawiał, że służąca w nich szlachta domagała się od dowódców okazywania osobistego poświęcenia. Wymagała, aby królowie, hetmani, pułkownicy i rotmistrzowie osobiście dowodzili oddziałami, a nie wyręczali się niższymi oficerami. Jak Żółkiewski pod Kłuszynem; Chodkiewicz pod Kircholmem i Chocimiem, Władysław IV pod Smoleńskiem. Jak Jan Kazimierz pod Beresteczkiem, kiedy osobiście prowadził żołnierzy do boju. Warto zauważyć, że gdy później opuścił oddziały, kampania na Ukrainie nie skończyła się rozгромieniem Kozaków.

Taki wódz: hetman i pułkownik – oprócz tego, że prawie stale obecny przy wojsku, wybierał i awansował następców. Zamoyski – Żółkiewskiego, Żółkiewski – Koniecpolskiego. Koniecpolski wprawdzie pozostawił po sobie słabego hetmana Mikołaja Potockiego, ale wybijał się już Stefan Czarnecki, potem Jerzy Sebastian Lubomirski i wreszcie Jan Sobieski.

Jednak pod koniec XVII w. zabrakło dobrych dowódców. Ostatni hetman, uznawany za wielkiego – Stanisław Jan Jabłonowski – umarł w kwietniu 1702 r., tuż przed rozpoczęciem wojny ze Szwecją. Z kolei hetman polny Feliks Potocki, zwycięzca z 1698 r. pod Podhajcami, zmarł krótko później, bo w maju.

Hetmanem wielkim został Hieronim Lubomirski, który miał spore doświadczenie bojowe – w 1683 r. dowodził korpusem posiłkowym jazdy polskiej posłanym na pomoc Habsburgom przed odsieczą wiedeńską. Jednak nie jako wybitny wódz – „był dobrym kawalerzystą, lecz bez szerszych horyzontów



dowódczych” – ocenia go Marek Wegner, autor monografii o bitwie pod Kliszowem w 1702 r. Hetman polny Adam Sieniawski dopiero zaczynał karierę wojskową, a doświadczenie wojskowe posiadał niewielkie. Obaj okazali się zdolnymi organizatorami, nie byli jednak wodzami formatu takiego jak Sobieski czy nawet Jabłonowski.

Znacznie gorsze były zmiany wśród oficerów średniego szczebla – rotmistrzów dowodzących chorągwiami jazdy narodowego autoramentu. Od końca stulecia, z powodu ciągłego zalegania z żołdem, zostawali nimi nie wytrawni żołnierze, ale przedstawiciele magnackiej oligarchii. Gdy tylko takich stać było na wyłożenie z własnej kieszeni dużych sum na potrzeby chorągwi. Gdy żołd nie był wypłacany całymi latami, jedynie bogaty

magnat był w stanie zrekompensować szeregowym towarzyszom zabite konie, utracony rynsztunek i pocztowych. Mówiąc w skrócie: wyklądać na oddział pieniądze z własnej kieszeni, których nie było w stanie wydatkować państwo.

Jednak magnat traktował służbę w kategoriach dostojenstw i zaszczytów. Stawał na czele chorągwi wyłącznie do parady i pokazania się przed królem, na wojnie zaś przekazywał dowodzenie zastępcy – porucznikowi. W czasie pokoju, zamiast w obozie, przebywał w majątkach i włościach, zajmując się zarządzaniem i polityką. Czasem zaś w ogóle nie pokazywał się w chorągwi.

Nie trzeba chyba dodawać, że wiecznie nieobecny rotmistrz dawał fatalny przykład dla wszystkich towarzyszy i podległych im pocztowych. Zwłaszcza gdy

Towarzysz pocztowy
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

porucznik zachęcony jego przykładem odjeżdżał do swoich majątków, pozostawiając dowodzenie w ręku namiestnika. Różnica w spadku morale była druzgocąca. Radosław Sikora podaje, że w bitwie pod Kłuszynem w 1610 r., największym zwycięstwie husarii, na 28 chorągwi dwunastoma dowodzili rotmistrzowie, w trzech nie udało się ustalić dowódcy, natomiast pozostałymi 13 – porucznicy. Z czego siedem zostało im powierzonych tylko dlatego, że ich rotmistrzowie zostali wyznaczeni na pułkowników, mieli więc ważniejsze zadanie do wykonania. W 1702 r. w 10 chorągwiach biorących udział w szarży na Szwedów pod Kliszewem nie było ani jednego rotmistrza! Wszyscy wywodzili się z kręgu magnackich rodów – Jabłonowskich i Lubomirskich – i siedzieli w domu lub przy królu. Jedna tylko chorągiew husarska miała za dowódcę Aleksandra Sobieskiego, królewicza, który oczywiście też nie przebywał na polu walki.

Proceder ten dawał początek kolejnej, jeszcze gorszej patologii, rozbijającej już kompletnie wojsko Rzeczypospolitej.

SOWICI I PRZYTOMNI

Chorągwie jazdy polskiej i litewskiej składały się z pocztów, gdzie najważniejszym był towarzysz – szlachcic, który przybywał na służbę z kilkoma, zwykle dwoma podkomendnymi zwanymi pocztowymi lub pachołkami. To właśnie on był najcenniejszym, najlepiej obytym z bronią żołnierzem. Jednak już w latach 60. XVII w. pojawiały się w narodowym autoramencie zjawiska odjeżdżania od chorągwi i zastępowania towarzyszy dodatkowymi pachołkami. Bezustanne problemy finansowe powodowały, że owi elitarni żołnierze musieli sami zapewnić sobie środki na utrzymanie pocztu, uzupełnienie strat w koniach, broni i rynsztunku. Dlatego w czasie pokoju zaczęli opuszczać chorągwie, aby zajmować się gospodarowaniem we własnych majątkach, służbą u magnatów, karierą polityczną, jednocześnie ciągle pozostając towarzyszami husarskimi i pancernymi, zapisanymi wraz z pocztami w rejestrze chorągwi.

Oto świetny żołnierz, Jan Florian Drobysz-Tuszyński, towarzysz chorągwi pancerniej, a potem husarskiej Marcina Zamoyskiego, zostawszy gubernatorem Ordynacji Zamojskiej, nie porzuca służby, pozostawiając w oddziale swój poczet. Jego pachołkowie biorą sami udział w kolejnych wojnach – w wyprawie wie-

deńskiej i bojach aż do 1688 r. Tak samo Aleksander Skorobohaty, doszedłszy do godności podczaszego derpskiego i przejąwszy po drugiej żonie dobra Krzywa, przestaje być w szeregach, pozostawiając jednak w 1684 r. swój poczet w litewskiej królewskiej chorągwi husarskiej. Praktyka taka doprowadza do sytuacji, w której w jeździe narodowego autoramentu dochodziło do upadku morale.

Hetman wyręcza się regimentarzem. Rotmistrz – porucznikiem, porucznik – namiestnikiem, a skoro tak się dzieje, to zwykły towarzysz ma służbę w przysłowiowej rzuci. Wyjeżdża, zostawiając za siebie poczet oraz dodatkowego pachołka. Co gorsza, system ten zostaje usankcjonowany prawnie. Na Sejmie niemym 1717 r. zatwierdzono instytucję towarzysza „przytomnego” – obecnego cały czas przy chorągwi – i „sowitego”, czyli husarza albo pancernego, który był żołnierzem tylko z tytułu i nazwy, wysyłając w bój poczet. W tej sytuacji załamywał się łańcuch dowodzenia. Sam pocztowy nie obroniłby Rzeczypospolitej, a w dodatku nie był skłonny do nastawiania karku, skoro nie miał nad sobą bezpośredniego przełożonego – towarzysza ani rotmistrza, a w dodatku przy wojsku nie było hetmana!

W połowie XVIII w. demoralizacja stała się tak wielka, że dochodziło do sytuacji, gdy oddziały składały się tylko z pocztowych. Jak pisał Jędrzej Kitowicz: „Nie było [...] więcej nigdy rezydujących przy chorągwi towarzystwa nad czterech, pięciu, a najwięcej sześciu, a i ci nieustawicznie, ale więcej po sąsiadach, obywatelach, przyjaciółach, trybunałach i komisjach i swoich interesach zabawni”. Czy taka jazda mogła wygrać bitwę w polu? Oczywiście nie.

BIEDNA, CHĘDOŻONA PIECHOTA

Autorament cudzoziemski, czyli piechota i dragonia, stanowił drugą połowę armii Rzeczypospolitej. Tu jednak sytuacja była zgoła odwrotna – najwięksi magnaci ubiegali się o szefostwo regimentów, gdyż system wypłacania żołdu dawał im ogromne dochody. Szef pułku dostawał tyle żołdu, ile 12 piechurów, a dodatkowo pobierał tzw. kopfgeld – czyli pognówne od każdego żołnierza. Sam zajmował się zaś, jak pisze Jan Wimmer, przede wszystkim wyrywaniem pieniędzy od skarbu Rzeczypospolitej, przekazując dowodzenie zastępcy.

Oficerowie mieli brzęczące zyski ze służby, ale zwykli żołnierze dostawali

żołd na końcu, i to pomniejszony o liczne opłaty. Obdzierał ich nie tylko szef, lecz także dowódcy kompanii, odciągając z wypłat spore kwoty na koszty umundurowania i broni. Pozostałą kwotę wypłacano co tydzień, lecz aby było zabawniej, nie co siedem, tylko co osiem dni. Dlatego za jeden miesiąc służby żołnierz nie dostawał żołdu wcale, a zaoszczędzone w ten sposób wynagrodzenie trafiało do szefa regimentu.

Pomimo tych wszystkich mankamentów piechota polska nie była skansenem. Do połowy XVIII w. wprowadzono w niej niezbędne reformy wojskowe. A zatem – do 1708 r. pojawiły się karabiny skałkowe i bagnety tulejowe, potem stałe garnizony, regulaminy; przeprowadzano ćwiczenia. I tylko jeden był szkopuł – wspomnianej piechoty było już na początku nowego stulecia przerażająco mało! Na początku wojny północnej tylko niespełna 7 tys. ludzi. Po sejmie niemym i zagwarantowaniu stałych podatków na armię liczyła ona w Koronie ok. 5 tys. i dodatkowe dwa na Litwie. W tym czasie sama tylko Moskwa utrzymywała 75 tys. piechurów!

SZOK I UPOKORZENIE

Prawdziwym szokiem stała się zatem pierwsza zbrojna interwencja sąsiadów – Moskwy, Austrii i Saksonii w 1733 r., przeciwko legalnie wybranemu królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu. Kiedy we wrześniu granicę Litwy przekroczyło ok. 80 tys. żołnierzy moskiewskich, dowodzący nieco ponad trzytysięczną armią litewską regimentarz Michał Serwacy Wiśniowiecki mógł tylko złożyć pisemną protestację wobec tego faktu. A mający pod rozkazami 10 tys. ludzi Józef Potocki – przeprowadzić zbrojnie demonstrację w okolicach Radomia i Warszawy.

Rzeczpospolita nadrobiła lata opóźnień i bezładu w kwestii finansowania armii. W 1775 r. sejm rozbiorowy powiększył wojsko do 30 tys., a Sejm Wielki w 1789 r. – do 100 tys. Komisje wojskowe przewyciężyły problemy związane z rekrutacją, wprowadzeniem poboru i wyekwipowaniem wojska, z którymi borykały się wcześniej władze rosyjskie, szwedzkie, pruskie i austriackie. I tylko jeden kłopot był w tym wszystkim. Reformy te przeprowadziliśmy o 90 lat za późno, a świeżo zaciągnięty żołnierz nie był w stanie zagwarantować Polsce i Litwie niepodległości.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Pieńko na Pomorzu

Jednym z największych osiągnięć Instytutu Pamięci Narodowej w ostatnich latach jest „niebieska seria”. Cykl książek opisujących zbrodnie Selbstschutzu dokonywane w pierwszym okresie okupacji niemieckiej na Pomorzu.

Czym był Selbstschutz? Niemiecką samoobroną, którą została powołana jesienią 1939 r. przez władze okupacyjne. W jej skład weszli niemieccy mężczyźni, którzy byli obywatelami II RP. W teorii formacja ta miała dbać o spokój i porządek. Chronić niemieckich cywilów przed polskimi atakami.

W praktyce Selbstschutz Westpreussen zamienił się w formację zbrodniczą. Jego członkowie w bestialski sposób mścili się na polskich sąsiadach za prawdziwe i urojone krzywdy z okresu międzywojennego i pierwszych dni wojny.

Członkowie Selbstschutzu brali udział w rozstrzeliwaniach będących elementem operacji eksterminacyjnej wymierzonej w polskie elity. Dokonywali aktów samosądu i grabieży. Pełnili rolę strażników w obozach koncentracyjnych. Stali się panami życia i śmierci pomorskich Polaków.

Nowy tom serii napisany

przez panią Izabelę Mazanowską przedstawia dzieje zapomnianego obozu w Radzimiu. Zamknięci zostali w nim polscy i żydowscy mieszkańcy powiatów sępolińskiego, chojnickiego i tucholskiego. Co najmniej 109 z nich zostało zamordowanych.

„Nic mi nie wiadomo, jakoby ludzie ci coś zawinili, prawdopodobnie nie – zeznawał po wojnie jeden ze sprawców Gerhard Kurt Priebe. – Byli aresztowani, bo byli Polakami”.

Pani Mazanowska w swojej książce opisuje nie tylko kaźń polskich ofiar, lecz także bestialstwo niemieckich oprawców. Członkowie Selbstschutzu przekraczali kolejne granice, które oddalały ich od człowieczeństwa.

„Strażnicy obozu w Radzimiu – pisze autorka – dali się pokonać ideologii nazistowskiej. Wyraźnie widać jej wpływ na ludzkie umysły. Wróg III Rzeszy nie był już człowiekiem, nie budził współczucia – wywoływał najwyżej obrzydzenie. Tępił go zatem tak, jak się tępi szczyry czy insekty. W ten sposób należy tłumaczyć niezwykle okrucieństwo sprawców. Zamiast własną wolą posługiwali się wolą wodza, na którego spadał ciężar odpowiedzialności”.

Zdecydowanie nie udał się ludzkości wiek XX. ©



★★★★★
IZABELA
MAZANOWSKA
„RADZIM 1939”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Poniatowski i Katarzyna II

Oświecenie nazywano epoką libertynizmu, a sprawy miłości w eleganckim towarzystwie tamtych lat zredukowano wyłącznie do kontaktu fizycznego („zetknięcia dwóch naskórków”). Wierność wobec partnerów uchodziła za coś godnego politowania, a mężczyźni bez oporów uznawali pozamażeńskie

doszło nawet do tego, że gdy Poniatowski został odesłany do kraju, Katarzyna wymogła na polskim dworze jego ponowny przyjazd. Owocem kilkuletniego romansu stała się córka, Anna Piotrowna, a wielki książę Piotr dziwił się, mówiąc, że „nie wie, skąd żona bierze te cięższe”...

Ludzie Piotra przyłapali kiedyś Poniatowskiego wychodzącego z sy-pialni Katarzyny i następcy tronu odbył z nim poważną rozmowę. Od tej pory często jadal kolacje we czworo (z kochanką Piotra, Elżbietą Woroncową, i Katarzyną), następnie wielki książę odchodził ze swoją partnerką, życząc żonie dobrej zabawy z Poniatowskim. Irytowało to Katarzynę, wielka księżna mogła bowiem wymyślać się do kochanka w przebraniu, ale nie znosiła zrównania z Woroncową. W efekcie romans z Poniatowskim uległ zakończeniu, a na otarcie fez Katarzyna kilka lat później uczyniła go królem Polski (elekcja 7 września 1764 r.).

Niewiele jednak brakowało, by z powodu romansu Poniatowskiego z Katarzyną losy Europy i świata potoczyły się zupełnie inaczej. Pewnej nocy wybrali się bowiem razem na przejażdżkę saniami, Stanisław powoził zbyt brawurowo, co zakończyło się wypadkiem. Pojazd zawadził o jakiś płot, wielka księżna wypadła z pojazdu i „rozumem w węgieł domu uderzywszy, jak nieżywa w śniegu leżała”. Ostatecznie nic się jej jednak nie stało, co miało fatalne następstwa w przyszłości dla Rzeczypospolitej. ©

Gdy Poniatowski odjechał, Katarzyna wymogła jego ponowny przyjazd

dzieci swoich żon. Nie mieli zresztą powodów, by postępować inaczej, ich potomkowie spłodzeni poza sakramentalnymi związkami także nosili nazwiska oficjalnych mężów ich kochanek. Nic zatem dziwnego, że po latach mawiano, że „ten, kto nie żył w czasach ancien régime'u, ten nigdy nie zaznał słodczy życia”.

Jednak Stanisław Antoni Poniatowski (imię August przybrał dopiero przy koronacji) dość późno przeżył inicjację seksualną. Przyszły król stracił cnotę dopiero w Rosji, gdzie trafił jako sekretarz brytyjskiego ambasadora, a jego pierwszą partnerką erotyczną została żona następcy tronu, wielka księżna Katarzyna.

Małżeństwo Katarzyny z Piotrem Ulrykiem było wyjątkowo nieudane i Poniatowski nie był jej pierwszym kochankiem. Jednak związek ten początkowo wyglądał na obustronne zauroczenie,



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl

Pobyty: 12.09 - 25.09 oraz 25.09 - 23.10.2022r.

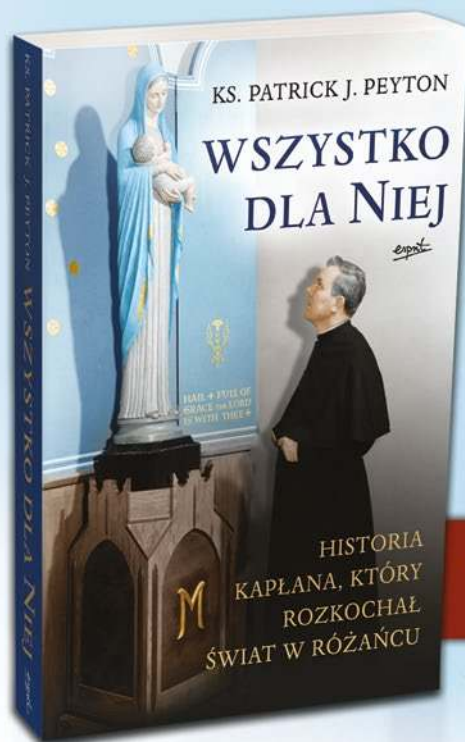
Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2022 oraz Noworoczny 27.12.2022 - 03.01.2023

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



WIELKI APOSTOŁ RÓŻAŃCA ŚWIĘTEGO
ODKRYJ HISTORIĘ POTĘŻNEGO CZCICIELA MARYI

Odbierz dodatkowy rabat*

-5%

na hasło: **DO RZECZY**

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne graty oraz promocje!

Zamów książkę na www.esprit.com.pl

lub telefonicznie: **12 267 05 69**.

Darmowa dostawa od 120 zł.

~~44,90~~
26,90

*ważny do 30.09.2022

Królowa odeszła





Teresa Stylińska

Gdy Elżbieta II wstępowała na tron, Wielka Brytania była mocarstwem. Przez kolejne lata jednak nieubłagane się ono kurczyło

Zaledwie trzy miesiące temu, gdy obchodzono platynowy jubileusz 70-lecia jej panowania, królowa Elżbieta II była na ustach całego świata. W Wielkiej Brytanii uroczystości zorganizowano z rozmachem, świętowały również kraje Commonwealthu, świat zaś wszystko podziwiał, zastanawiając się nad fenomenem brytyjskiej monarchii, a może nawet trochę Brytyjczykom zazdroszcząc. I choć królowa nie we wszystkich wydarzeniach mogła uczestniczyć z uwagi na swój wiek i kłopoty z poruszaniem się, to ktoś pomyślałby, że kres jest tak bliski.

Królowa do końca swych dni była wprawdzie w doskonałej formie intelektualnej, od dłuższego czasu jednak widać było, że jej stan fizyczny bardzo się pogarsza. Wiosną nie wygłosiła mowy tronowej na otwarciu parlamentu, co przez całe jej panowanie zdarzyło się tylko dwukrotnie, za każdym razem z ważkiego powodu, bo spodziewała się dziecka. Zastąpił ją najstarszy syn – wówczas książę Walii, dziś król Karol III.

Królowa zmarła na posterunku i nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Do ostatniej chwili pełniła przecież swe obowiązki. We wtorek 6 września, dwa dni przed śmiercią, przyjęła rezygnację premiera Borisa Johnsona, a zaraz potem powierzyła misję tworzenia rządu jego następczyni Liz Truss. Dopiero w środę, dzień przed śmiercią, zrezygnowała z udziału, zdalnego zresztą, w posiedzeniu Tajnej Rady.

Czy można domniemywać, że tak właśnie chciałyby odejść – w zamku Balmoral, swej ulubionej rezydencji, wśród rodziny i właściwie w biegu? Praca, obowiązki, powinność wobec kraju, narodu i monarchii, a także rodzina – to przecież motywy przewodnie jej życia. Dlatego zapewne nie zdecydowała się na abdykację i przekazanie tronu Karolowi. Posterunku się nie opuszcza.

„Pracowała do samego końca” – pisał w krótkim, sugestywnym wspomnieniu konserwatywny tygodnik „Spectator”, podkreślając, że królowa „była wzorem

monarchy w monarchii konstytucyjnej, a o jej pracy i zaangażowaniu najlepiej świadczy fakt, że mimo wszelkich zmian, które zaszły w Wielkiej Brytanii przez ostatnich 70 lat, ruch republikański nigdy nie stał się poważną siłą”. „Głębokie poczucie straty, którego doświadcza dzisiaj tak wielu ludzi – dodaje gazeta – pokazuje, ile królowa dla nich znaczy. W dniu swych 21. urodzin przyrzekła, że całe swe życie poświęci służbie dla nas. I tę obietnicę wypełniała aż do dnia swej śmierci. Nasz kraj stracił dzisiaj monarchę o ogromnym poczuciu obowiązku”.

MIŁOŚĆ, RODZINA, NARÓD

Ową obietnicę młodziutka następczyni tronu złożyła w wystąpieniu radiowym, które wygłosiła podczas swej wizyty w Kapsztadzie wiosną 1947 r. To poważna przysięga, zwłaszcza jak na osobę stojącą u progu życia. „Całe swe życie – mówiła wówczas Elżbieta – czy będzie ono długie czy krótkie, poświęcę służbie dla was i dla wielkiej imperialnej rodziny, do której wszyscy należymy”.

Fakt, że królowa zmarła w zamku Balmoral, też ma pewną wymowę i nie tylko dlatego, że tam najchętniej spędzała wakacje. Zresztą nie tylko ona, lecz także cała rodzina. Małgorzata, młodsza siostra Elżbiety, gdy po wybuchu wojny okazało się, że z tego powodu wyjazd do Szkocji nie dojdzie do skutku, podobno nadąsała pytała, czy „ten Hitler wszystko musi popsuć”.

Śmierć w Balmoral jest trochę jak klamra spinająca życie Elżbiety, bo tu właśnie miało miejsce wiele ważnych wydarzeń z jej życia, poczynając od oświadczyń księcia Filipa. Tu także rodzinę królewską zastała wiadomość o śmierci Diany, ekszóny księcia Karola, tu Elżbieta musiała zdecydować, co robić w sytuacji, gdy nastroje w kraju zaczynają zmierzać w kierunku niebezpiecznym dla monarchii (co doskonale pokazuje film „Królowa”, z pamiętną sceną samotnej wędrówki królowej po terenie posiadłości).

A przecież gdy Elżbieta przyszła na świat – w Londynie, nie w Szkocji, choć jej matka, Elizabeth Bowes-Lyon była Szkotką, córką lorda Glamis – nikt nawet nie przypuszczał, że może zasiąść na tronie. Królem był jej dziadek Jerzy V, następca tronu jego najstarszy syn Edward, późniejszy Edward VIII. Na jego drodze jednak los postawił panią Wallis Simpson, ze wszelkimi dobrze znanymi tego konsekwencjami. Tak oto ojciec Elżbiety, Albert,

książę Yorku, został Jerzym VI. To ojciec, jak opowiadają osoby bliskie rodzinie, miał przemożny wpływ na kształtowanie charakteru córki, w tym poważnego traktowania obowiązków. A także świadomości, że być królem – to służyć krajowi.

W 1952 r. Elżbieta wraz z mężem, księciem Filipem – oficerem marynarki, wychowanym w Anglii potomkiem greckiej rodziny królewskiej – udała się w kilkumiesięczną podróż po brytyjskich posiadłościach kolonialnych w Afryce. 6 lutego Jerzy VI niespodziewanie zmarł. Elżbieta, która wyjechała jako następczyni tronu, wróciła więc do Londynu jako królowa. Była już wówczas matką dwojga dzieci – trzyletniego Karola i półtorarocznej Anny. W 1960 r. na świat przyjdzie Andrzej, w 1964 r. Edward. Ludzie z kręgu dworu twierdzą, że ulubieńcem Elżbiety był Andrzej, jak na ironię jednak to on w ostatnich latach przysporzył matce najwięcej kłopotów.

CZAS RADOŚCI, CZAS ZGRYZOTY

Opinia publiczna najlepiej poznała z jednej strony wczesny etap życia Elżbiety – pracę w pomocniczej służbie kobiet podczas wojny, gdy była kierowcą ciężarówki, historię jej znajomości, narzeczeństwa i małżeństwa z Filipem, pierwsze lata na tronie, gdy zaznajamiała się ze sztuką panowania – z drugiej zaś trudny okres od początku lat 90., gdy zaczęły się rozpadają małżeństwa jej dzieci (tylko Edward wytrwał w jednym związku).

Rozpanoszone media, zwłaszcza potężna w Wielkiej Brytanii prasa brukowa, coraz śmieiej wdzierały się w życie domu Windsorów, czyhając na plotki i skandale, zresztą nie bez powodzenia. Do historii przeszedł rok 1992 – „annus horribilis”, straszny rok, jak go określiła królowa. Istotnie, działo się wiele i źle: księżniczka Anna się rozwiodła, małżeństwa Karola i Andrzeja również ku temu zmierzały, skandalizująca biografia Diany – „Diana: Jej prawdziwa historia” – oczerśniła rodzinę i dwór, a w szczególności Karola, na koniec zaś pożar strawił część zamku w Windsorze.

Na miano równie strasznego zasłużył sobie także rok 1997 – rok śmierci Diany i gwałtownego odwrócenia się Brytyjczyków od monarchii. Wiedzeni zbiorowym żalem za uwielbianą ekszöną Karola zapomnieli, jakim przywiązaniem zawsze darzyli swą królową i jak bardzo byli dumni z monarchii (bo po prawdzie czyż jakakolwiek inna może się z nią równać?).



Elżbieta II w dniu koronacji w pałacu Buckingham, 2 czerwca 1953 r. FOT. UPPA/PHOTOSHOT/REPORTER

Co królowa wówczas czuła, wiedzą pewnie tylko jej najbliżsi. Faktem jest jednak, że zdobyła się na gesty, które uspokoiły rozgorączkowaną opinię publiczną i pewnie w jakiejś mierze uratowały reputację monarchii. Umiiała wyjść do ludzi i nie mówiąc nic wprost, pokazać, że to, co się stało, nie jest jej obojętne. Po latach, być może uodporniona już na wyczyny swych najbliższych, bez trudu opanowała problemy, których dworowi przysporzyli najpierw książę Andrzej (zarzuty natury obyczajowej, bliskie kontakty z ludźmi o wątpliwej reputacji, takimi jak Jeffrey Epstein), a potem Harry. Młodszy syn Karola nie tylko opuścił dwór, rodzinę i kraj, lecz także swe żale wylewał przed przedstawicielami mediów, co członkom rodziny królewskiej z pewnością nie przystoi.

INNY KRAJ, INNY ŚWIAT

Monarchia, jeżeli ma spełniać swoją rolę, musi być nieposzlakowana. Król wprowadzie tylko panuje i nie ma wpływu na rządy, ale to panowanie ma walor

symboliczny. W warunkach brytyjskich to monarchia jest mocnym zwornikiem łączącym części Zjednoczonego Królestwa. Nie jest to rola bagatelna w sytuacji, gdy znaczna część mieszkańców Szkocji marzy o secesji. O sile monarchii pośrednio świadczy to, że nawet nacjonaliści szkoccy nie wykluczają, że gdyby zdołali do niej doprowadzić, byłoby skłonni zaoferować tron komuś z domu Windsorów.

Z tego rodzaju uwarunkowań i zagrożeń królowa doskonale zdawała sobie sprawę. Dlatego podjęła kroki, by zdystansować się od kłopotliwego syna i nie mniej niesforne wnuka. Taką świadomość ma również Karol, wiadomo bowiem, że decyzje dotyczące obu książąt zapadały z jego udziałem, a może nawet z jego inicjatywy. Ani Andrzej, ani Harry nie pełnią już obowiązków związanych z przynależnością do rodziny, takich jak patronowanie organizacjom i stowarzyszeniom czy reprezentowanie królowej podczas uroczystości. Obaj stracili tytuły His Royal Highness (Jego Królewskiej Wysokości), a Andrzej również stopnie wojskowe, choć jako oficer marynarki odznaczył się w wojnie o Falklandy.

Zabrzmiałoby to bez wątpienia banalnie, fakt jednak pozostaje faktem: odejście królowej to koniec epoki. Nie chodzi tylko o to, że ogromna większość jej poddanych nie znała innego monarchy niż ona, choć to także ma znaczenie. Obrazy z ulic Londynu nieodparcie nasuwają myśl o tym, jak wyglądała Polska w pierwszych dniach po śmierci Jana Pawła II: żal, żałoba i poczucie opuszczenia. Odchodzi ktoś, kto dawał poczucie bezpieczeństwa. Pewnie nie inaczej odbierano niegdyś odejście marszałka Piłsudskiego.

Jest też jednak inny, równie ważny aspekt. Gdy Elżbieta wstępowała na tron, Wielka Brytania, mimo osłabienia i powojennej biedy, była mocarstwem. Przez kolejne lata jednak nieubłagane się ono kurczyło. Odłączały się kolejne posiadłości, kolonie się wyzwalaly, coraz więcej państw stawało się republikami. Ojciec Elżbiety był ostatnim brytyjskim królem, który nosił tytuł cesarza Indii, zastąpiony na krótko przez tytuł króla Indii. Elżbieta nie – bo gdy wstąpiła na tron, Indie były już republiką. To jednak, że Commonwealth przetrwał i jakoś do dziś funkcjonuje, jest jednak, jak się uważa, również jej zasługą. Samą swą obecnością na czele tej organizacji w jakiejś mierze ją spajała. Zawsze też podkreślała, jak droga jej sercu jest Wspólnota – owa „imperialna rodzina”,

o której w 1947 r. mówiła w Kapsztadzie. Jak na tym polu wypadnie Karol, trudno przewidzieć.

KAROL III I KRÓLOWA CAMILLA

A osobiste przymioty królowej? Ci, którzy ją znali, zetknęli się z nią czy zbierali materiały do rozmaitych biografii – a jest ich bez liku, zwłaszcza gdy uwzględnić biografie innych członków rodziny, w których Elżbieta też oczywiście występuje – zgodnie wymieniają skromność, pracowitość, umiejętność nawiązywania kontaktów, doskonałe przygotowanie do wszelkich spotkań i rozmów.

Tony Blair, laburzystowski premier, który dobrze się podobno z królową rozumiał (w przeciwieństwie do Margaret Thatcher – między nią i Elżbietą nigdy nie było nici porozumienia), nie krył uznania dla sposobu, w jaki królowa prowadzi cotygodniowe konsultacje z szefem rządu. – Potrafi – stwierdził – ocenić sytuację i opisać ją tak, że nie sposób dostrzec, jakie są jej polityczne preferencje.

O to właśnie chodzi. Bo politycznych preferencji monarcha, choć z pewnością je ma, nie ma prawa ujawniać i jest to zresztą bardzo mocne źródło siły monarchii. Tego samego oczywiście oczekuje się od Karola. Jakim okaże się królem? Niewątpliwie miał dostatecznie dużo czasu, by zgromadzić obserwacje i doświadczenia, bo obejmuje tron jako rekordzista pod względem wieku. Ma 73 lata (w listopadzie skończy 74). Żaden z jego poprzedników nie czekał tak długo na swój dzień.

Na uznanie zasługuje sposób, w jaki Karol reagował na ponawiane sugestie, że królem po Elżbiecie powinien zostać jego starszy syn William, bardziej lubiany przez poddanych niż ojciec. Bo Karol nie reagował w ogóle. Przyszły król nie może przecież demonstrować urazy ani zajmować się głupstwami. No i nie było potrzeby. Zasady sukcesji nie przewidują przeskakiwania etapów. Karol musiał zostać królem.

Popularność zresztą to nie wszystko. Książę Harry przez wiele lat był ulubieńcem Brytyjczyków. Dziś nie chcą o nim słyszeć. Camilla, żona Karola, przeszła odwrotną drogę. Dawniej traktowana z niechęcią – podzielał syndrom Dianę – po latach została doceniona. Również przez Elżbietę, która w 70. rocznicę wstąpienia na tron wyraziła pragnienie, by została królową, dając Karolowi oparcie, które ona sama miała w księciu Filipie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. SOUL CAP

AFRO W CZEPKU

Myli się ten, kto sądzi, że w dzisiejszym sporcie trwa jedynie spór o to, czy mężczyzna czujący się kobietą może startować w zawodach z kobietami czującymi się kobietami. Jest też spór na tle rasowym. Chodzi o osoby z fryzurami afro i dreadami. Światowa Federacja Pływacka (FINA) nie dopuściła na ostatnich igrzyskach, by pływali w specjalnych, większych czepkach. Uznano to za zniechęcanie czarnoskórych pływaków do udziału w zawodach. FINA przemyślała swoje stanowisko i właśnie dopuściła soul caps (tak się nazywają czepki) do zawodów najwyższej rangi.

SZTUCZNA INTELIGENCJA WYGRAŁA KONKURS

Jason M. Allen, projektant gier z Kolorado, zgłosił pracę do konkursu plastycznego Digital Art/Digitally Manipulated Photography. Sam jednak nic nie zrobił – skorzystał z algorytmu Midjourney, który po wpisaniu słów kluczowych generuje obrazy. Obraz wykreowany przez sztuczną inteligencję okazał się tym, który najbardziej zachwycił jury. Wielu artystów taki werdykt oburzył. Najbardziej zdenerwowało ich to, że wystarczy już nacisnąć guzik, aby stworzyć „dzieło” i zostać „artystą”.

NOWICZOK PROSTO Z NIEMIEC

Jak ujawniły niemieckie media, tamtejsza firma Riol Chemie dostarczała Rosjanom składniki niezbędne do produkcji broni biologicznej i chemicznej. Służby RFN ustaliły także, że firma dostarczała do Rosji trucizny z grupy nowiczoków. W latach 2019–2020 z Niemiec do firmy Khimmed

(z jej usług korzysta rosyjskie wojsko) dotarło w sumie ponad 30 dostaw.

TRADYCYJNY ROSYJSKI WYPADEK

W Rosji normą jest, że raz na jakiś czas ważny biznesmen – zwłaszcza z przemysłu naftowego – ulega wypadkowi. Tym razem akurat pechowo – uległ na szóstym piętrze Centralnego Szpitala Klinicznego w Moskwie wypadek Rawił Maganow. 67-latek zginął. Był szefem rady dyrektorów firmy Łukoil. To drugi pod względem wielkości rosyjski koncern naftowy.

WSTRZĄSAJĄCE ROZMOWY

W PARLAMENCIE

W Liechtensteinie posłowie dyskutowali o systemach zabezpieczeń budynków przed efektami wstrząsów ziemi. Gdy jedna z posłanek referowała problem, nastąpiło trzęsienie ziemi. Przewodniczący Landtagu Liechtensteinu zapowiedział 15-minutową przerwę i deputowani opuścili budynek parlamentu. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Energia jako broń

Rosja traktuje dostawę energii jako broń. Ostrzegali przed tym od lat politycy w Warszawie, zauważał to również Biały Dom. W końcu zaczęły to dostrzegać nawet władze w Berlinie.

Absurdalnie wysokie rachunki za gaz i prąd zabijają małe piekarnie, zmuszają właścicieli do zamykania pensjonatów i uderzają w wiele różnych branż. Mniej więcej 40–50 proc. ceny energii stanowią specjalny podatek ustanowiony przez UE w postaci uprawnień, które muszą kupować przedsiębiorstwa, elektrociepłownie etc. Ceny uprawnień są wysokie m.in. dlatego, że kupować je mogą nie

tylko wysokoemisyjne firmy, lecz także np. fundusze inwestycyjne.

Co gorsza, tak wysoka cena to efekt zamierzonej polityki urzędników z Brukseli. A skutek ogromnych podwyżek – czyli zmuszenie Europejczyków do gwałtownej zmiany stylu życia, noszenia swetrów w zimie i mycia rąk w zimnej wodzie – to wymarzony efekt zwolenników radykalnej polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Polacy płacą tego podatku więcej, niż wynosi unijna średnia, bo nasza energetyka w dużym stopniu zależy od węgla.

Czy można szybko obniżyć ceny energii? W teorii – tak. Polski

rząd od kilku miesięcy przekonuje, że wystarczy wpuścić na rynek kilkaset milionów dodatkowych uprawnień, aby ich cena poszła w dół. Pod koniec sierpnia Mateusz Morawiecki przekonywał zaś do zmian w tym „unijnym podatku CO₂” m.in. francuskiego prezydenta Macrona. Polski premier chciał, aby na najbliższe 24 miesiące ustalić stałą cenę uprawnień do emisji, np. na poziomie 30 euro za tonę, obowiązującym mniej więcej dwa lata temu. Berlin, Paryż i Bruksela nie chcą się na to zgodzić. Zamiast tego eurokraci proponują ograniczanie zużycia energii w godzinach szczytu i zimną wodę w basenach. ©

Pierwszy e-mail w tej kompromitującej historii ujawnił „Fox News” w październiku 2020 r.

Stacja upubliczniła wówczas wiadomość, którą Wadym Pożarski, jeden z szefów Burismy, ukraińskiego giganta energetycznego, wysłał pod koniec 2015 r. do syna ówczesnego amerykańskiego prezydenta. Hunter Biden od roku zasiadał wtedy w zarządzie Burismy należącej do oligarchy Mykoły Żłoczewskiego. Ten ostatni pełnił ministerialne funkcje w czasach prezydentury Wiktora Janukowycza i znany był z bliskich powiązań z Rosją.

Pożarski naciskał, by na Ukrainie pojawił się ktoś z ważnych amerykańskich oficjeli. Chodziło o wywarcie presji na ukraińskie władze i prokuraturę, by „ukręcić łeb” wszystkim postępowaniom wokół Burismy. Kierownictwo firmy oskarżano wówczas o korupcję i ukraińscy śledczy przyglądali się biznesom prowadzonym przez firmę.

Na początku września kolejną bombę w tej sprawie odpalił amerykański dziennikarz James D. Agresti, który specjalizuje się w fact-checkingu.

„Nowo odkryte e-maile udowadniają ponad wszelką wątpliwość prawdziwy cel lukratywnego układu między Hunterem Bidenem a ukraińską firmą energetyczną. Chodziło o to, by Hunter sprawił, by Ukrainę odwiedzili »wysoko postawieni amerykańscy oficjele« i przekonali przywódców państwa do zamknięcia wszystkich dochodzeń kryminalnych przeciw właścicielowi firmy – niesławnemu skorumpowanemu oligarsze z domniemanymi układami z Rosjanami” – napisał Agresti.

Dziennikarz dotarł do e-maili, które wysłać mieli do kierownictwa Burismy Hunter Biden i jego współpracownicy. Z ich treści wynika, że Amerykanie przystali na ten deal – ktoś ważny z Waszyngtonu przyjedzie na Ukrainę, by ochronić przed postępowaniami prokuratorskimi Burismę, w której pracował Biden junior.

Jak dalej potoczyły się wypadki? Miesiąc po tej wymianie e-maili do Kijowa przybył sam Joe Biden, którego Barack Obama wyznaczył jako swojego pełnomocnika do kontaktu z ukraińskimi władzami. Zresztą sam Joe Biden podczas rozmowy z „Głosem Ameryki” opisał szczegółowo rozmowy, które prowadził wówczas w Kijowie. „Powiedziałem: jeżeli w ciągu sześciu godzin wasz prokurator generalny nie zostanie odwołany, nie otrzymacie pieniędzy. I ten suk. syn został odwołany” – chwalił się Biden. On sam twierdził wprawdzie, że prokurator musiał odejść, ponieważ ciążyły

Upolowany Hunter



Piotr Włoczyk

Ujawnione e-maile syna obecnego amerykańskiego prezydenta stawiają Białą Dom w bardzo niekorzystnym świetle. Czy Joe Biden pomagał swojemu synowi zarabiać miliony u szemranego oligarchy?

Hunter Biden

FOT. TERESA KROEGER/GETTY IMAGES

na nim zarzuty korupcyjne, ale w świetle powiązań Huntera Bidena z Burismą i treści ujawnionych e-maili można mieć spore wątpliwości na temat oficjalnej wersji podawanej przez Joe Bidena. Prokurator generalny Wiktor Szokin został zmuszony do odejścia z urzędu miesiąc po wizycie Bidena.

SZALONE RAJDY SYNECZKA

52-letni Hunter Biden, z wykształcenia prawnik, pracował dla Burismy w latach 2014–2019. Okoliczności, w jakich syn obecnego prezydenta USA dostał pracę w tym holdingu energetycznym, mogą budzić jedynie zażenowanie. Z pracą dla Łóczewskiego wiązało się niemałe wynagrodzenie – ponad milion dolarów rocznie. Urzędnicy z ambasady USA w Kijowie przestrzegali wprowadzie swoich przełożonych w Waszyngtonie, że jest to bardzo niezdrowy układ, który może się odbić czkawką, ale Białe Dom bagatelizował tę sprawę, twierdząc, że praca dla Burismy to kompletnie prywatna sprawa syna wiceprezydenta. Argumentacja była prosta: jeżeli syn wiceprezydenta jest bardzo zdolnym doradcą, to dlaczego miałby nie przyjmować intratnej propozycji z zagranicy? Jednak sam Hunter Biden zaskakująco szczerze przyznał w październiku 2019 r. w wywiadzie dla telewizji ABC News, że gdyby nie jego nazwisko, prawdopodobnie nie dostałby pracy w zarządzie Burismy...

– Mimo wszystko trudno sobie wyobrazić, żeby takie informacje mogły zaszkodzić obecnemu prezydentowi USA. Cieszy się on tak skuteczną osłoną medialną, że na nikim w mediach mainstreamowych ta sprawa nie robi wrażenia. Nie ma też co liczyć na działania ze strony FBI, które podlega przecież prezydentowi – mówi „Do Rzeczy” amerykańista prof. Grzegorz Górski.

– Układy, w które wchodził Hunter Biden przy udziale swojego ojca, byłyby w stanie zakończyć karierę każdego prezydenta USA, ale obecnie nie mamy do czynienia z normalną sytuacją. Obawiam się, że ta sprawa po prostu rozejdzie się po kościach.

Problemy Huntera Bidena zaczęły się na dobre, odkąd w tajemniczych okolicznościach zaginął jego laptop pełen kompromitujących materiałów. On sam twierdził, że komputer ukradli mu rosyjscy handlarze narkotyków, którzy mieli go odurzyć silnymi środkami psychoaktywnymi. Po wyparowaniu laptopa co i rusz w sieci pojawiały się kolejne szokujące materiały z Hunterem Bidenem w roli głównej. Rok temu „Daily Mail” opublikował nagranie ze schadzki Bidena juniora z prostytutką

w pokoju hotelowym. „Rosjanie mają nagranie, na którym uprawiam dziłki, pierdo...y seks!” – przyznał w czasie rozmowy z nią Biden junior. Co ciekawe, leżący z prostytutką na łóżku Hunter Biden sam nagrywał to spotkanie. Młody Biden przechwalał się w rozmowie z prostytutką, że wydał w ostatnim czasie „tonę pieniędzy”, organizując jedną wielką imprezę po drugiej. Gdy prostytutka zadała mu dosyć oczywiste pytanie: „Czy nie boisz się, że Rosjanie będą cię szantażować?”, Biden junior odparł szczerze: „Tak, w pewnym sensie tak”. Wiele o charakterze syna obecnego prezydenta USA mówi fragment nagrania, gdy Biden junior wyraził obawę, że jeżeli jego filmy porno trafią w ręce kogoś „nieuczciwego” z branży filmów dla dorosłych, to kto inny zarobi na tym mnóstwo pieniędzy...

„KONSULTACJE” DLA ROSJAN I CHIŃCZYKÓW

W tej historii jest też drugi laptop Huntera Bidena, który trafił z kolei w ręce FBI po tym, gdy właściciel serwisu komputerowego z Delaware, który dostał do naprawy sprzęt, znalazł na nim niepokojące materiały i oddał go w ręce władz. E-maile, które tam odkryto, od dwóch lat emocjonują prawnicze media, natomiast w mainstreamie wywołują jedynie wzruszenie ramionami.

Nie tylko jednak Burisma kompromituje Bidena juniora oraz jego ojca. Jak bowiem ujawnili republikańscy senatorowie, syn obecnego prezydenta USA otrzymał 3,5 mln dol. od najbogatszej Rosjanki, wdowy po merze Moskwy Juriju Łużkowie. Pieniądze te były zapłatą za bliżej niesprecyzowane „konsultacje”, których miał rzekomo udzielać młody Biden.

Z kolei w 2017 r. gazeta „The New York Post” ujawniła, że Hunter Biden miał otrzymywać rocznie 10 mln dol. od jednego z chińskich miliarderów w zamian za usługi lobbystyczne. Chodziło o przedstawianie jego ludzi odpowiednio ważnym amerykańskim urzędnikom. W tym chińskim wątku pojawia się również Biden senior. W 2013 r. ówczesny wiceprezydent USA pojechał z oficjalną wizytą do Pekinu. Na pokładzie samolotu znalazł się Hunter, dla którego ta wycieczka okazała się niezwykle opłacalna. Syn zastępcy Baracka Obamy poznał wówczas bankiera Jonathana Li, który dwa tygodnie później załatwił mu pracę w radzie nadzorczej kierowanej przez siebie spółki. Jeżeli takie rewelacje nie były w stanie zaszkodzić Joe Bidenowi, to czy cokolwiek jest dziś w stanie skompromitować tego polityka?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MARCUS WAM/LOS ANGELES TIMES/GETTY IMAGES

Roczek emiratu talibów

Zacznijmy od końca. Czy wyjazd turystyczny do Afganistanu to dzisiaj dobry pomysł? Ktoś mógłby się popukać w głowę. W końcu dopiero co Amerykanie rozwalili tam szefa Al-Ka-idy, kilka dni temu doszło do zamachu na ambasadę Rosji, a talibowie to przecież dzikusy, lubujące się w obcinaniu głów i niszczące zabytki. Trudno zapomnieć, jak w marcu 2001 r. na rozkaz swego jednoosobowego przywódcy Mułły Omara poważnie uszkodzili pochodzące z VI w. i wpisane na listę UNESCO posągi Buddy w Bamyanie, ostrzeliwując ich głowy z artylerii. Czy zatem w Afganistanie jest coś jeszcze do oglądania?

Przez ostatnie 40 lat z hakiem zwiedzać Afganistanu było obarczone wysokim ryzykiem w związku z wojną mudżahedinów z sowieckim agresorem, następnie wojną domową, wrogością do zabytków i zamknięciem kraju dla turystów za pierwszych rządów talibów, i wreszcie – zagrożeniem terrorystycznym ze strony talibów po tym, jak utracili władzę.

Natomiast obecnie talibowie – po tym, jak w sierpniu 2021 r. ponownie przejęli władzę w tym kraju – robią wszystko, by zaprezentować się światu jako co prawda konserwatywni muzułmanie, ale cywilizowani, odzégnujący się od terroryzmu, publicznych egzekucji czy też jakiegokolwiek wrogości wobec niemuzułmańskich



Witold Repetowicz

Rok po przejęciu władzy przez talibów w Afganistanie kraj ten przestał wzbudzać zainteresowanie międzynarodowej opinii publicznej. To, czy zmiany są tam duże czy małe, zależy od punktu widzenia. Nie ma natomiast lepszego momentu na zwiedzanie tego skądinąd pięknego kraju

cudzoziemców. Muzea, które w latach 90. były spłądrowane, a następnie po 2001 r. z trudem odzyskiwały swoje eksponaty, tym razem w ogóle nie ucierpiały i są obecnie otwarte dla zwiedzających (których jednak zbyt wielu nie jest). To samo dotyczy zabytków Kabulu, Mazar-e Szarif, Balchu czy Heratu, czy też niedostępnego dotąd z przyczyn bezpieczeństwa XII-wiecznego minaretu w Dżam, wpisanego na listę UNESCO. Długa i dramatyczna historia Afganistanu, obfitująca w najazdy, owocowała nie tylko zniszczeniami, lecz także mnogością wpływów kulturowych, co znalazło swoje odzwierciedlenie w architekturze. Piękno przyrody tego górzystego kraju to już trwały dar natury.

Bezpieczeństwo i stosunek talibów do cudzoziemców to największe zmiany w Afganistanie. Szeregowi talibowie radośnie witają się z napotkanymi cudzoziemcami, nawet z Amerykanami,

zachęcając do wspólnego robienia fotek. Czasem przy okazji prezentują wskazujący palec w dżihadystycznym geście „tawhid” lub dumnie prezentują jakieś M16 zdobyte na wrogu. Ich dowódcy bywają bardziej wstrętniejsi, ale też starają się okazywać zycziliwość przyjmowanemu przez siebie niewiernym. Jednym słowem – o ile niewierny nie jest na tyle obłąkany, by paradować po afgańskich ulicach w wyzywającym stroju lub znieważać Koran, to nic mu (lub jej) z rąk talibów nie grozi. Nic tylko jechać, zwiedzać, raczej nie licząc na opalanie się. I to szybko, bo ciemne chmury nad bezpieczeństwem jednak się gromadzą.

Nowe władze Afganistanu chcą, by świat wierzył, że w pełni kontrolują kraj, i dlatego starają się wyciszać coraz częstsze incydenty terrorystyczne czy też bagatelizować zbrojną aktywność swoich przeciwników. W porównaniu z sytuacją sprzed wycofania

się USA zjawiska te nie są zbyt intensywne, ale wykazują tendencję narastającą. Głównymi wrogami Islamskiego Emiratu Afganistanu (jak oficjalnie nazywa się państwo talibów) są Państwo Islamskie Wilajetu Chorasana (ISK) oraz Narodowy Front Oporu, działający przede wszystkim w zdominowanej przez Tadżyków Dolinie Pandższiru. Jednak ataki kierowane są przede wszystkim na posterunki talibów. Wyjątkowo zdarzają się głośniejsze incydenty, takie jak samobójczy zamach przed ambasadą Rosji w Kabulu, do którego doszło w poniedziałek 5 września. Przeprowadziło go ISK i zginęło w nim sześć osób, w tym dwóch dyplomatów rosyjskich. Było to przy tym uderzenie w coraz intensywniejsze relacje między talibami a Rosją, która wyrasta obecnie na jednego z najbliższych partnerów Islamskiego Emiratu Afganistanu, mimo obciążeń historycznych. Można przy tym się spodziewać, że ISK będzie zdolna do przeprowadzania coraz głośniejszych ataków.

Ponadto ISK dokonuje zamachów bombowych na miejsca szyickich Hazarów, zawsze nienawidzonych przez sunnickich fanatyków. Coraz częściej dochodzi też do buntów lokalnych dowódców, wynikających z konfliktów między różnymi frakcjami talibów, animozji etnicznych, a także rywalizacji o kontrolę nad kopalniami i przemytem. Kilka miesięcy temu przywódca talibów emir Akhundzada zakazał uprawy i handlu opium i można sobie wyobrazić, że będzie to kolejna kwestia, o którą różni watażkowie wezmą się za łby. Nikt bowiem nie lubi rezygnować z intratnego biznesu, nawet jeśli jest haram (zakazany przez islam).

MIESZKAŃCY CHCĄ UCIEKAĆ

Przedstawiona wcześniej perspektywa cudzoziemca jest inna niż perspektywa ludności miejscowej i trudno znaleźć w Afganistanie kogokolwiek, kto by nie chciał z niego uciekać. No może poza talibami – ale też nie wszystkimi – oraz garstką uprzywilejowanych.

Gdy byłem w Afganistanie w grudniu, młody talib otwarcie zapytał mnie, czy mogę pomóc mu wyjechać do Ameryki. Rzeźnik na bazarze, twierdzący, że pod rządami talibów jest lepiej, zainteresowany był podjęciem studiów w Polsce. Jakichkolwiek. Głównymi powodami tej masowej chęci emigracji nie są bezpieczeństwo czy prześladowania, lecz powszechne ubóstwo i fatalne perspektywy gospodarcze Afganistanu. Już jesienią

ubiegłego roku wielu prognozowało, że latem 2022 r. dojdzie do całkowitego załamania gospodarczego, powszechnego głodu i gigantycznej klęski humanitarnej, generującej również potężny strumień migracyjny. Nic takiego się jednak nie stało, a bazarowe stragany wyglądają tak jak wcześniej.

Zmiany najbardziej uderzyły w afgańską inteligencję, w klasę średnią, a przede wszystkim w kobiety z tych warstw społecznych. Straciły one wszystko – jeśli nie zdołały wyjechać za granicę, to zostały porzucone przez międzynarodowe instytucje, dla których pracowały, niczym stare, zbędne meble.

Talibowie w znacznym stopniu ograniczyli też możliwości edukacji kobiet, choć nie zakazali jej całkowicie, dbając o kreowanie swojego nowego wizerunku. Ograniczenia w szkołach zostały wprowadzone „tymczasowo”, ale nic nie wskazuje na to, żeby dziewczynki mogły do nich wrócić. Część szkół prywatnych, zwłaszcza uczelnie wyższe, wciąż akceptuje dziewczęta, ale pogorszenie statusu materialnego inteligencji (żyjącej wcześniej z pracy przy różnych projektach międzynarodowych, których już nie ma) powoduje, że ławy w tych placówkach jeszcze bardziej się przerzedziły, i to w odniesieniu do obu płci.

Na pogorszenie sytuacji nie mogą natomiast narzekać kobiety z prowincji, bo większość z nich i tak nigdy nie odczuła błogosławieństw równouprawnienia wprowadzanego przez ostatnie 20 lat. Przytłaczająca większość afgańskiego społeczeństwa jest skrajnie konserwatywna i talibowie nie muszą narzucać żadnych nowych zasad, by kobiety żyjące na wsi traktowane były jak towar i własność, a za przewinienia przeciw moralności (w tamtejszym rozumieniu) i marzenia o edukacji czy pracy karane były w okrutny sposób. Zresztą nawet w większości domów klasy średniej kobieta nie pokazuje się obcemu. Faktem jest przy tym, że emir Akhundzada zakazał handlowania kobietami i nakazał szacunek wobec nich, ale komunikat ten był raczej kierowany do międzynarodowej opinii publicznej w ramach PR-owskiej kampanii pokazywania „ludzkiej twarzy”.

Towarem nadal są zresztą też mali chłopcy, choć i tej pedofilskiej praktyki pusztofskiej, znanej jako „bacz bazi” (polega na przebieraniu kilkunastoletnich chłopców za dziewczynki i nakazywaniu im tańców erotycznych, a następnie

seksualnym wykorzystywaniu), talibowie teoretycznie zakazali, i to pod karą śmierci. Wielu jednak nie wierzy w całkowitą implementację tego zakazu, zwłaszcza w odniesieniu do tych, którzy mają władzę.

Są jednak i tacy, którzy wracają do Afganistanu po tym, jak w sierpniu 2021 r. z niego uciekli. Dotyczy to takich osób, jak pewien były deputowany, któremu najwyraźniej nie uśmiechała się praca na kuchni w jakimś kebabie na Zachodzie. Talibowie nie zrobili bowiem rewolucji własnościowej, nie skonfiskowali mienia poprzednim elitom, by rozdać szeregowym talibom. Ci, którzy byli bogaci, nadal tacy są, o ile siedzą cicho, a szeregowi talibowie chodzą na cudze wesela, by się najeść. Pewnego dnia mogą jednak stwierdzić, że mają tego dość, bo w końcu to oni „zwyciężyli”.

WCIAŻ NIEUZNAWANI

Afganistan jest dziś czarną dziurą, która mało kogo interesuje. Na moment przebił się w wiadomościach w związku z zabiciem przez USA lidera Al-Kaidy Ajmana az-Zawahiriego, co zresztą postawiło talibów w kłopotliwym położeniu i skłoniło do zapewniania, że nie stanowią zagrożenia dla nikogo i chcą pokojowych relacji z każdym. Sam emir stwierdził, że dotyczy to również USA. Ale na razie nikt nie uznał talibów, choć Rosja zaprosiła ich na swoje Forum Ekonomiczne. Większość ambasad Afganistanu, w tym w Polsce, nie uznaje emiratu, choć ten uznaje wizy przez nie wydawane. Nie zostały też zniesione sankcje, a rezerwy walutowe zostały zajęte przez USA ku ogromnej wściekłości Chin, które w rezultacie nie zdołały zrobić wielkiego skoku na afgańskie zasoby naturalne.

Na granicach Afganistanu z jego sąsiadami, zwłaszcza Iranem i Pakistanem, dochodzi co jakiś czas do starć zbrojnych, choć strony potencjalnego konfliktu starają się to bagatelizować. Nie jest jednak tajemnicą, że granicy z Pakistanem nie uznaje żaden Afgańczyk, a talibowie jako sunnici nienawidzą szyickiego Iranu. Jako Pasztuni nie przepadają też za Tadżykami, a Tadżykistan to sojusznik Rosji. Z kolei Chińczycy prześladowali muzułmańskich Ujgurów. Wierchuszka talibów dwoi się i troi, by pokazać, że to nieprawda i że oni są przyjaciółmi wszystkich, kto z nimi nie wojuje, ale krewkich i niepiśmiennych chłopców z gór czasem po prostu ponosi.



Jacek Przybylski
z Karpacza

Wojna, kryzys, inflacja, bezpieczeństwo oraz transformacja energetyczna – te słowa były najczęściej odmieniane przez przypadki na jednym z najważniejszych wydarzeń ekonomicznych w Polsce

Raz w roku, na trzy wrześniowe dni, Karpacz staje się ekonomiczną stolicą Polski. Wśród 4 tys. gości poza licznymi biznesmenami, ekspertami oraz lobbystami z różnych państw regionu na największej konferencji biznesowej w Europie Środkowej pojawia się również wielu posłów oraz wysokich rangą przedstawicieli rządu.

STARE-NOWE WYZWANIA

Hasło przewodnie tegorocznej imprezy brzmiało „Europa w obliczu nowych wyzwań”. I chociaż rzeczywiście na taką skalę wojna w Europie toczy się pierwszy raz od kilku dekad, to wiele z omawianych wyzwań – jak transformacja energetyczna, ryzyko upadku tysięcy firm czy walka z inflacją – brzmiało jednak dziwnie „staro”. Próba uwierzenia, że to Putin i tylko Putin jest winny tak wysokiemu wzrostowi cen w Polsce, czyli w kraju, w którym jeszcze przed pandemią COVID-19 inflacja wchodziła na niebezpieczne tory, wymagała od odbiorców braku umiejętności czytania ze zrozumieniem lub spożycia dużej ilości bezpłatnych trunków.

Odważnych panelistów, przekonujących, że obecny rząd znów, jak podczas pandemii koronawirusa, będzie się troszczył o „stabilny rozwój”, „bez skoku bezrobocia” i „bez straconej dekady”, mimo to nie brakowało. Chociaż akurat w Krynicy wielu było takich, którzy obietnice pomocy ze strony rządu Mateusza Morawieckiego – tego samego, który nie potrafi nawet raz a dobrze opracować prostego sposobu wypłacania ludziom dodatku węglowego, aby urzędnicy wiedzieli, co i komu należy wypłacić – traktowali jako zawołaną groźbę dla rozwoju przedsiębiorczości w Polsce. Wiele właścicieli firm „pomoc-

Polskie Davos już w cieniu kryzysu



na dłoń państwa” wpędziła już bowiem niemal do grobu.

KIEDY ZMIANY W PODATKACH?

Paneli było ok. 300 i trzeba przyznać, że organizatorom nie brakowało poczucia humoru. Ponieważ w życiu pewne są tylko śmierć i podatki, to tytuł jednego z paneli brzmiał... „Ordynacja podatkowa. Stabilność dla przedsiębiorstw”. W czasach, gdy przez zawirowania wokół Polskiego Ładu wielu właścicieli małych firm w Polsce musiało podjąć decyzję o zamknięciu prowadzonych od lat biznesów, teza ta brzmiała jak żywcem wyjęta ze skeczu Monty Pythona.

– Chcemy zamknąć prace nad zmianami w ordynacji podatkowej. Następnym krokiem będą konsultacje społeczne – ogłosił w Karpaczu wiceminister Artur

Soboń z Ministerstwa Finansów. Marnym pocieszeniem dla gnębionych ciągłymi zmianami w prawie przedsiębiorców jest jednak to, że resort finansów planuje wspólne spotkanie swoich urzędników, przedstawicieli Krajowej Administracji Skarbowej oraz rzecznika MŚP, by wypracować kompromisowe wersje nowych zapisów. Dobra wiadomość jest taka, że do urzędników Ministerstwa Finansów dotarło wreszcie, że „dzisiaj podatnicy nie oczekują kolejnych zmian w PIT”, a ewentualne nowe rozwiązania mogłyby wejść w życie dopiero od 1 stycznia 2024 r.

Dość optymistycznie brzmiała również w Karpaczu minister finansów Magdalena Rzeczkowska, która słusznie zadeklarowała, że „współpraca administracji publicznej z biznesem jest ważna zarówno dla rozwoju biznesu, jak



Premier Mateusz Morawiecki oznajmił, że wiele projektów wpisanych do KPO już jest realizowanych z polskich pieniędzy FOT. PIS.ORG.PL

i przychodów budżetowych z podatku", a nawet zauważyła, że „przedsiębiorcy są szczególną grupą – są siłą napędową gospodarki, dlatego budujemy z nimi partnerskie relacje”.

Miło to wreszcie usłyszeć z urzędniczych ust. Szefowa jednego z najtrudniejszych do prowadzenia resortów wyraziła również nadzieję, że inflacja w Polsce nie przebieje mimo wszystko poziomu 20 proc., a w roku 2023 spadnie poniżej 10 proc.

Podczas panelu „Hedonizm czy ascezyzm. W niespokojnych czasach wydawać czy oszczędzać?” przedstawiciele resortu finansów chwalili się, że w ostatnich latach nieprzerwanie wzrasta zainteresowanie obligacjami skarbowymi, które „z instrumentu niszowego wyrosły na istotne i stabilne źródło finansowania”, a ich sprzedaż zwiększyła się z 3 mld zł w roku 2015 do 43 mld zł w 2021 r.

W ogóle w Karpaczu członkowie rządu wydawali się dużo bardziej wyluzowani i pewni siebie niż niemal sparaliżowani strachem rządzący w Berlinie czy w Paryżu. Ogólny przekaz polskich rządzących brzmiał: jakiś kryzys będzie, ale być może nie będzie tak duży, jak straszą ekonomiści, a Polska znów stanie się jeśli nie zieloną wyspą, to przynajmniej czerwony kolor oznaczający recesję będzie u nas bardziej wyblakły niż w innych krajach Unii Europejskiej.

POMÓC NAJPIERW SOBIE, BY MÓC POMAGAĆ UKRAINIE

Mimo nadchodzącego globalnego kryzysu minister rozwoju i technologii Waldemar Buda deklarował, że władze w Warszawie nie zamierzają „żebrac” o miliardy euro z Krajowego Planu Odbudowy, bo Polska prowadzi „politykę

podmiotową”. A że bez pieniędzy z KPO pieniądze na inwestycje trzeba sporo pożyczyć, przez co kraj będzie więcej płacił za obsługę zadłużenia, to trudno. Rząd „poradzi sobie” bez szybkich przelewów z Brukseli i cierpliwie, z godnością poczeka, a polscy podatnicy posłusznie za to zapłacą...

Sam premier Mateusz Morawiecki w Karpaczu zauważył, że wiele projektów wpisanych do KPO już jest realizowanych z polskich pieniędzy. – Nie mogliśmy czekać z ich wykonaniem, bo gdybyśmy się nie zmieścili w założonej perspektywie, to później nie mielibyśmy szans na odzyskanie tych pieniędzy – oznajmił szef rządu, podkreślając, że pieniądze z KPO to tylko mała część tego, co należy się Polsce w ramach perspektywy unijnej 2021–2027. – My skupiamy się tylko na małym wycinku środków

■ z UE, jakim jest KPO. A przecież są jeszcze pieniądze z głównego budżetu. One są jeszcze bardziej niezagrożone niż te z KPO – stwierdził w Karpaczu premier Mateusz Morawiecki w rozmowie z Dorotą Kanią.

Z dużo większą ostrożnością na sytuację gospodarczą Starego Kontynentu patrzyli przedstawiciele władz innych państw. – Suwerenność naszych państw jest bardzo mocno zagrożona – podkreślał przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych węgierskiego parlamentu Zsolt Németh, ostrzegając jednocześnie przed napięciami społecznymi, do których doprowadzić może coraz głębszy kryzys gospodarczy. – Musimy zrobić wszystko, aby zachować stabilność gospodarczą i polityczną, ponieważ jeśli nam się to nie uda, to nie będziemy już w stanie dłużej wspierać Ukrainy. Myślę, że prezydent Wołodymyr Zełenski również to rozumie – zaznaczył jeden z kluczowych węgierskich parlamentarzystów. Rząd w Budapeszcie grzecznie spełnił więc większość żądań stawianych Węgrom przez Komisję Europejską i mimo fatalnej prasy na Zachodzie premiera Viktora Orbána pieniądze z KPO mogą trafić na konta nad Dunajem szybciej, niż znajdują się nad Wisłą.

PRZEPROSINY Z WĘGLEM

Zdaniem premiera Mateusza Morawieckiego trzy podstawowe wyzwania, z którymi musi się teraz zmierzyć rząd, to „Kryzys energetyczny, inflacyjny i bezpieczeństwa”. Szef rządu opowiadał uczestnikom polskiego Davos o podjętych już działaniach osłonowych, które mają złagodzić wpływ wysokich cen energii na życie przeciętnego Kowalskiego. A także zapowiedział „filar inwestycyjny” rządowych działań, którego celem będzie przywrócenie pewności i stabilności polskiemu przedsiębiorcom.

O tym, że czują się oni na razie bardzo niepewnie, świadczyć może to, że w wielu tegorocznych panelach kluczowe były nie tylko słowa „wojna” i „inflacja”, lecz także zwrot „kryzys energetyczny”.

– Programowanie pewnych rozwiązań dotyczących bezpieczeństwa energetycznego kraju toczyło się w warunkach względnego spokoju, gdy mało kto spodziewał się rozwoju wypadków w takim kierunku, który obserwujemy obecnie. Tymczasem okazuje się, że uzależnienie od Rosji stało się pułapką. Właśnie dlatego jako rząd stanęliśmy przed

Wojna przemeblowała zarówno architekturę europejskiego bezpieczeństwa, jak i gospodarkę, nie tylko europejską

wyzwaniem, w jaki sposób zabezpieczyć Polaków przed zimą. I dlatego też, także w ramach realizacji neutralności klimatycznej, musimy wiele przedyskutować na inne kanały. Na szczęście my zajęliśmy się tym wcześniej – zauważył w Karpaczu minister Grzegorz Puda.

– Każda prezentacja i każda rozmowa międzynarodowa po 24 lutego 2022 r. musi uwzględniać kwestię agresji rosyjskiej na Ukrainę. Wojna przemeblowała zarówno architekturę europejskiego bezpieczeństwa, jak i gospodarkę, nie tylko europejską – zauważył Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.

„Jeszcze na dobre nie uporaliliśmy się z pandemią COVID-19, gdy 24 lutego Federacja Rosyjska dokonała zbrojnej napaści na Ukrainę, rozszerzając zakres ofensywnych działań prowadzonych przeciwko temu państwu od 2014 r., w tym aneksji Krymu. Nałożyły się na to wysoka inflacja, problemy z dostępem do surowców energetycznych oraz pogarszające się nastroje społeczne w poszczególnych krajach” – napisali we wstępie autorzy zaprezentowanego w Karpaczu „Raportu SGH i Forum Ekonomicznego 2022”. Autorzy raportu wskazują, że Polska jako największy rynek energetyczny Europy Środkowo-Wschodniej zyskała „znaczącą przewagę strategiczną dzięki rozwojowi infrastruktury dywersyfikującej kierunki importu gazu nad członkami tzw. starej UE, a przede wszystkim Niemiec”. Ale zauważają także, że ograniczenie zużycia gazu w sektorze energetycznym będzie wymagało przeproszenia się z węglem i „utrzymanie części mocy węglowych dłużej niż przewidywano”. To zaś wiąże się z kolejnym problemem, a więc z bardzo wysokimi cenami uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Tymczasem sytuacja branży ciepłowniczej i elektroenergetycznej jest zła nie od lutego 2022 r., ale już od wielu lat. – W lipcu zorganizowaliśmy badanie, z którego wynika, że 30 proc. przedsiębiorstw z tej branży nie ma płynności finansowej, a aż

70 proc. potrzebuje wsparcia – tłumaczył prezes zarządu Izby Gospodarczej Ciepłownictwo Polskie (IGCP) Jacek Szymczak.

ATOM JUŻ W ROKU 2029?

Zdaniem autorów składającego się z 11 rozdziałów „Raportu SGH i Forum Ekonomicznego 2022” konieczne jest opracowanie planów „optymalnego wykorzystania podaży” gazu oraz wdrożenie na możliwie jak największą skalę odnawialnych źródeł energii. – Zeroemisyjna gospodarka jest potrzebna nie tylko w energetyce, lecz także w petrochemii. Ograniczenie emisyjności jest bardzo ważne, poprawia konkurencyjność naszych produktów. Jeśli tego nie zrobimy, to nie wygramy z konkurencją. Bez tego nie zbudujemy silnej firmy, bez silnej firmy nie będzie silnej gospodarki – przekonywał w Karpaczu prezes PKN Orlen Daniel Obajtek.

O tym, że przyszłość Orlenu za 20–30 lat to źródła zeroemisyjne – technologie jądrowe jako podstawa, OZE takie jak morska energetyka wiatrowa, biogazownie – bo z nich pozyskujemy biometan, przekonywał Jarosław Dybowski, dyrektor ds. energetyki PKN Orlen. Jego zdaniem „elektrownie gazowe zapewne przejdą do zimnej rezerwy”. – Najlepszym magazynem energii są paliwa kopalne. Sytuacja nas zaskoczyła i stąd potrzeba powrotu do węgla – tłumaczył Dybowski.

– Mamy bardzo ambitny plan, by w roku 2029–2030 wystartował pierwszy reaktor atomowy – prognozował Dawid Jackiewicz z Orlen Synthos Green Energy.

Problem jest tym poważniejszy, że ogromne ilości energii potrzebne są nie tylko do ogrzewania mieszkań i domów czy do prowadzenia produkcji w tradycyjnej formule. Bardzo dużo energii potrzebuje też świat cyfrowy. Guillaume Pitron, autor książki o wojnie o metale ziem rzadkich, podkreślił, że obecnie technologie cyfrowe pochłaniają już ok. 10 proc. światowej konsumpcji energii elektrycznej, a już do roku 2030 poziom ten może wzrosnąć nawet do 20 proc.

Konieczne jest więc opracowanie planu takiej dywersyfikacji źródeł, żeby udało się w Polsce rozwiązać problem deficytu energii. Doświadczenia Szwecji i innych krajów pokazały bowiem jasno, że same energie odnawialne nie wystarczą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nagrody Wartości i Wrażliwości



Nagrody Wartości i Wrażliwości przyznane

Uhonorowanie za pomoc uchodźcom i bezdomnym

Nagrodą Wrażliwości uhonorowano Fundację Ambulans z Serca. Organizacja udziela pomocy medycznej osobom w kryzysie bezdomności. Odbierając nagrodę prezes fundacji Emilia Wesołowska przedstawiła zespół "karetki dla bezdomnych", w którym są lekarze, ratownicy medyczni, psychologowie i studenci medycy.

Nagroda za działanie na rzecz pszczół

Nagrodą Wartości zostali wyróżnieni pszczelarze Rafał i Maciej Szela za utworzenie Banku Pszczelego. Bracia, po tym jak nieznany sprawca wytruł całą ich pasiekę, stworzyli rezerwę pszczół, by pomagać pszczelarzom w podobnych sytuacjach kryzysowych. Jak zaznaczył Maciej Szela Bank Pszczeli przekazuje wówczas do 20 procent utraconych pszczół i transportuje je w dowolne miejsce Polski.

Biznes, który nie jest obojętny

Nagrodą Wartości i Wrażliwości w Biznesie uhonorowano spółkę ENEA S.A. za działania na rzecz społecznej odpowiedzialności biznesu i pomoc uchodźcom z Ukrainy.



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Patronat honorowy:



Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego



Minister Rodziny
i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY



MINISTERSTWO
AKTYWÓW
PAŃSTWOWYCH

Zagazowani

FOT. ANDRZEJ STOK



Łukasz Warzecha

Polska uwolniła się od rosyjskiego gazu, ale nie na własnych warunkach i bez myślenia o skutkach. Nawet jeśli surowca nam nie zabraknie, to jego ceny zamordują rodzimy biznes

Gdy w marcu rząd opowiadał o tym, że konieczne jest jak najszybsze odejście od rosyjskich surowców i zapowiadał rychłe odrębne polskie embargo na węgiel (jak się ono skończyło – wiemy), panowało powszechne przekonanie, że najmniej dla Polski bolesne będzie odcięcie rosyjskiego gazu. Padało bowiem hasło „Baltic Pipe” i to miało załatwić sprawę.

W miarę jednak jak mijały miesiące, a ceny gazu w Europie szły w górę, zaczęły też pojawiać się informacje o niedostatecznym zakontraktowaniu surowca, który miałby popłynąć gazociągami, który ma być otwarty w tym miesiącu. Rząd chwalił się tym, że rura będzie, ale już niekoniecznie tym, co będzie w niej płynąć. Alarmująco zaczęły brzmieć wypowiedzi byłego szefa Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa Piotra

Woźniaka (uznawanego za człowieka blisko związanego z odwołanym niedawno ze stanowiska Piotrem Naimskim, na ogół krytycznego wobec działań obecnej władzy), że w Polsce będziemy mieć deficyt gazu, a przez Baltic Pipe nie popłynie go tyle, żeby zbilansowało się nasze zapotrzebowanie.

NIEBEZPIECZNY SYGNAŁ

Polska zużyła w ubiegłym roku rekordowe 20 mld m sześć. gazu. Przed rozpoczęciem wojny na Ukrainie przewidywano, że zużycie będzie nadal rosło, ale prognozy na obecny rok są inne: ma spaść o 2 mld m sześć. Nie ma się jednak z czego cieszyć. Oficjalnie tłumaczy się to oszczędnościami wynikającymi z ceny gazu, co i tak nie byłoby wyjaśnieniem optymistycznym. Jednak część spadku zużycia może wynikać z ograniczenia lub wręcz zawieszenia działalności przez gazochłonne biznesy – a to już dla gospodarki bardzo niebezpieczny sygnał.

Najbardziej znanym przypadkiem takiego działania, bo mającym wpływ na wiele innych branż, w tym na rolnictwo, było zawieszenie produkcji przez dwie firmy nawozowe: Grupę Azoty i Anwil (należący do Orlenu). Anwil – zapewne na polecenie polityczne – produkcję już wznowił, Grupa Azoty jeszcze nie (w momencie, gdy powstaje ten tekst). Jednak w tle cierpiały inne energochłonne biznesy, jak produkująca ceramikę firma

Cerrad, która zmuszona była zamknąć dwa zakłady i zwolnić ok. 350 osób, a na dodatek porzuciła zaplanowaną już poważną inwestycję, na którą miała otrzymać wsparcie unijne. Te pieniądze niestety już przepadły.

To jednak czubek góry lodowej. Jest bowiem cała masa mniejszych przedsiębiorstw, gdzie sens kontynuowania działalności zależy od ceny energii. Należą do nich np. huty szkła czy piekarnie. Tymczasem, gdy przedstawiciele partii rządzącej opowiadają o cenach energii, na ogół adresują swoje zapewnienia jedynie do konsumentów indywidualnych, zapominając o niechronionych przedsiębiorcach.

Na wypadek, gdyby w Polsce miało nie wystarczyć gazu dla wszystkich, powinna istnieć lista firm, które powinny być w niego zaopatrywane w pierwszej kolejności, a także lista podmiotów, którym zostanie on odcięty. Taka jest zresztą istota unijnego rozporządzenia w sprawie redukcji zużycia gazu w UE. Głośno było o tym, że Polska jest przeciwna obowiązkowym redukcjom – o naszym sprzeciwie zapewniała minister Anna Moskwa – ale potem sprawa ucichła. Tymczasem rozporządzenie zostało już przegłosowane i opublikowane w oficjalnym dzienniku urzędowym UE 5 sierpnia. Mówi ono m.in.: „Przy określaniu odpowiednich środków zmniejszających zapotrzebowanie i ustalaniu pierwszeń-

stwa poszczególnych grup odbiorców państwa członkowskie powinny rozważyć wykorzystanie środków określonych przez Komisję w swoim komunikacie z dnia 20 lipca 2022 r. zatytułowanym »Oszczędzanie gazu na bezpieczną zimę«. Państwa członkowskie powinny w szczególności rozważyć środki efektywne ekonomicznie, takie jak aukcje lub przetargi, za pomocą których mogą one zachęcać do zmniejszenia zużycia w sposób efektywny ekonomicznie. Środki wprowadzane na poziomie krajowym mogą również obejmować zachęty finansowe lub rekompensaty dla uczestników rynku, których to dotyczy». Wziąwszy pod uwagę, że sezon grzewczy zaczyna się za kilka tygodni, Polska powinna już wypracowywać odpowiednie mechanizmy, wydaje się jednak, że nic się w tej sprawie nie dzieje. Zapewne dlatego, żeby nie irytować wyborców.

Stan alarmowy, oznaczający konieczność obowiązkowego zmniejszenia zużycia gazu, ogłasza ostatecznie nie Komisja Europejska, jak to brzmiało w pierwszym projekcie przepisu, ale Rada UE na wniosek Komisji. W ostatecznej wersji rozporządzenia znalazło się też więcej furtek umożliwiających zmniejszenie obowiązkowej redukcji. Tyle że poza jedną – brak połączenia z europejskim systemem energetycznym (tak jak w przypadku choćby Cypru czy Malty) – żadne z tych zwolnień nie działa z automatu. Przesłanki do ich zastosowania państwo musi zgłosić KE, a ona weryfikuje, czy są spełnione. Polska prawdopodobnie nie musiałaby – z powodu spadku zużycia gazu względem okresu referencyjnego – stosować pełnej redukcji o 15 proc., ale skorzystanie z innych odstępstw oznacza już zdanie się na ocenę KE. A jakie są relacje Warszawy z Komisją – wiadomo.

ENERGETYCZNA HIPOKRYZJA

Dotychczasowa sytuacja naszego kraju opierała się na energetycznej hipokryzji – i być może znowu będzie się na niej opierać. Z przytupem doprowadziliśmy do zerwania kontraktu gazowego z Rosją, odmawiając Moskwie płacenia za gaz w rublach (faktem jest, że takiej klauzuli w naszej umowie nie było). Tyle że w konsekwencji musieliśmy kupować dokładnie ten sam rosyjski gaz, wracający do nas z Niemiec gazociągami jamalskimi, a dostarczany naszemu sąsiadowi przez Rosję za pomocą Nord Streamu 1. Rewers na rurociągu jamalskim był

warunkiem względnego zbilansowania się naszego zapotrzebowania, przy czym był to oczywiście gaz odpowiednio droższy niż ten kupowany bezpośrednio od Rosjan. Mówiąc prosto: kupowaliśmy ten sam rosyjski „krwawy” gaz, tyle że drożej. Ten gaz przestał do nas płynąć na początku września, kiedy Rosjanie zamknęli kurek na Nord Stream 1.

Zaledwie 26 sierpnia otwarto natomiast połączenie gazowe Polski ze Słowacją. Kilka dni temu premier Morawiecki zaczął przebiegać o przywróceniu lepszych relacji z Węgrami. Niewykluczone, że namacalnym tego świadectwem byłoby zaopatrywanie Polski, właśnie za pośrednictwem słowackiego interkonektora, w rosyjski gaz – tym razem nie z Niemiec, ale z Węgier. Budapeszt bowiem wciąż gaz rosyjski ma. Czy taki wariant jest realny i czy Węgry mają zgodę Gazpromu na odsprzedaż błękitnego paliwa – nie wiadomo.

Baltic Pipe, który miał nas uratować, maksymalną przepustowość osiągnie dopiero w przyszłym roku. Do niedawna wiadomo było, że już zakontraktowany gaz (w większości ze złóż dzierżawionych przez polskiego dostawcę) to mniej niż połowa całej przepustowości, która wynosi 10 mld m sześć. rocznie. Roczne opóźnienie zalicza duńska firma Ørsted, która miała dostarczać nam gaz ze złoża Tyra. Jednocześnie pytany o to niedawno w TVP pan premier enigmatycznie oznajmił, że Baltic Pipe jest zakontraktowany „w odpowiedniej wysokości”.

W ostatnich dniach pojawiła się informacja, że PGNiG podpisała trzy kolejne kontrakty na dostawy gazu przez nowy gazociąg, w tym jedną z francuskim Totalem. Nie wiadomo jednak, na jaką ilość gazu kontrakty opiewają, a tym bardziej na jaką cenę. Wygląda na to, że są to kontrakty ratunkowe, które mają nas zabezpieczyć choćby doraźnie przed deficytem gazu. Może się jednak okazać, że co prawda gaz jest, ale jego ceny zabijają firmy, nieobjęte przecież ochroną taryfową, którą cieszą się indywidualni użytkownicy.

Henryk Kaliś, prezes Forum Odbiorców Energii Elektrycznej i Gazu, skupiającego energochłonne firmy, mówił niedawno portalowi Business Insider: „Spodziewamy się katastrofy. Czeka nas lawina spektakularnych likwidacji, to nie ulega wątpliwości. Jakże są stawki energii teraz na giełdzie, to widzimy, a prognozy są takie, że ceny gazu do końca roku będą wysokie,

więc i ceny energii nie spadną. W takich warunkach energochłonni przedsiębiorcy nie mają żadnych szans. Katastrofa jest nieunikniona. To kwestia pierwszych trzech miesięcy przyszłego roku”.

Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz apelował do premiera Morawieckiego o objęcie sektora MŚP ochroną taryfową na podobnych zasadach jak odbiorców indywidualnych. Małe firmy, wykańczane cenami gazu i prądu, nie mają przecież rezerw, jak wielkie podmioty, z których mogłyby skorzystać. W tej sprawie na razie trwa cisza.

W ubiegłym tygodniu, gdy Rosjanie zakręcili Nord Stream 1, zapowiedzieli w zasadzie jasno, że go w najbliższym czasie nie odkręcą do pełnej przepustowości, pojawiły się informacje, że Polska zaczęła już zużywać swoje zmagazynowane rezerwy gazu. Na dowód tego wskazywano, że stan zapełnienia magazynów to już nie 100, ale 99 proc. Byłaby to bardzo zła wiadomość, bo co prawda magazyny były napełnione całkowicie, ale ich pojemność przy normalnym zużyciu zapewnia gaz na najwyżej kilka tygodni (oceny ekspertów wahają się od pół miesiąca do dwóch, w zależności od zużycia i pogody). PGNiG tym wieściom zaprzecza. Faktycznie, w ciągu kilku dni od pojawienia się tych wiadomości ilość gazu w magazynach się nie zmniejszyła i w chwili pisania tego artykułu nadal wynosiła 99 proc. Zwiększono natomiast dostawy do gazoportu w Świnoujściu.

W tej chwili batalia toczy się o to, czy gazu w ogóle wystarczy. Od rosyjskiego surowca uwolniliśmy się nie na swoich warunkach, bez przemyślenia, jakie będzie to miało dla nas skutki. Nawet jeśli gazu będziemy mieli dość, to jego ceny dla biznesu będą mordercze, a konsekwencją będzie prawdziwa rzeź przedsiębiorców. Odbiciem tej sytuacji były niedawno opublikowane rezultaty indeksu PMI (Purchasing Managers Index – wskaźnik zakupowy menadżerów), uznawanego za dobry wyznacznik przyszłej kondycji gospodarki.

W sierpniu wskaźnik dla Polski wyniósł zaledwie 40,9 pkt i był jednym z najgorszych polskich wyników w historii, w dodatku w wyraźnym trendzie spadkowym. W lipcu było to jeszcze 42,1. Trzy najlepiej wypadające państwa to Indie – 56,2 pkt, Szwajcaria – 56,4 pkt oraz na miejscu pierwszym Węgry – 57,8 pkt. Węgry wciąż korzystające z rosyjskiego gazu.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ostatnia taka zima Putina?

Podobno w biznesie szukać można tylko raz – pierwszy i ostatni.

Gdyby tak było naprawdę, to dni Rosji – a zwłaszcza Rosji Putina – byłyby właściwie policzone. Albowiem, cóż... po gazowym oszustwie na skalę rzadko spotykaną – wprost gigantyczną, po wystrychnięciu na dudka Niemiec i ich akolitów, czyli doprowadzeniu większości państw UE do zafundowania sobie przez nie – i to za własne pieniądze – pozycji ofiar szantażowanych teraz przez Kreml dostawami życiodajnego gazu ziemnego – miejsca dla współpracy z rosyjskim biznesem powinno zabraknąć na zawsze. Nie tylko w świecie zachodnim, choć tutaj głównie, lecz także w światach wschodnim, południowym i północnym.

Gdyby tak było, wystarczyłoby zatem, żeby Zachód przetrwał najbliższą zimę, nabierając doświadczenia, jak sobie radzić bez gazu i ropy naftowej z Rosji – szybko ucząc się oszczędzać energię i dywersyfikując źródła jej pozyskiwania, w tym znacznie zmniejszając tę jej część, którą pozyskuje z gazu – a przecież Zachód dlatego jest Zachodem, że to potrafi – by szanse Rosji na wznowienie kooperacji z państwami UE, i to w perspektywie co najmniej dziesięciu lat, spadły do zera.

Lecz – jak wiadomo – w realnym świecie wcale nie jest tak, że oszukać można tylko raz – pierwszy i ostatni. Ba, jest wręcz odwrotnie – na przekonanie się o tym w przypadku współpracy z Rosją nie musimy czekać nie tylko długich lat, lecz nawet długich

miesięcy, ponieważ przekonujemy się o tym już dziś. Czyż bowiem na tych, którzy tak ochoczo rzucili się na zakupy tego rosyjskiego gazu ziemnego i tej rosyjskiej ropy, których dostawy przestały płynąć do państw UE, podziału odstraszająco szantaż, do którego tegoż gazu ziemnego i tejże ropy użył niedawno – i wciąż używa – Putin? No przecież nie. W kolejce po rosyjskie surowce energetyczne cały czas ustawia się coraz dłuższa kolejka, do której dołącza kraj po kraju, na czele z paliwożernymi Chinami i Indiami.

Ale co tam Azja, co tam Afryka, co tam bardzo odległe od Ukrainy i Rosji, leżące na zachodnich krańcach naszego kontynentu państwa Europy, skoro przecież tuż-tuż, po sąsiedztwie, bo w Niemczech, które właśnie z tego powodu, że padły ofiarą owego gigantycznego gazowo-naftowego oszustwa Rosji, mierzą się z jednym z największych kryzysów energetycznych w swej historii, właściwie nie milkną głosy, by „dać Rosji szansę” powrotu do – w zasadzie – business as usual. Takie jak choćby głos Wolfganga Kubickiego, było nie było – wiceszefa niemieckiego Bundestagu, reprezentującego w nim współrządzącą FDP, który całkiem niedawno uznał, że „nie widzi powodu, by nie otwierać Nord Stream 2”.

Tak, wiem, to mocno irytujące. Ale czy z tego powodu powinniśmy tego po prostu nie przyjmować do wiadomości i zupełnie to ignorować, a zatem nie brać pod uwagę przy planowaniu naszych kolejnych ruchów? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gospodarka przebita szpadą

W jednym z kultowych komiksów z lat 80. o kosmicznym agencie Funkym Kowalu (Macieja Parowskiego, Jacka Rodka i rysownika Bogusława Polcha) – „Sam przeciw wszystkim” – jest scena, w której do przebitego na wylot szpadą i przyszpilonego nią do oparcia fotela ewidentnie martwego negatywnego bohatera zwraca się jego spanikowany ochroniarz: „Szefie! Szefie, jak pan się czuje?!”.

Masowo padają składy węgla. Budowlanka praktycznie stoi. Ceny w sklepach odlatują w kosmos. Tymczasem w Karpaczu dyskusje są wciąż na etapie: „Owszem, notujemy problemy, ale nie przesadzajmy”

Przypomina to sytuację, w jakiej jest dzisiaj polska gospodarka. Właściwie wszyscy widzą, że jest źle. Ba, jest nawet bardzo źle. Dramat wynikający głównie z cen energii, a także z Polskiego Ładu sięga najróżniejszych branż – np. uprawy szklarniowej warzyw (ogrzewanie węglowe) czy prasy (gaz wykorzystywany do suszenia gazet). Masowo

padają składy węgla – którego zresztą nadal nie ma, bo to, co państwowe firmy sprowadzają z zagranicy, nadaje się do palenia w piecach może w 10 proc. Budowlanka praktycznie stoi. Ceny w sklepach odlatują w kosmos. Tymczasem dyskusje w takich gremiach jak Forum Ekonomiczne w Karpaczu są wciąż na etapie: „Owszem, notujemy pewne problemy, łatwo nie jest, ale nie przesadzajmy”.

Otóż – nie. Jest dramatycznie, tyle że na razie jesteśmy wciąż na etapie pierwszych skutków tego, co w dużej mierze sami sobie zgotowaliśmy. W pełni odczuwamy to za kilka miesięcy. Fala niezadowolenia, które wtedy zaleje Polskę, może jesienią przyszłego roku zmieść obecną władzę. Wybory będą wprawdzie po wakacjach, które zawsze są okresem relaksu i uspokojenia, ale tym razem może być inaczej, gdy okaże się, że już mało kogo na ten wakacyjny relaks stać.

Nasze nieszczęście polega na tym, że przekonującej alternatywy brak. Podczas forum w Karpaczu spotkałem jednego z najprytmniejszych posłów Platformy Obywatelskiej. Podszedł do mnie, gdy rozmawiałem z ekspertem do spraw energii. Naturalne było zatem pytanie pana posła, kto będzie się w PO po ewentualnym przejściu władzy zajmował energetyką. Poseł rozłożył szeroko ręce w geście bezradności. Znikąd nadziei. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 732a2ad455

Akcja ratowania Odry i wylawianie śniętych ryb,
Marwice, 5 sierpnia 2022 r. FOT. SEBASTIAN NOWIK/REPORTER

Złote algi w Odrze



Andrzej Solecki

Zakwit tzw. złotych alg stał się dla wielu okazją do utyskiwania na sprawność polskich instytucji odpowiedzialnych za monitoring środowiska i zarządzanie wodami. Wskazywano na obecność rtęci, uranu, a nawet cyjanku, wynikającą zapewne z zaniedbań rządu. Tymczasem okazało się, że winowajcą jest *Prymnesium parvum*, który jest jednym z wielu mikroorganizmów wytwarzających toksyny i mogących powodować szkodliwe zakwity glonów (Harmful Algal Blooms)

Najbardziej znanym zjawiskiem tego typu jest tzw. czerwony przyływ (red tide), który powodowany jest przez zakwit bruzdnic (*Dinoflagellata*). Organizmy te podobnie jak *Prymnesium parvum* mają zdolność wytwarzania substancji odżywczych (tak jak rośliny), ale

mogą także odżywiać się heterotroficznie innymi organizmami, tak jak zwierzęta. Czerwony przyływ często występuje u wybrzeży Florydy, a związane z nim substancje toksyczne są szkodliwe także dla ludzi. Szkodliwy wpływ może ujawniać się nawet przy wdychaniu aerozolu morskiego. Przemijającymi objawami zatrucia są:

kaszel, kichanie i łzawiące oczy. Zapobiegawczo działają maski z filtrem i leki przeciwhistaminowe. Toksyny wytwarzane przez bruzdnice mogą gromadzić się w małżach i ostrygach, powodując u ludzi paralityczne zatrucie skorupiakami, które może być śmiertelne. Niektóre bruzdnice mają zdolność świecenia w ciemności i przypadki takich świecących wód znane są z wybrzeży Portoryko, Florydy i stanu Maine.

MASOWE WYMIERANIE

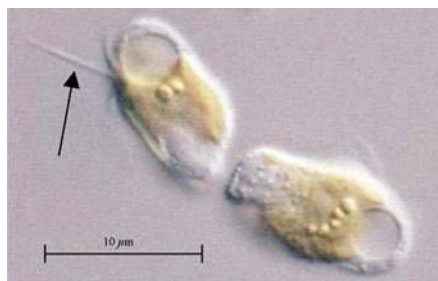
W przypadku „złotych alg” nie stwierdzono dotychczas szkodliwego wpływu ich toksyn na ssaki i ptaki, chociaż nie można tego wykluczyć i lepiej zachować ostrożność. Prawdopodobne zakwity „złotych alg” opisano po raz pierwszy w Holandii w roku 1920. Udowodniony opis pochodzi z roku 1937 z laguny w Bembridge na wyspie Wight. W latach 40. ubiegłego stulecia spowodowały one poważne problemy w izraelskich hodowlach ryb.

W USA problem z ich zakwitami znany jest od połowy lat 80. ubiegłego stulecia. W roku 1985 „złote algi”, kwitnąc na 660-kilometrowym odcinku rzeki Pecos (dorzecze Rio Grande), doprowadziły do śmierci 110 tys. ryb. Od początku obecnego stulecia coroczne zakwity „złotych alg” pojawiały się w rzece Kolorado, a także w Stanach: Nowy Meksyk, Wyoming, Karolina Północna i Południowa, Georgia, Arkansas i Alabama. W roku 2001 zimowy zakwit na rzece Brazos, który rozpoczął się w zbiorniku Possum Kingdom, rozprzestrzenił się w dół rzeki do zbiornika Granbury, a następnie w końcu do zbiornika Whitney, powodując po drodze masowe wymieranie ryb. Zbiorniki te przez następne siedem lat doświadczały powtarzających się zimowych zakwitów i wymierania ryb. W samym ośrodku hodowli Dundee State Fish Hatchery w roku 2001 „złote algi” zabiły ponad 5 mln ryb. W zbiorniku Whitney stwierdzono, że dopływy świeżych bogatych w składniki odżywcze wód powodowały zanikanie zakwitu.

W Europie tragiczny okazał się rok 1989, kiedy w zachodniej Norwegii ofiarą zakwitu „złotych alg” padło 750 ton łososia i pstrąga z tamtejszych hodowli w Sandsfjorden. Powtarzające się zakwity doprowadziły do poważnych problemów i redukcji hodowli w tym rejonie. Próba zwiększenia produkcji spowodowała w roku 2007 śmierć 135 ton ryb na skutek pojawienia się kolejnego zakwitu. W Anglii masowa zagłada ryb na skutek zakwitów „złotych alg” miała miejsce w Norfolk Broads wiosną 2015 r. i od tego czasu zakwity te pojawiają się wielokrotnie. Problem ten znany jest także z Szkocji, Niemiec, Bułgarii, Hiszpanii, Finlandii, Danii, ze Szwecji oraz z byłego Związku Sowieckiego i Chin. Nawet oddalona od innych kontynentów Australia padła ofiarą „złotych alg”.

Nie jest znany dokładnie mechanizm rozprzestrzeniania się „złotych alg”. Być może jest on ułatwiony przez zarybianie związane z przenoszeniem wód z odległych zakażonych basenów, przemieszczaniem się łodzi rybackich i rekreacyjnych, przenoszeniem przez ptaki migrujące, a nawet transportem powietrznym w czasie silnych huraganów i trąb powietrznych.

Poważnym atutem „złotych alg” jest ich zdolność do życia w wodach prawie słodkich, nieznacznie zasolonych, zawierających od 0,5 promila soli, a także w typowych słonych wodach morskich o zasoleniu 35 promila. Tolerują one



„Złote algi”, *Prymnesium parvum*

FOT. SCHONNA R. MANNING, JOHN W. LA CLAIRE II/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

również wahania temperatur od 10 do 35 st. C, przy czym optymalne warunki ich rozwoju to zasolenie rzędu 22 promili i temperatura 27 st. C. Wydzielane przez „złote algi” toksyny eliminują ich konkurentów, a zdolność heterotroficznego odżywiania się umożliwia im odżywanie się zabitymi mikroorganizmami. Zakwity „złotych alg” i uwalnianie toksyn zazwyczaj powodowane są przez pojawienie się stresu w ich środowisku. Może być to zmiana stosunku zawartości fosforu i azotu lub ogólna zmiana zasolenia i temperatury wody. Ułatwienia w dostępie do składników odżywczych zmniejszają skalę zakwitu złotych alg i jego toksyczność.

NATURALNI WROGOWIE

Masowe zakwity glonów w przeszłości naszej planety znane są geologom, a ich ślady możemy obserwować w skałach osadowych Karpat powstałych ok. 30 mln lat temu.

Na szczęście istnieją naturalni wrogowie „złotych alg” i są nimi niektóre wirusy, bakterie glonobójcze i część zooplanktonu. Niektóre orzęski, wrotki i widłonogi przeżywają zakwity „złotych alg” i mogą je nawet konsumować. Jak wykazano na przykładzie zbiornika Whitney, powstrzymanie zakwitu „złotych alg” jest też możliwe na skutek zwiększonego dopływu niezakażonych wód bogatych w składniki odżywcze.

Ogólne zasolenie Odry nie miało prawdopodobnie decydującego wpływu na pojawienie się zakwitu. Zasolenie to istnieje od dziesiątek lat i związane jest głównie z dopływem wód kopalnianych z Górnego Śląska, a w dolnym biegu z wodami z KGHM. Nawet pewien wzrost zasolenia wywołany suszą mieścił się zapewne w granicach bezstresowego wzrostu tych mikroorganizmów. Przyczyną zakwitu był po pierwsze sam fakt pojawienia się tych glonów w Odrze, który wynikać mógł z przyczyn zarówno naturalnych,

np. migracja ptaków wodnych, jak i antropogenicznych, przypadkowych, takich jak przemieszczanie się jednostek pływających lub zarybianie narybkiem pochodzącym z wód zakażonych. Nie można wykluczyć celowego działania przestępczego. Dodatkowym czynnikiem było pojawienie się stresującej sytuacji w zakresie dostępu do niezbędnych do życia pierwiastków, takich jak azot, fosfor, potas i inne. Dodatkowo specjalistom znane są powszechnie używane w przemyśle substancje promujące rozwój tych glonów.

Sztuczne wywoływanie zakwitów glonów było badane przez różne ośrodki międzynarodowe od dziesięcioleci. Chodziło o zwiększenie produktywności wód oceanów i pochłaniania dwutlenku węgla z atmosfery. Bardzo ciekawe wyniki w tym zakresie uzyskał zespół w składzie: Frank Gervais i Ulf Riebesel z Instytutu Alfreda Wegenera (Bremerhaven) oraz Maxim Y. Gorbunov z University of New Jersey, który wzbogacał wody oceaniczne w Antarktyce w żelazo, co doprowadziło do intensywnego wzrostu fitoplanktonu.

KONIECZNY CIĄGŁY MONITORING

Część komentatorów widzi możliwość sprowokowania zakwitu przez spuszczenie wody ze zbiorników przykopalnianych. Otwiera to szerokie pole do spekulacji, jakie ilości wody i o jakim składzie chemicznym mogły wywołać tak piorunujący efekt. Nie ulega wątpliwości, że osoby dysponujące odpowiednią wiedzą o fizjologii „złotych alg” i składzie chemicznym wód odrzańskich powinny móc określić, jakie substancje mogły być kluczowe do wywołania zakwitu. Skala tego zjawiska określanego przez część „ekologów” jako „drugi Czarnobyl” nie wydaje się większa od wspomnianych powyżej masowych wymierań ryb w kontrolowanych warunkach akwakultur norweskich, które nie zyskały takiego medialnego rozgłosu. Niestety, smutne doświadczenia europejskie i amerykańskie wynikające z powtarzalności tego zjawiska wskazują, że sytuacja może się powtarzać i niezbędny jest ciągły monitoring podstawowych parametrów nadszyczych rzek, budowa jazów utrzymujących poziom wody w rzece i ułatwiających kontrole jej natlenienia oraz zbiorników retencyjnych, które umożliwiają gwałtowne przepłukiwanie stref zakwitu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem specjalizującym się w naukach o Ziemi na Uniwersytecie Wrocławskim.

TEST „DO RZECZY”: PROJEKTOR EPSON EF-12

Znakomita jakość wyświetlanego obrazu, dobry dźwięk, kompaktowe rozmiary oraz prosta obsługa – to największe zalety miniprojektora laserowego firmy Epson.

Elegancki, czarny projektor, stylizowany nieco na gadżet w stylu retro, bez trudu spełnia wymogi stawiane przed urządzeniami przenośnymi: jest stosunkowo niewielki (17,5 x 17,5 x 13,5 cm) i waży tylko 2,1 kg. Dzięki temu testowany model może z powodzeniem pełnić funkcję centrum domowej rozrywki, a także nadaje się, aby zabrać go do znajomych na pokaz zdjęć z wakacji lub na biznesową prezentację.

Instalacja i obsługa są banalnie proste. Ostrość ustawia się automatycznie (można też niaby własnoręcznie, ale automat radzi sobie bardzo dobrze). Szybko i łatwo można się też podłączyć do sieci wi-fi. Wbudowany system Android TV umożliwia korzystanie z różnych serwisów streamingowych. Dołączony w zestawie pilot ma zaś specjalne przyciski, przyspieszające uruchomienie takich serwisów jak YouTube, Netflix lub Google Play.

Obraz można wyświetlić praktycznie na dowolnej powierzchni: suficie, ścianie etc. Jakość obrazu jest bardzo dobra. Obraz jest ostry, ma bardzo ładne, żywe kolory oraz głębokie czernie. Współczynnik kontrastu wynosi 2500000:1. Do wyboru jest kilka trybów wyświetlania obrazu,



dzięki którym można łatwo dostosować sposób wyświetlania treści do tego, jaki film zamierza się oglądać. Natywna rozdzielczość obrazu to pełne Full HD.

Również jakość dźwięku wydobywającego się z tego małego czarnego pudełka robi duże wrażenie. Głośniki Yamahy sprawdzają się znakomicie i jeśli ktoś nie ma zbyt dużego budżetu na budowę kina domowego, to z powodzeniem mogą zastąpić dobry zestaw audio do czasu, gdy w domu pojawią się nowe zaskórniaki.

Wady? Podstawowy minus to brak możliwości zasilania z baterii. Ten projektor można więc wziąć pod namiot pod warunkiem, że na polu namio-

towym będzie dostęp do tradycyjnego gniazdka. Najlepiej zaś – jeśli chce się w jesienne wieczory organizować pokazy filmowe dla rodziny i sąsiadów na świeżym powietrzu – trzymać się ogrodu i domowego przedłużacza.

Druga wada: sporo wyższa mogłaby być jasność maksymalna (w tym modelu nominalna wartość to 1000 lumenów). Aby w dość jasnym pomieszczeniu – bez zasłaniania okien – cieszyć się przyzwoitej jakości obrazem, raczej nie powinno się próbować przekraczać wielkości 80 cali. I tak dochodzimy do wady trzeciej: w projektorze nie ma funkcji zoom, więc wielkość obrazu (o przekątnej od 30 cali do 150 cali) można dostosować, fizycznie przybliżając lub oddalając projektor od ściany (ekranu etc.). Czwartą minus: w zestawie nie ma żadnego pokrowca do przenoszenia, szkoda. I wreszcie piąta wada: projektor nie nadaje się za bardzo dla graczy, a zwłaszcza dla tych, którzy liczą na krótki czas reakcji.

Mimo tych minusów Epson EF-12 to nadal jeden z najlepszych dostępnych na rynku przenośnych modeli w kategorii urządzeń do 5 tys. zł. Za testowany projektor trzeba zapłacić 4389 zł (w promocji można dokupić jeszcze mobilny ekran za złotówkę). Stosunek ceny do jakości wypada więc całkiem nieźle. ©©

Jacek Przybylski



LEICA CINE 1

Dobrze znana z produkcji sprzętu do fotografii firma Leica wchodzi na rynek projektorów. Laserowy model Cine 1 to projektor ultrakrótkiego rzutu (UST) z natywną obsługą rozdzielczości 4K. Urządzenie ma być dostępne w dwóch wersjach. Pierwsza z odległości 15 cm ma wyświetlać obraz o przekątnej 80 cali i jasności 2100 lumenów, a druga z 30 cm wyświetli obraz o przekątnej 100 cali o jasności 2500 lumenów. Producent szacuje żywotność lampy na 25 tys. godzin. Obie wersje mają wbudowane głośniki zgodne ze standardem Dolby Atmos i powinny pojawić się w sprzedaży w Europie w drugim kwartale przyszłego roku. Cena pierwszej wersji szacowana jest na 6,9 tys. dol. (32,7 tys. zł), a drugiej na 7,9 tys. dol. (37,5 tys. zł).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DUŻY EKRAN TUŻ PRZED NOSEM

Lenovo Glasses T1. Tak nazywa się model okularów rozszerzonej rzeczywistości. Producent zachwala nowy gadżet jako prywatny, duży ekran do noszenia tuż przed nosem. Niewielkie urządzenie przypominające klasyczne okulary przeciwsłoneczne ma wbudowane dwa ekrany microOLED, każdy o rozdzielczości 1920 x 1080, a także głośniczki zapewniające ponoć całkiem niezłe audio. Dzięki niemu można niczym w kinie oglądać filmy na „dużym ekranie”, podróżując samolotem, pracując w niewielkim boksie w open space lub siedząc w ulubionej kawiarni. Gadżet współpracuje z urządzeniami mobilnymi z systemem Android oraz iOS, a także z laptopami z Windowsem lub systemem MacOS. Bateria na jednym ładowaniu ma pozwolić na cztery godziny pracy. Debiut w Chinach planowany jest pod koniec tego roku, a na pozostałych rynkach w roku 2023. Cena nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona. ©©

Jacek Przybylski





ANNA POPEK Z D. CHRZUZIŁ
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZIŁ

SIOSTRY GOTUJĄ

Rogal i kawa

Na 12 września przypada Święto Wojsk Lądowych obchodzone na pamiątkę wiktorii wiedeńskiej 1683 r. Tego właśnie dnia wojska polsko-austriacko-węgierskie pod dowództwem Jana III Sobieskiego rozgromiły oblegającą Wiedeń wielką armię imperium osmańskiego.

Sobieski ochronił cywilizację europejską przed zagładą, osiągnął spektakularny sukces militarny i... wzbogacił europejską kuchnię, dając podwaliny pod tak popularne teraz kawiarne. Podwaliny leżały w workach w zdobytym obozowisku wroga i początkowo sądzono, że jest to pokarm dla wielbłądów. Jednak szpieg, dyplomata i żołnierz królewski Jerzy Franciszek Kulczycki, który z racji swej profesji był w tureckich domach i znał tamtejszą kulturę, wiedział, „z czym się to je”. Znał pobudzające działanie kawy. Dlatego też m.in. worek z kawą stał się jego łupem wojennym.

Można się spierać o to, czy Sobieski dobrze wykorzystał zwycięstwo, bo przecież nieco ponad 100 lat później tak szlachetnie obroniona Austria ochoczo wyrwała kawałek terytorium swemu dawnemu wybacielowi. Jednak zaraz po zwycięstwie król Jan III tak pisał do swej żony Marysienki: „Bóg [...] dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały”. Jednak w zasadzie tylko na wielką sławę mogła liczyć Polska. Oprócz 80 wozów zbrojeń, namiotów wojskowych i zdobyczy, jakie Sobieski zabrał z wojny i przywiózł do kraju, od cesarza Leopolda dostał... worek ziemniaków! Wiadomo, były wtedy cenne...

Król, jako dobry gospodarz, natychmiast kazał zasadzić ziemniaki swoim ogrodnikom w ogrodach pałacu w Wilanowie. Na początku

traktowano je jako roślinę ozdobną, gdyż osoby z wysokich sfer nie jadały zbyt roślinożernych bulwiastych, jednak król tak bardzo je polubił, że podawano mu je w całości pieczone właściwie do każdego posiłku.

Ale wracamy do kawy, bo dobrze we współczesnych kawiarniach i barach komponują się z nią croissanty. To ciastko w formie półksiężyca narodziło się w Austrii i według niektórych podań łączone jest właśnie z odsieczą wiedeńską. Miało uczcić zwycięstwo i wielki sukces wojsk chrześcijańskich. Ponoć kawę z rogalikiem serwował w swojej pierwszej kawiarni Pod Błękitną Flaszka odkrywca kawy dla Europy – Kulczycki. A dlaczego croissanty stały

się ulubionym smakołykiem Francuzów? Otóż ponoć królowa Maria Antonina, będąc z wizytą w swoim rodzinnym Wiedniu, tak bardzo rozkochała się w ich smaku, że postanowiła zabrać je ze sobą do Francji.

Napój, który dzisiaj proponujemy, działa doskonale na samopoczucie, ponieważ zarówno kawa,

jak i czekolada mają udokumentowane działanie antydepresyjne. Proponujemy spożywać raczej z croissantem niż z ziemniakami.

Przepis na kawę po wiedeńsku z bitą śmietaną i czekoladą

- 150 ml mocnej kawy
- 50 ml mleka
- 2–3 kostki czekolady mlecznej lub ciemnej gorzkiej
- bita śmietana
- kakao do posypania

Mleko podgrzewamy z dodatkiem kostek czekolady tak, aby składniki się połączyły, przelewamy do filiżanki, dodajemy napar z kawy. Na wierzch dajemy bitą śmietaną i posypujemy kakao. ☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Rok w ogrodzie

Proszę pana, czy one pachną? Czy długo postoją? – te dwa podstawowe pytania słyszę, kupując kwiaty u pana Marka na sobotnim targu w Konstancinie. Pan Marek, w odróżnieniu od większości warszawskich kwiaciarzy, ma towar tzw. nieoczywisty. Sezonowy, rzadziej rozpoznawany i kupowany. Klienci częściej proszą o zawinięte w celofan bukiety róż. Omijają mniej znane, boją się nieznanymi nazwami. A przecież są piękne: dziurawiec, czosnek, koniczyzna, śniedek, iksja.

Teraz, w końcówce lata, królują mieczyki. Różnokolorowe, na swoich – zdawałoby się – niepotrzebnie długich łodygach, wymagają dużego wazonu i niestety „nie postoją długo”. Korzystajmy z ich uroku dopóty, dopóki są, w dodatku tanie.

W mniejszych kubekach pan Maciek ma astry, cynie, dalie. Te już dla amatorów, przeciętny klient woli eustomy, śliczne kwiaty, których urok zakłóca tylko to, że przez większość roku można je mieć w wersji szklarniowej. Prawdziwy kwiat ma to do siebie, że trwa krótko, nie tylko w wazonie, lecz także w ogrodzie. Ma swój sezon, potem koniec. W ogrodach teraz dogasają jeszcze rozkoszne pachnące floksy, ale te nie nadają się do wazonu. Trzeba się nimi cieszyć w naturze, jeśli ktoś potrafi.

Jesień, jak w wierszu Tuwima, przywita nas chryzantemami. I to będzie jednocześnie pożegnanie z kwiatami ogrodowymi. Przyjęło się, że chryzantemy nadają się tylko na cmentarz, nie widziałam, żeby ktoś miał je w domu w wazonie. Po chryzantemach nieodwołalnie koniec. Raczej przerwa aż do Bożego Narodzenia, kiedy kwiaciarnie zaczerpią się poinsejciami. Osobiście nie znoszę tego komercyjnego symbolu świąt, który przyjął się u nas w latach 90. Kojarzy mi się z dekoracją w amerykańskim centrum handlowym.

Zimą przechodzę na altremerie. Ten cudownej delikatności kwiat rodem z Ameryki Południowej widziałam w naturze na Sri Lance, ale też niedawno w ogrodzie u znajomych na Warmii. Okazuje się, że można je uprawiać u nas. Tyle że ten anemiczny szklarniowy, który kupuję w zimie i który przeżył drogę z Chile, via

Holandia, nie ma

wiele wspólnego z ogrodowym – dorodnym, o rozrośniętych zdrowych łodygach i bujnych różnokolorowych kwiatach. Cóż, zimą jesteśmy zdani na te cuda: róże z Kenii, eustomy z Chile, gerbery i goździki z rodzimych szklarni.

Trzeba dotrwać do marca. Pod koniec lutego zaczną się tulipany, za chwilę żonkile.

I potem szaleństwo kwiatowe aż do jesieni. ☺





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kanały Ogińskiego

Kanał Wielki Piński i Kanał Królewski to imponujący przykład myśli inżynierijnej i geopolitycznej dawnej Rzeczypospolitej. Oba powstały z inicjatywy jednej z niezwyklej postaci ówczesnych czasów – Michała Kazimierza Ogińskiego, wielkiego magnata, jednak w przeciwieństwie do targowiczian i zdrajców, takich jak Rzewuski czy Branicki, patrioty, naukowca, muzyka; człowieka wszechstronnie uzdolnionego.

Ten wojewoda wileński, cześnik i pisarz polny litewski, starosta ryczywolski, a od 1768 r. hetman Wielkiego Księstwa, członek stronnictwa patriotycznego i Rady Nieustającej, podjął myśl połączenia ze sobą głównych dróg wodnych Rzeczypospolitej – Wisły, Niemna i Dniepru – poprzez wykopanie kanałów na terenach błotnistego Polesia. Jako pierwszy zbudował zresztą trakt pińsko-wołyński, czyli drogę biegnącą na usypanych groblach przez błota, skracającą drogę pomiędzy Koroną a Litwą.

Kolejnym jego dziełem był kanał łączący Jasiołdę ze Szczarą na północny zachód od Pińska, czyli dwa dorzecza ogromnych rzek – Dniepru (poprzez Prypeć) i Niemna, do którego wpadała wspomniana Szczara. Kanał zbudowany został w większości ze środków własnych hetmana i na jego cześć nazwany był później kanałem Ogińskiego (wcześniej Kanałem Pińskim lub Portem Ogińskiego). Składa się z dwóch części wychodzących z Jeziora Wyganowskiego, z których południowa biegła do Jasiołdy, natomiast północna, znacznie krótsza – do Szczary. Jezioro jako położone najwyżej było głównym rezerwuarem wody koniecznej do utrzymania odpowiedniego jej poziomu na śluzach. Tych zaś na spadku w stronę Jasiołdy było kiedyś dziewięć, natomiast na odcinku zmierzającym ku Szczarze



FOT. DORCZYN.PUBLICZNA

– jedna. Przy miasteczku Telechany znajdowały się warsztaty skutnicze produkujące statki zdolne do przewozu towarów.

Kanał na dzisiejsze warunki nie był zbyt duży – miał zaledwie metr głębokości, natomiast szerokość dochodziła do ok. 8 m. Na warunki żeglugowe końca XVIII w. było to jednak w zupełności wystarczające. Tratwy potrzebowały ok. 10 do 20 dni na przepłynięcie kanału, natomiast barki pięć, a łodzie zaledwie trzy dni. Wiele statków ciągnęły konie, dla których na obu brzegach kanału przygotowano wygodne drogi.

Budowa kanału rozpoczęta została w 1765 r. i postępowała szybko, skoro już w 1768 r. sejm jako nagrodę polecił wystawić Ogińskiemu pomnik na zamku w Wilnie, nadał mu też w dożywocie królewskiej Myszkowce i Łohiczyn. Pozwolił pobierać myto po 8 zł od wiośła lub „sprychy”, nałożył jednocześnie obowiązek udrożeń i utrzymywania kanału w stanie zdatnym do żeglugi. Kanał Ogińskiego został zamulony i zapomniany po upadku Rzeczypospolitej. Dopiero po roku 1800, po śmierci budowniczego, rząd carski zdecydował o oczyszczeniu go i przygotowaniu do spławu.

Drugim wielkim dziełem Ogińskiego i jego współpracownika Mateusza Butrymowicza był kanał łączący dorzecze Wisły z Dnieprem – zwany Królewskim, a w XIX w. Kanałem Muchawieckim. Jego budowę rozpoczęto w 1775 r., zakończono zaś w 1783 r. Znacznie okazał się niż Kanał Ogińskiego, jak podaje Gloger: „Jest tak szerokim, że po nim wygodnie chodzić i mijać się mogą suzaleje”, czyli prawdopodobnie skutki do transportu towarów. Przebiegał zaś od rzeki Muchawiec pod Kobryniem aż do Piny wpadającej do Prypeci. Już po zakończeniu budowy stał się drogą do spławiania wielu towarów – miód, воск, suszone ryby i grzyby, a także łój i drewno z Polesia mogły wreszcie docierać do Warszawy, Torunia i Gdańska.

Kanał Królewski, obecnie zwany Kanałem Dniepr-Bug, jest dziś o wiele szerszy i dostępny dla statków niż częściowo zarośnięty i zasypyany Kanał Ogińskiego. W XIX w. został rozbudowany przez Moskali, którzy chcieli utrzymać połączenie wodne pomiędzy Morzem Czarnym a Bałtykiem. W czasach II Rzeczypospolitej kanał był utrzymywany w stanie zdolnym dla żeglugi, gdyż miał strategiczne znaczenie. To właśnie tutaj, w Pińsku i na Pinie, działała Flotylla Pińska, od 1931 r. Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej, która miała duże znaczenie w planach obronnych Polski przed bolszewicką Rosją.

Kanały Królewski i Ogińskiego były częścią ogromnego i niestety niezrealizowanego do końca planu modernizacji I Rzeczypospolitej, podjętego już po pierwszym rozbiórze, który znacząco zmienił sieć komunikacyjną Korony i Litwy. Podjęte jak zwykle za późno, są pamiątką tego, jak mogłyby wyglądać dawne Korona i Litwa, gdyby uniknęły rozbiorów i zniszczenia państwa w 1795 r. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ursula spłascza

Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła, że będzie wypłasczać krzywą poboru energii w szczytach konsumpcji. Przypomina to starą obietnicę dotyczącą wypłasczania krzywej zakażeń w czasach covidowych. Pora więc przypomnieć, o co chodziło w COVID, a znajdzie się kilka ostrzeżeń.

W COVID chodziło o strategię hamowania transmisji wirusa poprzez izolowanie społeczeństwa, co miało wirusa spowolnić. Od początku wszyscy mówili i wiedzieli, że wirus jest mocno zakaźny, ale mało śmiertelny. A więc była ogólna świadomość, że zakażą się praktycznie wszyscy, chodziło tylko o rozłożenie w czasie przypadków ciężkich, by wytrzymała ich napływ nieprzygotowana służba zdrowia. Taka strategia ma już teraz, po badaniach, dwa znane aspekty. Po pierwsze – nie powstrzymała wirusa, ale „za to” spowodowała potężny dług zdrowotny, zapaść gospodarczą małych biznesów oraz wszelkie patologie społeczne, wynikające z zaniku relacji społecznych, zwłaszcza wśród młodzieży.

Po drugie – strategia spłasczania krzywej okazała się zaprzeczeniem religii zero-COVID, czyli utrzymywania obostrzeń dopóty, dopóki ostatni zakażony nie zniknie z powierzchni Ziemi. No bo skoro wiadomo, że większość się zakaży i że wirus będzie z nami na długo, to po co walczyć do ostatniego covidowego Mohikanina?

Zobaczymy, jak pani Ursula będzie spłasczać krzywą kon-

sumpcji energii w jej pikach. Mamy dwa wyjścia – szwajcarskie i brukselskie. Najpierw szwajcarskie. Wiszą już tam przepisy na zimę mówiące o tym, że za ogrzewanie swego mieszkania powyżej 19 st. C można pójść do więzienia na okres do trzech lat. Jestem ciekaw, jak to będzie sprawdzane. Wersja brukselska jest subtelniejsza – po prostu energia w okresach pików poboru będzie wyłączana.

Dla mojego pokolenia dziadków to nie pierwsza. Młodzież nie wie, co to jest dwudziesty stopień zasilania, a my wiemy. Da się znieść, ale nie dla młodych, bo... Internet nie działa. Zaletą jest to, że nagle gaśnie światło, co prawdopodobnie przyczyniło się do piku demograficznego mego pokolenia.

Wariantów na spłasczanie jest też sporo. Może zobaczymy wersję szwajcarską, bo w kwestii donoszenia na sąsiadów czasy pandemii odkryły zadziwiający poziom troski o dobro wspólne. Było to zdrowie publiczne, teraz będzie publiczne ciepło. A może wszystkich zganiać do ogrzewalni, jednego miejsca, gdzie się porządnie napali, bo inaczej to ileż energii się marnuje na jednego gościa we własnym mieszkaniu?

Bruksela coś wymyśli. Będziemy spłasczać. Oby nie zwoje mózgowe, tak jak w pandemii, która notabene zawsze może wrócić. Nie jestem nawet ciekaw połączenia 18 st. C w mieszkaniu z sezonem grypowym, kiedy słynne testy PCR znowu będą mylić sezonową gripę ze strasznym COVID. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Polska „100 lat za Murzynami”

Postawa ministra Krzysztofa Szczerskiego, stałego przedstawiciela Polski przy ONZ, w sprawie rezolucji promującej aborcję, wpisuje się w cały ciąg podobnych historii. Jest przykładem koniunkturalizmu i polityki białej flagi. To, że w obronie cywilizacji łacińskiej, a ściślej – godności człowieka i prawa do życia, staje dziś Nigeria reprezentująca 30 państw afrykańskich, urasta do rangi symbolu.

Owszem, Krzysztof Szczerski, reprezentując Polskę, nie głosował za przyjęciem rezolucji promującej aborcję. Natomiast, jak wiemy m.in. z publikacji portalu DoRzeczy.pl i Instytutu Ordo Iuris, Polska od początku popierała projekt zapisu, nie zgłosiła poprawek i nie poparła sprzeciwu Nigerii. Niejednoznaczna postawa przedstawiciela Polski jest de facto przyzwoleniem i sytuuje nasz kraj w głównym nurcie ideologicznych antychrześcijańskich ideologii.

Pamiętam kilka lat temu mój wywiad z prezydentem Andrzejem Dudą. Gdy zapytałem go, dlaczego do tej pory nie wystąpił z projektem wypowiedzenia konwencji stambulskiej, prezydent odpowiedział, że najlepiej nie stosować jej zapisów. A przecież skoro Polska podpisała konwencję, to winna ją wdrożyć na różnych szczeblach, a jeżeli nie – to wypowiedzieć. Prawo o traktatach przewiduje bowiem takie rozwiązanie. Prezydent uparcie powtarzał, że po prostu najlepiej jej nie stosować.

Trzecia historia dotyczy zawetowania nowelizacji ustawy o prawie oświatowym zwanej „lex Czarnek”. Przypomnijmy – projekt miał na celu ochronę przed inwazyjną, permissywną edukacją seksualną. Nowelizacja polegała na tym, że wszelkie zewnętrzne zajęcia miały być zgłoszone z pełnym scenariuszem, materiałami wideo i pomocami naukowymi. Szkoła, w myśl projektu, była zobowiązana dokładnie informować rodziców o tym, co zawierają zajęcia. Kurator natomiast miał uprawnienia, aby wydać na nie zgodę lub nie. I wtedy do Pałacu Prezydenckiego przyszły przedstawicielki skrajnie feministycznych, proaborcyjnych organizacji i zostały przyjęte przez Agatę Kornhauser-Dudę. O spotkanie z prezydentem zabiegały również organizacje rodziców zrzeszonych, by chronić dzieci przed seksualizacją. Niestety, prezydent ani pierwsza dama dla rodziców nie znaleźli czasu. Rodziców przyjęła urzędniczka Pałacu.

Zawetowanie „lex Czarnek” przez prezydenta uniemożliwiło skuteczną ochronę szkół przed toksycznymi zajęciami inwazyjnej seksedukacji. Dziś postawa Krzysztofa Szczerskiego, jednego z najbliższych współpracowników Andrzeja Dudy, w sprawie aborcyjnej rezolucji ONZ rozczarowuje, martwi... ale niestety nie zaskakuje. Mój przyjaciel Sławek w takich sytuacjach zwykł mawiać: „Janku, przestań się złościć – innej Polski dla ciebie nie mam”. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Dramatyczna elita

Ołśniła debiutem dziennikarskim Kazimiera Rzmuc na antenie RMF. Stop. W trakcie wywiadu z wiceministrem Pawłem Jabłońskim przeprowadziła najbardziej zdumiewający dialog reparycyjny ever. Stop. Szczuka stwierdziła, że zrzekliśmy się reparacji. Stop. Jabłoński, niedowierzając, dopytywał, że ale jak to, że niby w jakiej formie się zrzekliśmy? Stop. Na to Szczuka: „No w takiej formie, że się zrzekliśmy”. Stop. Media społecznościowe oszalały. Stop. Kazimiera zawładnęła umysłami wszystkich na biliardy sposobów. Stop. Popularnością przebiła autorkę frazy: „Jestem na plaży w Stegnie. Drugi dzień”. Stop. dialogów poniekąd politycznych do historii przejdzie także krótkie spotkanie na schodach hotelu Gołębiewski w Karpaczu w trakcie tegorocznego Forum Ekonomicznego. Stop. Dziennikarka „Gazety Wyborczej” Justyna Dobrosz-Oracz spotkała tam nieprzypadkowo ministra edukacji i nauki Przemysław Czarńka. Stop. Następnie rzekła: „Czy pan by chciał ustawowo zakazać seksu dla przyjemności?”. Stop. Na co minister: „Czy pani jest głupia czy tylko tak pani mówi?”. Stop. Komentatorzy zastanawiali się, czy minister edukacji powinien odpowiadać pytaniem na pytanie. Stop. W drugiej odsłonie spotkania z kolei Czarnek spytał dziennikarkę: „Lubi pani biegać za ludźmi po schodach?”. Stop. Na co Justyna: „Tak, bo to się ćwiczy tak pośladki i tak dalej”.

Stop. Dalej to ja już nie chcę wiedzieć. Stop.

Prawdopodobnie winne są Skierniewice. Stop. Zastanówcie się przed podróżą do tego miasta. Stop. Kurski u szczytu swej potęgi powiedział Radzie Mediów Narodowych w trakcie wideokonferencji, że jedzie do Skierniewic. Stop. Rozłączył się i go odwołał. Stop. Pojawiły się spekulacje, że to wcale nie dlatego, że jechał do Skierniewic. Stop. Czcza gadanina. Stop. Warto przypomnieć, że zupełnie inną reputację ma Radom. Stop. Były premier Waldemar Pawlak indagowany, kiedy wreszcie podejmie jakąś ważką decyzję, zwykł mawiać: „Po powrocie z Radomia”. Stop. Dopytywany, kiedy tam jedzie, uściślał: „Nie wybieram się”. Stop.

Preambuła naszej konstytucji wskazuje, skąd czerpiemy wartości jako naród. Stop. Sprawdziłem, nie ma tam nic o złotej (przepraszam) waginie. Stop. Tymczasem w Teatrze Dramatycznym w Warszawie stanął uroczyste wniesiony pomnik złotej waginy właśnie. Stop. Postawiły go nie jakieś stuknięte sztubaki dla hecy, tylko na poważnie dramatyczna elita warszawska. Stop. „To symbol wartości, które wyznajemy i którymi będziemy się kierować, transformując Teatr Dramatyczny w feministyczną instytucję kultury” – powiedziała dyrektor Teatru Dramatycznego Monika Strzępka. Stop. Czerpać wartości z waginy? Stop. Kome-to! Przybywaj! Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zostaniemy sami...

Małgośka – mówią mi – prawica przegrywa kulturę. I to walkowerem! Wiadomo: nie pijemy, nie palimy, nie łajdaczmy się, do kościółka chodzimy, więc też nie miota nami żaden niespokojny duch twórczy. Kościół wymigał się z roli mecenasa sztuk, bo uznał, że to artyści pierwsi wymigali się z kościoła. Oferta dla konserwy w stolicy marna. Za to mamy waginę w teatrze i ssanie banana pod Narodowym, bo perwersja w kulturze trwa tu z przerwami, od kiedy stanął Pałac Kultury im. Stalina.

Patrzę więc z nadzieją na Kraków, ten genius loci od świętych i noblistów. Czekam, kiedy wreszcie narodzi się jakiś cnotliwy majster od słów, od nut, od pędzla, taki że świat cały westchnie, nam będą mdleć ręce od oklasków, a lewacom pęknie żyłka z zawiści. Oto jest nadzieja: mówią, że Marta Kwaśnicka czerni papier na wzór Herberta i wywija arabski w stylu mistrzów eseju. Kupiłam w ciemno dwie książki i czytam. Z początku zachłannie, bo pisze też o Hiszpanii, ale artykulację ma niespieszną, erudycyjną, więc człek wymięka, robi przerwy. Książka nęci, ale jakoś tak i niechęci powoduje coraz więcej. Może dlatego, że ja urodzona w Krasnymstawie, a nie w Krakowie. Aż w końcu czytając Kwaśnicką, olśniło mnie, dlaczego przegrywamy w kulturze.

Prawica umizguje się do starych mistrzów, bo chce się podobać umarłym, a nie żyjącym. Przepisuje stare zaklęcia, pielgrzymuje do Mare Nostrum i zupełnie olewa, że dziś ludzie mają mniej czasu i inny rodzaj uwagi. Tanie loty sprawiły, że wolimy zobaczyć Sienę i Toledo, zamiast czytać o nich sążniste eseje. Piękno jest wreszcie na wyciągnięcie ręki: można odpalić koncert z Internetu na domowym sprzęcie, wirtualnie zwiedzić Prado, zjeść we włoskiej restauracji za rogiem, ale nie można przekonać do piękna w stylu genialnych umarłaków. Ludzie mają zbyt wiele pokus, a zbyt mało czasu i cierpliwości. Młodzi nie chcą czytać o mistykach, bo sami chcą chłonąć życie wszystkimi zmysłami. Nie można ich za to winić, bo to myśmy im tak świat urządzili.

Niestety, prawica obraża się na rzeczywistość i kaligrafuje duktem pisma starych mistrzów, w „obcej mowie”, która może przekonać już tylko garstkę przekonanych. A przecież musimy się wymyślić na nowo, żeby przesznułować nasze wartości.

Lewica ma słuch i węch. Nosowska nie musi już nawet śpiewać, wystarczy, że pisze i komentuje, i porywa tłumy świeżą polszczyzną. Kwaśnicka, choć od niej wiele młodsza, pisze genialnie, ale językiem umarłych. Podziwiać ją będziemy w zupełnej samotności. Samotności, na którą skazujemy się sami. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Opiółowywanie” podręcznika

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Każdy kulturkampf zaczyna się od opanowania szkoły przez zjednoczone siły „postępu i tolerancji”.

Pierwszy krok to usunięcie ze szkolnictwa jakiegokolwiek wpływu Kościoła, a następnie jakiegokolwiek śladu sacrum. To dopiero przed nami. W ramach zapowiadanego „opiółowywania” katolików w Polsce z ich „przywilejów” ma być zerwany konkordat, który reguluje m.in. obecność katechezy w szkołach.

Drugi krok wszystkich kulturkampów to walka z „nie-właściwymi” podręcznikami. W czasie bismarckowskiego kulturkampu w Rzeszy Niemieckiej (w tym w zaborze pruskim) dzieci i młodzież miały uczyć się o dobrodziejstwach płynących z reformacji oraz o zasługach

zaczęła się 22 lipca 1944 r. (wszystko wcześniej było wyzyskiem i rozpijaniem pańszczyźnianych chłopów) – miały wychować nowe pokolenie Polaków, gardzących „starymi Bogami” (jak dziarsko śpiewał ZMP).

Podręcznik do historii jest więc ważny kolosalnie. Przede wszystkim dlatego, że jest to książka, która trafia do szkół. A szkoła oznacza powszechność oraz systematyczność wspartą obowiązkiem. Dotarcie z określoną wizją historii ojczystej i powszechnej do masowego czytelnika zasiadającego w ławach szkolnych, który systematycznie – z tygodnia na tydzień – będzie miał możliwość uczenia się z takiego, a nie innego podręcznika, oznacza bardzo dużo. Tutaj na lata rozstrzyga

wych praktykach podejmowanych w imię „praw reprodukcyjnych” można pisać w książkach, ale nie takich, które trafiają do szkół. O tym, że opozycja w Polsce nie zaczęła się w marcu 1968 r., a Kościół katolicki poddany przemocy totalitarnego państwa dla milionów Polaków (także niewierzących) był oazą wolności, można pisać w książkach, ale nie w tych, które trafiają do szkół. O tym, że cenzura się nie zakończyła, ale w nowej formie szaleje w tzw. mediach społecznościowych, można pisać w książkach, ale nie takich, które trafiają do szkół. Ta wiedza, która trafi w sposób systematyczny do wielu młodych czytelników, może bardzo utrudnić „uprządkowanie” Polski. Wiedza to władza. Wiadomo o tym nie od dziś.

Takie jest w największym skrócie tło fali ataków na podręcznik autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego. To, co działo się przez kilka tygodni po jego opublikowaniu, jest prawdziwym case study dla badaczy zajmujących się problematyką „wpływu na opinię publiczną”. A działano bardzo profesjonalnie, według starej rewolucyjnej zasady: „nie ma wolności (słowa) dla wrogów wolności”. Zbudowano i puszczone w ruch cały mechanizm zastraszania – autora, wydawnictwa i szkół, które wyraziły gotowość do korzystania z rzeczonego podręcznika. Publikowanie przez gazetę, której nie jest wszystko jedno, list tych placówek oświatowych przypominało publikowanie list proskrypcyjnych. A chętnych do działania nie brakuje. Ogarbieni szałem wolności i tolerancji nagrywali nawet w Internecie sceny rozstrzeliwania (dosłownie) podręcznika. Cel chyba został osiągnięty. Podręcznik świetnie się sprzedaje, ale do szkół nie trafi. A to dopiero początek „opiółowywania”. ©©

To, co działo się przez kilka tygodni po opublikowaniu podręcznika prof. Roszkowskiego, jest prawdziwym case study dla badaczy zajmujących się kwestią „wpływu na opinię publiczną”.

A działano bardzo profesjonalnie

pruskiego „kulturstaat”, a jednocześnie poznawać „żądze władzy” rzymskiego Kościoła – od Canossy do „Syllabusa” Piusa IX. Podobnie rzecz się miała w czasie antykatolickiej wojny kulturowej toczzonej przez kolejne rządy III Republiki Francuskiej na przełomie XIX i XX w. W nowych szkołach (bez księży i zakonnic) młodzi Francuzi mieli poznawać dzieje swojej ojczyzny, nie idąc szlakiem katedr (jak dotychczas), ale wedle postępów rewolucyjnego ducha.

Budowana po 1945 r. przez komunistów „nowa, socjalistyczna Polska” też zaczynała się w szkołach. Nowa „socjalistyczna moralność” i nowy wykład dziejów Polski – według którego historia

się kształt polityki historycznej państwa.

Nie jest więc obojętne, co jest w podręczniku do historii, zwłaszcza tej najnowszej, która angażuje całkiem realne, nie tylko ideologicznie motywowane interesy. Dość wspomnieć „kontrowersje”, które powstały kilka lat temu wokół nieudanej próby nowelizacji ustawy o IPN, podjętej, by walczyć z dyfamacyjną kampanią pt. „Współudział Polaków w zbrodni Holocaustu”.

Ofascynacji komunizmem i pedofilskich praktykach prominentnych przedstawicieli „pokolenia ’68”. można sobie pisać w książkach, ale nie takich, które trafiają do szkół. O moralnie wątpli-



FOTO: W. CERNOWSKI / UTOWARZAWIAJĄCY SÓSKI

O TYŁKU

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy cztery lata temu (2018) Trump przemawiał na forum ONZ, niemiecka delegacja śmiała się i prychała z pobłażaniem – co za dureń, bzdury gada. A co takiego mówił? Ostrzegał, że jeżeli Niemcy nie zmienią polityki energetycznej, to popadną w całkowitą zależność od Rosji, co się skończy tragicznie. Tamta roześmiana delegacja to było trzech gogusiów i dwie paniusie. Gdzie te mądrale są teraz, gdy w Niemczech wprowadza się ograniczenia zużycia prądu, gasi oświetlenie miast i wycina lasy na opał? Jak w Rumunii w czasach komunistycznej dyktatury Ceaușescu.

Putin śmieje się z nas – co za idioci, sami to sobie zrobili.

Europa gazu nie ma, Rosja ma. Europa nie ma gazu, bo postanowiła go nie kupować od Rosji – swojego głównego dostawcy.

Rosja ma gazu tyle, że pali go, wypuszczając w powietrze. Wydobyć trwa, a skoro Europa nie chce kupować, to Ruscy spalają nadmiar, kopiąc w kosmos. W jednym tylko zakładzie w pobliżu granicy z Finlandią spalają w powietrzu gaz o wartości 10 mln dol. dziennie. Robią to na pokaz i stać ich na to. Rubel ma najwyższy od siedmiu lat kurs wymiany w stosunku do dolara – oto skuteczność sankcji.

I pomimo takiego układu sił Biden żąda od Putina bezwarunkowej kapitulacji. Putin nie ma powodu, by kapitulować. Jemu się interes z sankcjami opłaca, bo prowadzi do upadku Europy, nie Rosję.

Zwyczajni Niemcy się raczej nie śmieją. Zdali sobie sprawę, że egzystencjalnym zagrożeniem dla naszego świata

nie jest globalne ocieplenie, lecz globalne oziębienie, czyli coroczna zima. W USA oraz w Europie więcej osób umiera z powodu mrozu niż z powodu upałów. Cztery razy więcej.

Co się stanie, gdy do Europy przyjdą mrozy? Z powodu braku ogrzewania trzeba będzie zamykać fabryki. Zamknięte fabryki to bezrobocie i upadek gospodarki, brak dochodów obywateli i państwa. Długi osobiste mieszkańców Europy rosną. Długi narodowe też rosną. Polska jest zadłużona po uszy i nadal wydaje forsy jak szalona. Weszliśmy w bezpośredni konflikt z Rosją, więc kupujemy broń. Ta broń pojawi się w Polsce dopiero po wojnie – za kilka lat, a Putin nie będzie czekał, aż nowe uzbrojenie dojedzie i polskie wojsko wyszkoli się w stosowaniu nowego sprzętu. Putin, jeżeli planuje wjechać, robi to, zanim się uzbroimy. Albo weźmie nas mrozem, tak jak zrobił z armiami Napoleona i Hitlera. Tamci po prostu pozamarzali i tyle.

Koszt ogrzewania mieszkań w Polsce już wzrósł o setki procent. Widzieli państwo swoje rachunki za prąd w tym roku? I za benzynę? I za każde inne paliwo? A zima jeszcze nie nadeszła i cena paliw jeszcze nie skończyła rosnąć.

A z jakiego powodu? Bo politycy (którym prądu w domach brakować nie będzie nigdy) zaangażowali się w wojnę Rosji z Ukrainą, zamiast trzymać się od tej wojny z daleka. Teraz to jest już niestety nasza wojna, czyli polska wojna z Rosją, ale mogła wcale nie być. Europa mogła się odwrócić tyłkiem do tej wojny. Pomagać rannym,

pomagać bezdomnym, ale nie angażować się bezpośrednio w konflikt zbrojny z Rosją. Mogła. Europa odwracała się tyłkiem do wielu wojen w przeszłości. Tak – to nie było honorowe, ale polityk nie jest od załatwiania spraw honorowych, lecz od załatwiania spraw skutecznie i dla dobra narodu. Polacy prywatnie mogą pomagać, komu chcą, i manifestować przeciw Roskom, i honorowo nie kupować ruskiego produktu. Natomiast władza ma być prostytutką, która dla dobra narodu wykona każde niehonorowe świństwo, byle naród przetrwał. W tym przypadku: byle naród przetrwał zimą.

Orbán jest może i świnia, i dziwka, i wylądował na śmietniku historii, ale Węgry tej zimy raczej nie będą zamarzać. Wziął to na siebie. Tego powinniśmy wymagać od polityków – by brali na siebie syf. Od tego są. Polityk ma się w interesie narodu rzucić do szamba i nurkować, aby wyłowić nasz narodowy pierścienek. Polityk ma każdemu rękę podać, każdemu, komu my ręki podawać nie chcemy. Polityk ma kopnąć w tyłek (gdy mamy wystarczającą siłę) lub wchodzić w tyłek (gdy nie ma siły na kopniaki).

UE, wprowadzając sankcje, wiedziała, czym to grozi. W przemówieniach padły informacje o tym, że paliw zabraknie, ceny wzrosną, a w konsekwencji wojny i sankcji zabraknie żywności. Mówił o tym Biden, gdy był w Europie w marcu, mówiła o tym przewodnicząca KE w maju – oni się nie kryją z tym, co nam urządzają.

Rząd brytyjski przygotowuje kraj na wyłączenia prądu, a jednocześnie wydaje miliardy na wojnę w obcym kraju. 70 proc. restauracji i pubów grozi zamknięcie zimą, bo nie wytrzymają kosztów ogrzewania.

W Hiszpanii nie wolno ustawiać chłodzenia na temperatury niższe niż 27 st. C. Czyli masz pracować w upale. Z kolei zimą nie wolno będzie grzać – trzeba będzie przychodzić do roboty w kufajkach.

We Francji właściciele knajp i sklepów dostają mandaty za otwarte drzwi w sytuacji, gdy w środku działa klimatyzacja. Nie ważne, czy masz forsy i chcesz płacić za drogi prąd – nie wolno ci używać prądu i tyle. Czy to jeszcze wolny rynek i kapitalizm? Francja była do niedawna eksporterem prądu. Teraz zapowiada racjonowanie prądu i planowe wyłączenia.

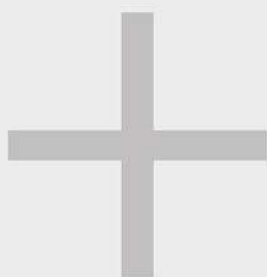
Rok temu Europa była bogatą cywilizacją, a teraz staczymy się w biedę. Grzaliśmy nasze domy za pomocą gazu, ropy lub peletu. Nowoczesne piece na nowoczesnym kontynencie. A teraz? Ludzie szukają drewna opałowego na zimą, jak 100 lat temu. W Niemczech drewna zabrakło. Ludzie idą zbierać chrust. Niedawno ludzie wywalali stare piece na drewno i węgiel, a teraz szukają, gdzie kupić te wywalone. Niedawno tzw. koza, czyli prymitywny piecyk domowy, to był przeżytek. Dziś... spróbuj kupić i zobacz, ile kosztuje. Niedawno kuchnia z fajerkami (tzw. westfalka) to była fanabestia. Dziś – towar poszukiwany. Kolejki po węgiel i ludzie nocują w ciężarówkach byle coś dostać. Wróciły zjawiska znane z komun.

I kto nas tak urządził? No niestety nie Putin. Putin najechał Ukrainę w ramach bratniej wojny, natomiast całą resztę zrobiliśmy sobie sami. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~475 ZŁ~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

CARRIE GRESS

„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ
NA KRYZYS CYWILIZACJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

211,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 264 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 732a2ad455



„100-lecie Portu Gdynia”

MONETA KOLEKCJONERSKA NBP



Nominał: **20 zł**

We wrześniu mija 100 lat Portu Gdynia. Ta ważna dla Polski rocznica została upamiętniona przez Narodowy Bank Polski na wyjątkowej monecie kolekcjonerskiej, na której historyczny wizerunek planu portu kontrastuje z błękitem Bałtyku. Na rewersie monety widnieje popiersie inż. Tadeusza Wenda, autora koncepcji portu.

Srebrna moneta kolekcjonerska o nominale 20 zł do nabycia
od 14 września 2022 r. w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl